

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/204

1964



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. de CEREZAY :

POLSKA GOMUŁKI I LIST "34"

J. MIEROSZEWSKI : **MODEL ROKU 19??**

W. A. ZBYSZEWSKI :

KREDYTY BANKU ŚWIATA

J. ŁOBODOWSKI :

O CYGANACH I KATASTROFISTACH

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Model roku 19??</i>	3
Gaston de Cerezay:	<i>Polska Gomułki i list „34”</i>	13
Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik transatlantyczny</i>	27
Józef Łobodowski:	<i>O cyganach i katastrofistach (3)</i> ..	35
Bolesław Pomian:	<i>Kontrpartner</i>	54

WIERSZE

Jan Leszcza:	<i>Noc</i>	59
„ „	<i>Wiersz o koniach drewnianych</i>	59
„ „	<i>Ghost-town revisited</i>	60

ARCHIWUM POLITYCZNE

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Gramsci i Togliatti</i>	62
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	68

SPRAWY I TROSKI

Maciej Morawski:	<i>Nowa emigracja do Francji</i>	76
Ryszard Krygier:	<i>Australia — kraj imigracji</i>	81

SPRAWY GOSPODARCZE

W.A. Zbyszewski:	<i>Kredyty Banku Świata</i>	85
------------------	-----------------------------------	----

WOLNA TRYBUNA

Kazimierz Okulicz:	<i>Między Niemcami a Rosją</i>	101
--------------------	--------------------------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bohdan Brodziński:	<i>1944-1964</i>	115
Józef Czapski:	<i>Powstanie Warszawskie, homo qui-</i> <i>dam i von Krannhals</i>	130

KSIAŻKI

Joseph Prescott:	<i>„Stefan Bohater” James Joyce’a</i> ..	136
Tytus Komarnicki:	<i>Saga wielkopolskiego rodu</i>	145
Magdalena Czajkowska:	<i>„Anioł lewy” Pietrkiewicza</i>	150
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	151
—	<i>Komunikaty</i>	154



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	155
--------------	----------------------------	-----



M. Lisiewicz, F. Mantel, E. Po-	<i>Listy do Redakcji</i>	157
doski, Z.S. Siemaszko:		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1964

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ KULTURY

Janusz Sobieniak, Toronto, Ont. (Kanada) po raz czwarty	45,00 F
Nina Sereda, Montreal, Que., (Kanada) po raz piętnasty	48,00 „
Dr St. N. Korzeniowski, Ladd, Ill., (USA), po raz ósmy	24,50 „
Lech W.S. Żychliński, Nepal (Indie) po raz drugi	980,00„

DZIĘKUJEMY



P. 9786 Chr. Arch.

Model roku 19??

Czy zostałyby coś z komunizmu gdyby proces destalinizacji został doprowadzony do końca?

Na przykładzie Rumunii widzimy, że de-satelizacja jest łatwiej osiągalna niż de-stalinizacja. Wydaje się również, że potencjalnie w Rosji istnieją większe możliwości destalinizacji niż w państwach satelickich.

Sowieciolodzy zachodni piszą w kółko o liberalizacji, police tryzmie, ewolucjonizmie itd. I. Deutscher w rozmowie z korespondentem „The Review” zauważył nawet, że przed Stalinem system jednopartyjny nigdy nie był marksistowskim ideałem. Wszyscy wyrażają pobożne życzenia lecz nikt — choćby w przybliżeniu — nie naszkicował modelu, ku któremu ewolucja winna zmierzać.

Ortodoksyjni komuniści nie mają również jasnej koncepcji przyszłości. Stalin w „Podstawach Leninizmu („Dzieła Zbiorowe”, tom VI, str. 181) — zaryzykował następujący pogląd: „Z zanikiem klas społecznych, z obumarciem dyktatury proletariatu, partia również będzie musiała zniknąć”.

Dziś nie wolno nawet wspomnieć o owej stalinowskiej teorii obumierania nie tylko państwa lecz i partii. Chruszczow podkreślał wielokrotnie, że partia jako najwyższa forma organizacji społecznej — będzie istnieć i kwitnąć nawet w okresie pełnego komunizmu. W przemówieniu na XXI Zjeździe PK ZSRR — w lutym 1959 r. — Chruszczow oświadczył, że problem obumierania państwa należy rozumieć dialektycznie. Istotę tego procesu stanowi ewolucyjne przekształcanie się państwa socjalistycznego w komunistyczny, społeczny samorząd.

Stalinizm — jak słusznie zauważył Joseph Gabel — był antytezą wszelkiej dialektyki. Dla stalinowca wszyscy przeciwnicy Związku Sowieckiego byli identyczni i niczym nie różnili się między sobą. Truman był następcą Hitlera, a tak absurdalny dziwoląg jak „hitlero-trockizm” nie raził w słowniku stalinow-

skim. Dla naszych obecnych neo-stalinowców nie ma również żadnej różnicy pomiędzy paryską „Kulturą” a Free Europe, pomiędzy Ciołkoszem a Zaleskim, pomiędzy Andersem a Mikołajczykiem. To wszystko są emigranci pracujący *pour le roi de Prusse*.

Fr. Fejtő napisał w roku 1962: „Dwudzielną wizję świata charakterystyczną dla ortoksyjnego komunizmu — wydaje się ustępować wizji, która jest równocześnie unitarną i pluralistyczną a więc dialektyczną”.

Czy istotnie tak jest? Komunizm istnieje bez Stalina — lecz czy ustrój komunistyczny może istnieć bez stalinizmu? Na to pytanie nie ma jeszcze przekonującej odpowiedzi.

Gdy Chruszczow twierdzi, że malarzy abstrakcjonistów wsadziłby nagich w pokrzywy by mogli dojrzeć swój błąd — jest absolutnie szczery w swym świętym oburzeniu. W tym wypadku nie chodzi o zranione poczucie estetyczne lecz o zranione poczucie dogmatyka. Malarstwo abstrakcyjne jest złe ponieważ odbiega od dogmatów marksistowskich. Hans Kelsen w „Foundation of Democracy” słusznie podkreśla, że wyznawcy dogmatów politycznych uważają, iż ci którzy reprezentują odmienne opinie — popełniają nie tylko błąd lecz zbrodnię. I dlatego odchylenie jest karalne nie jako błąd lecz jako przestępstwo. Tylko marksizm-leninizm w partyjnej wykładni jest prawdą. Prawda jest najwyższym dobrem. Wszystko co sprzeciwia się dobru jest z definicji złem czyli zbrodnią.

Pełna destalicacja komunizmu musiałaby oznaczać sekularyzację doktryny. Neo-stalinowcy zdają sobie jednak sprawę, że znaczny procent „pewników” marksistowskich nie ostałby się w dziennym świetle racjonalistycznej, swobodnej krytyki.

Wprawdzie dziś nikt już nie mówi o „hitlero-trockizmie” lecz czy określenie „socjalistyczny realizm” nie jest równym nonsensem?

Wypada zgodzić się z Lukacs'em, że każda wielka literatura jest realistyczna, odzwierciedla bowiem rzeczywistość. Dotyczy to zarówno Homera jak i Kafki. „Soc-realizm” jest niewypałem nie dlatego, że jest socjalistyczny — lecz dlatego, że nie jest realizmem. Socjalistyczny realizm spełniać miał w literaturze identyczną rolę jaką pełni w publicystyce tzw. „drętwa mowa”. Celem „drętwej mowy” nie jest odzwierciedlanie rzeczywistości, lecz przeciwnie naginanie rzeczywistości do mitu. Realistyczna literatura musiałaby w pełni odzwierciedlać rzeczywistość krajową, a nie mitologię neo-stalinowską. Z tych przyczyn literatura realistyczna jest nie do pomyślenia w obecnej sytuacji w Polsce.

Wkładanie się w sprzecznościach stanowi część naszej „ludzkiej kondycji” — lecz niewątpliwie postęp musi oznaczać redukcję owych sprzeczności, a nie ich stały przyrost.

Weźmy jeszcze jeden charakterystyczny przykład. W Polsce Ludowej mówi się i pisze bez przerwy o „zaangażowaniu”. W grun-

cie rzeczy jednak w Polsce dzisiejszej można być pisarzem partyjnym lecz nie pisarzem zaangażowanym. Można być również pisarzem neutralnym operującym na bezpiecznych marginesach.

Zaangażowanie — jak słusznie kiedyś podkreślił Silone — jest bezkompromisową służbą wyższej sprawie, a nie wysługiwaniem się *establishment*. Pisarz, którego zaangażowanie określane jest w każdym konkretnym wypadku dyrektywą partyjną — nie jest pisarzem zaangażowanym tylko literackim aparatchykiem. Gomułka wychowany i uformowany w szkole stalinowskiej nie życzy sobie ani pisarzy zaangażowanych, ani literatury zaangażowanej — podobnie jak nie życzy sobie literatury realistycznej. Jemu wystarcza całkowicie bibuła pro-rządowa.

Tow. Wiesław wszczepił w Polaków zamięłowanie do klasyków. Ożywił Kraszewskich, Sienkiewiczów, Żeromskich — całą naszą literacką przeszłość. Ponieważ prasa Polski Ludowej jest śmiertelnie nudna — ludzie sięgają po książki sprzed stu laty. Lecz czego współczesny człowiek szuka w tych archaicznych powieściach? Szuka humanizmu, z którego „gomułkizm” wyjął Polskę doszczętnie. Ów głód humanizmu ludzie zaspakają klasykami i religią. Rzymski katolicyzm w odczuciu mas społecznych w Polsce jest jak Homer. Reprezentuje stulecia zachodniej humanistycznej kultury. Kafkę ludzie czytają dla Kafki, lecz po klasyków sięgają by zaspokoić potrzebę ciągłości. Im lichsza budowa, tym pilniejszą uwagę zwracamy na fundamenty. Fundament daje poczucie bezpieczeństwa i wiarę w możliwość odbudowy.

Taktyka rewolucji w ustroju kapitalistycznym jest dokładnie opracowana. Lecz jak powinna wyglądać rewolucja w ustroju neo-stalinowskim?

Z historii wiemy, że żaden okres nie trwa długo. I w tym sensie dni neo-stalinizmu w wydaniu Gomułki są policzone. Historia uczy nas również, że ewolucja idzie skokami. Czasem skok jest tak gwałtowny, że przybiera formę rewolucji.

Jeżeli zebrać dorobek intelektualny rewizjonistów polskich i węgierskich z lat 56-tych — to trzeba powtórzyć za Petru Dumitriu, że był to jedyny oryginalny ruch rewolucyjny, jaki do tej pory wydało drugie pół-wieczcie XX-go wieku.

Rewizjonizm budził na Zachodzie sympatię jako ruch wolnościowy, a nie jako ruch rewolucyjny. Robotnicy Zachodu weszli już dawno w pomarksistowską epokę, a burżuazja zachodnio-europejska przywykła uważać Rosję Sowiecką za takie same wielkie mocarstwo jak wszystkie inne. Rewolucją na Zachodzie nikt się nie interesuje.

Inaczej na te sprawy patrzą Rosjanie. Dla nich komunizm jest zarówno ruchem międzynarodowym jak i rosyjsko-narodo-

wym. Partia i rząd komunistyczny nie czerpią poparcia zewnątrz. Określanie Rosji mianem „największego kraju ujarzmionego” — jak czynią to pewni amerykańscy sowietolodzy — jest totalnym nonsensem. Osiągnięcia rządów komunistycznych w skali mocarstwowej polityki rosyjskiej są olbrzymie. Na przestrzemi niepełnych 50 lat Rosja z rewolucyjnego „oboju wojskowego” przekształciła się w drugie mocarstwo świata. Ten fenomenalny sukces Rosjanie zawdzięczają *niepowodzeniom* komunizmu w płaszczyźnie międzynarodowej. Gdyby po upadku republiki Weimarskiej w Niemczech — zamiast Hitlera — doszli do władzy komuniści — Sowiety z całą pewnością nie byłyby dziś drugim mocarstwem świata. Nie Moskwa lecz Berlin byłby stolicą międzynarodowego ruchu komunistycznego. Niemcy mieli wybitniejszych filozofów, górowali nad Rosją geniuszem organizacyjnym i osiągnięciami technologiczno-przemysłowymi. Komunizm w Sowietach przekształcił się w narodową ideologię rosyjską dzięki izolacji. W moim przekonaniu Chruszczow nie życzy sobie komunistycznych zjednoczonych Niemiec. Ulbricht spełnia w tym względzie pożyteczną rolę — redukuje bowiem potencjał Niemiec, zagradza drogę rewizjonizmowi i odstrasza zachodnich Niemców od idei komunizmu. Pożyteczne są państwa satelickie lecz z mocarstwami komunistycznymi — jak widać to na przykładzie Chin — są same kłopoty.

Z przyczyn naszkicowanych powyżej nie można porównywać „odwilży” czy liberalizacji w Rosji z analogicznymi zjawiskami w Polsce. Komunizm w Polsce nie jest narodową ideologią lecz przeciwnie, reprezentuje zaborcę. Każda „odwilż” niesie z sobą ryzyko anty-rosyjskiego zrywu narodowego. Natychmiast spod bruków Warszawy zmartwychwstaje schemat powstańczy.

Ruch wyzwolenczy może mieć charakter narodowy lub ideologiczny. Wszystkie powstania miały charakter niepodległościowo-narodowy. Natomiast „Październik” w płaszczyźnie intelektualnej miał charakter ruchu rewolucyjno-ideologicznego. Polacy cenią wyżej niepodległość niż wolność. Z tą tradycją należy zerwać. Niepodległość i wolność nie są synonimami. Stalinowska Rosja była niewątpliwie państwem niepodległym, lecz w rzeczywistości było to niepodległe więzienie. W Austrii czy w Finlandii ludzie są niepomierne bardziej wolni niż w Sowietach — mimo, że suwerenność tych państw w porównaniu z Rosją jest bardzo ograniczona.

Polska tradycyjna filozofia narodowa głosi: najpierw niepodległość potem wolność. Należy odwrócić ten porządek rzeczy, który jest politycznie zgubny, a społecznie jałowy.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Gomułka ściera się z Chruszczowem i walczy o suwerenne prawa Polski Ludowej. Wówczas cały swój neo-stalinowski program mógłby przedstawić społeczeństwu jako nową wersję polityki „silni, zwarci, gotowi”. 80% Polaków miałoby za sobą choć *de facto* w kraju nie przybyłoby uncji wolności. Przeciwnie — nacjonalizm zawarłby

wówczas sojusz z „zamordyzmem” — wszystko w imię suwerenności.

Fakt, że w odczuciu większości Polaków wolność i niepodległość są synonimami dowodzi, że nie mamy żadnej tradycji ani koncepcji wolności. Wolność jest formą ustroju społecznego i sumą kulturalno-socjalnej dojrzałości obywateli. Triumfującym nacjonalizmem nie da się tu niczego nadsztukować. Wolność musi być wypracowana i zabezpieczona od wewnątrz, gdyż wrogowie wewnętrzni zagrażają jej w niemniejszym stopniu niż wrogowie zewnętrzni.

Nie jest prawdą, że jesteśmy gotowi walczyć o wolność. Jesteśmy zawsze gotowi walczyć o niepodległość. Ci sami ludzie, którzy wykazywali zdumiewającą odwagę w czasie okupacji i Powstania Warszawskiego — dziś z cywilnego tchórzostwa odmawiają poparcia dla 34.

Skąd to płynie? Nie mamy za sobą ani tradycji rewolucyjnej, ani tradycji demokratycznej. I z tych przyczyn nie wierzymy w polityczną siłę ludzkich przekonań. W rezultacie grupa o zdecydowanych przekonaniach — czy to będą piłsudczycy czy komuniści — może z łatwością narzucić nam swoje rządy, ponieważ znakomita większość Polaków to są patrioci-niepodległościowcy bez żadnych przekonań politycznych. Patriota-niepodległościowiec gotów jest walczyć przeciw każdemu obcemu okupantowi, lecz staje się naiwnym i bezbronnym dzieckiem w dniu demobilizacji. Wygra pod każdym Monte Cassino lecz przegra każde wybory. Jego filozofia jest prosta. Odwaga to powstanie — siła to karabin. Gdy nie ma ani barykad, ani karabinu rozpoczyna się upiorkarząca jałowa bierność. Wczorajszy bohater przemienia się w taniutkiego pozytywistę i głosi hasło „śmierć frajerom”. Biedaczyna nie zdaje sobie sprawy, że nie ma większego frajera niż on sam.

Marksizm rzekomo rozbudza zmysł i świadomość polityczną. W Polsce Ludowej wypowiedziano setki tysięcy frazesów na temat myślenia w perspektywie historii.

„Pisarze ci” — cytuję Kijowskiego — „przywiązani do rydwanu Historii dają mu się włożyć tam i sam”.

Ow rydwan włóczy tam i sam nie tylko pisarzy lecz i intelektualistów i inteligencję. Historia jest zawsze wyzwaniem. Dramat Polski polega na tym, że pisarze i intelektualiści w większości nie rozpoznali treści tego wyzwania, a ci którzy je odczytali nie mają odwagi mu sprostać.

Dla przejrzystości ujmijmy naszą analizę w serię następujących punktów:

I. Część Polaków w kraju i niemal wszyscy Polacy na emigracji uważają, że wybieramy pomiędzy komunizmem a demokracją. Zarówno Rosja jak i Polska nie mają tradycji parlamentarno-demokratycznych. Upadek komunizmu o charakterze kontrrewolucyjnym przyniósłby w rezultacie wybuch nacjonalizmu, bonapartyzm, dyktatury skrajnie prawicowe.

II. Rządy nacjonalistyczno-prawicowe w Rosji z całą pewnością nie leżą w polskim interesie. Jediną nadzieją tak Rosji jak i całej Europy wschodniej jest całkowita destalinizacja i wolny rozwój ku nowym formom socjalizmu.

III. De-kolonizacja Związku Sowieckiego jest uzależniona od rozwoju naszkicowanego powyżej. Nacjonalistyczna, prawicowa kontr-rewolucja byłaby w większym stopniu imperialistyczna niż stalinizm. Ambasador sowiecki, reprezentujący Chruszczowa, ma w Warszawie wiele do powiedzenia. Lecz ambasador reprezentujący szowinistyczną rosyjską dyktaturę wojskową miałby w Warszawie niepomnie więcej do powiedzenia.

IV. Tym którzy mówią, że pełna destalinizacja w Rosji jest mrzonką należy odpowiedzieć, że zdemokratyzowanie Sowietów na wzór zachodnio-europejski nie jest nawet mrzonką lecz nonsensem.

V. Upadek komunizmu nie jest bynajmniej równoznaczny z wolnością — tym mniej z polską niepodległością. Przeciwno prawicowemu rządowi rosyjskiemu nie znaleźlibyśmy sprzymierzeńców ani w Paryżu, ani w Londynie, ani w Waszyngtonie. Nawet po wygranej wojnie rosyjski „Adenauer” po kilku latach byłby cenniejszym i niepomnie bardziej wpływowym sprzymierzeńcem Waszyngtonu niż Polska.

VI. Łatwiej jest ulepszyć i przebudować ustrój istniejący niemal od pół wieku, niż importować formy społeczno-ustrojowe, które w Rosji nie mają żadnych historycznych korzeni. W interesie całej wschodniej Europy leży, by Rosja z państwa neo-stalinowskiego stała się państwem socjalistycznym — ponieważ rzetelny socjalizm znacznie wydatniej hamuje zapędy imperjalistyczne niż demokratyzm typu zachodnio europejskiego.

Jeszcze raz należy podkreślić, że de-kolonizacja Związku Sowieckiego jest możliwa tylko poprzez socjalizację. Nawet po zwycięskiej wojnie rząd rosyjski utworzony przy poparciu Amerykanów ogłosiłby natychmiast deklarację stwierdzającą, że stoi na stanowisku nienaruszalności granic z 1939 roku. Szanse niepodległości Ukraińców byłyby wówczas identyczne jak Bawarczyków, gdyby chcieli wystąpić z niemieckiej Republiki Federalnej.

Mocarstwa zachodnie ze Stanami Zjednoczonymi włącznie — porzuciłyby hasło de-kolonizacji Związku Sowieckiego w tym samym dniu, w którym rząd w Moskwie objęliby antykomuniści. Nie leży w interesie Zachodu osłabianie (tym mniej parcelowanie), antykomunistycznej Rosji. Silna antykomunistyczna Rosja wraz z Ameryką tworzyłaby syntetycznego atomowego „żandarda”, wobec którego nawet Chiny musiałyby spokornieć.

Rozważając perspektywy i możliwości ewolucji komunizmu trzeba pamiętać, że neo-stalinizm może prowadzić zarówno do odwilży ideologicznej jak i do renesansu nacjonalizmu. Innymi

słowy prowadzić może albo do socjalizmu albo do czerwonego faszyzmu.

Stalińscy będą bronić swego stanu posiadania do upadłego. Gdyby w Rosji ewolucja ideologiczna postępowała szybciej niż w krajach satelickich — stalińscy wysuną hasło uniezależnienia się od Sowietów licząc na Chiny oraz na poparcie mas społeczeństwa, które wolność identyfikują z niepodległością.

Zwyrodnienie stalinizmu w czerwony faszyzm byłoby katastrofą. Niebezpieczeństwo jest realne ponieważ stalińscy są bliżej totalistycznych nacjonalistów niż demokratów choćby najbardziej lewicowych. Niepodległość w wydaniu stalinowskim — choćby dawała maksimum osiągalnej niezależności państwowej — byłaby niepodległością bez wolności.

Co należy rozumieć przez „odwilż” ideologiczną? W pierwszej linii należy rozumieć udemokratyzowanie komunizmu czyli połączenie socjalizmu z wolnością. Policentryzm musi obowiązywać nie tylko w stosunkach pomiędzy partiami komunistycznymi, lecz i w samych partiach. Oznacza to swobodę dyskusji i swobodę krytyki.

W państwie socjalistycznym większość społeczeństwa winna być przekonana o słuszności podstawowych założeń socjalizmu. Lecz nie oznacza to, że większość społeczeństwa musi być ateistyczna. W moim przekonaniu jest rzeczą możliwą urzeczywistnienie demokracji w ramach systemu jednopartyjnego pod warunkiem, że partia o której mówimy — wyznaje zasadę wieloświatopoglądowości. I odwrotnie partia wyznająca monizm ideologiczno-filozoficzny stanowi potencjalne zagrożenie dla demokracji nawet w ustroju parlamentarnym.

System demokratyczny nie polega na zwalczaniu się kilku czy kilkunastu partii politycznych, z których każda marzy o zamachu stanu i dyktaturze. Demokracja polega na wyłonieniu choćby jednej partii, która łączyłaby postępowy program z poszanowaniem zasady wieloświatopoglądowości. Polacy nie rozumieją, że demokracja jest ścieraniem się przekonań i opinii, a nie walką na noże dogmatyków. Co drugi Polak jest dogmatykiem, lecz Polaków „wieloświatopoglądowych” jest niezmiernie mało. Ten sam Piasecki, który dziś głosi zasadę wieloświatopoglądowości — gdyby jutro zagarnął władzę wyjąłby spod prawa wszystkie poglądy polityczne niezgodne z jego doktryną.

Demokracja to nie jest wielopartyjność. Demokracja to jest wielopoglądowość choćby w ramach jednej partii. Socjalizm ma wielkie możliwości by w Polsce stać się taką partią.

Socjalizm demokratyczny, którego w polskich warunkach tradycyjną reprezentantką była PPS — wyczerpał swe możliwości ponieważ kapitalizm w krajach Europy wschodniej został zlikwidowany. W okresie po-kapitalistycznym nie widzę roli dla PPS.

Gdyby komuniści przyjęli zasadę wieloświatopoglądowości — umożliwiłoby to katolikom wstępowanie do partii. Nie oznaczałoby to ani likwidacji marksizmu ani „zdrady materializmu”. Oznacza

czaloby to natomiast przyznanie równych praw materialistom i nie-materialistom. Przyznanie pełnego uprawnienia przyniosłoby likwidację monizmu filozoficznego i otworzyłoby drogę do powstania prawdziwej demokracji w ramach ogólnopolskiej partii socjalistycznej. Wówczas socjaliści materialisci utworzyliby odrębny klub, socjaliści katolicy utworzyliby swój klub, a socjaliści ludowcy utworzyliby trzeci klub. Prawdopodobnie klubów byłoby więcej. KC partii musiałby odzwierciedlać rzeczywistą siłę klubów poselskich. Wówczas można by mówić o socjalistycznej demokracji w Polsce. Nie byłoby demokracji dla wrogów socjalizmu, lecz byłaby demokracja dla socjalistów, w przeciwieństwie do dyktatury kliki, którą mamy dziś.

Byłoby lepiej mieć w partii kluby jawnie działające niż jak dziś, nieoficjalne frakcje zwalczające się nawzajem. Jeżeli jedność ruchu socjalistycznego nie ma być fikcją musi być pojmowana dialektycznie — to znaczy winna być unitarna na zewnątrz, a pluralistyczna na wewnątrz. Jeżeli jednak pluralizm poświęca się dla dogmatycznego unitaryzmu — w rezultacie nie ma się ani unitaryzmu ani pluralizmu. Taki stan rzeczy obserwujemy w PZPR.

Model naszkicowany powyżej umożliwiłby legalną opozycję wewnątrz partii. Dogmat nieomyślności pierwszego sekretarza i jego biura politycznego — zastąpiłaby demokratyczna gra sił. Klub najsilniejszy i posiadający najszerze poparcie społeczeństwa sprawowałby władzę. Równocześnie klub, czy kluby stanowiące w danym układzie mniejszość — miałyby otwartą, legalną drogę do stania się większością przy następnych wyborach.

W ten sposób została by zapoczątkowana ewolucja od socjalizmu narzuconego do socjalizmu zaakceptowanego.

Celem tego artykułu (jak i poprzednich z tej serii) — nie jest wypracowywanie „recept” ustrojowych. Celem tych artykułów jest zachęcenie Polaków w kraju i na emigracji do rozważań na temat stopniowej przebudowy ustroju. Po 25 latach pobytu na Zachodzie jestem przekonany, że importowanie, czy naśladowanie zachodnioeuropejskich wzorów ustrojowych w Polsce, czy w Rosji, nie jest możliwe. Jesteśmy inaczej uwarunkowani historycznie, politycznie i geograficznie. Demokracje anglosaskie są produktem długiego rozwoju, który nie ma analogii w naszych dziejach. Model francuski, który przyjęliśmy po pierwszej wojnie światowej — nie zdał egzaminu ani u nas, ani we Francji.

Ewolucji i postępu nie powoduje opór zniechęconych — tylko napór przekonanych. Polacy ubóstwiają wolność, lecz za ideał uważają patriotę-niepodległościowca bez wykrystalizowanych przekonań polityczno-społecznych. Dla większości endeków dawniejszych i dzisiejszych koncepcje (i pisma) Dmowskiego są równie nieznane jak dzieła Marksa dla polskich komunistów. Programy ustrojowo-polityczne Polacy rozpatrują zawsze pod kątem widzenia zdobycia i utrwalenia władzy — nigdy z zamiarem utrwalenia i zabezpieczenia demokratycznych wolności.

Naród 30-milionowy w każdej sytuacji i w każdej pozycji geopolitycznej — jest w większym lub mniejszym stopniu od kogoś zależny. Wolność średnio-liczebnego narodu jest sumą w danym układzie w pełni wykorzystanych możliwości. W mojej ocenie Polacy nie wykorzystują nawet 25 czy 30% istniejących możliwości. Gdyby układ międzynarodowy zmienił się wydatnie na naszą korzyść — nie ma żadnej gwarancji, że w Polsce przybyłoby wolności. Kto inny — kogo innego — cenzurowałby i zamykał — to wszystko. Gdyby komunistów traktowano tak jak dziś w Polsce Ludowej traktuje się anty-komunistów — większość Polaków uznałaby tego typu postępowanie za wolność plus demokrację. U nas „demokratami” i obrońcami wolności są zawsze ci, którzy sprawują dyktaturę — anty-demokratami są nieodmiennie ci, którzy występują przeciwko dyktaturze. Tow. Wiesław nie odstąpił na milimetr od tej narodowej tradycji. Gomułka jest stalinowcem i równocześnie klasycznym produktem drugiej Rzeczypospolitej.

To są zagadnienia dotyczące wszystkich, tak socjalistów jak i nie socjalistów. Jeżeli w Polsce mamy z czasem dopracować się socjalizmu — to ów socjalizm musi być do przyjęcia dla wszystkich. W Szwecji rządzi od 28 lat partia socjalnych demokratów. Czy to oznacza że wszyscy Szwedzi są socjal-demokratami? Z całą pewnością nie. Oznacza to natomiast, że model ustrojowy wypracowany przez socjal-demokratów został zaakceptowany przez przytłaczającą większość społeczeństwa.

Polski socjalizm będzie bardzo różny od szwedzkiego, lecz stopień jego powszechności musi być identyczny. Ową powszechność zdobyć można tylko poprzez wypracowanie form zdemokratyzowania obecnego ustroju.

Juliusz MIEROSZEWSKI

TOM CIII "BIBLIOTEKI KULTURY"
SERIA "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT SZÓSTY

zawiera m. in.

Słownik biograficzny ofiar terroru P.R.L.

Gen. M. Tokarzewski-Karaszewicz — *Jak powstawała Armia Krajowa.*

Witold Babiński. — *Powstanie Warszawskie.*

Z.S. Siemaszko — *Łączność radiowa Sztabu N. W. w przededniu Powstania Warszawskiego.*

Jan Kowalewski — *Cykl rumuński.*

Alfred Poniński — *Wrzesień 1939 w Rumunii.*

oraz działy

KRONIKA - KSIĄŻKI - LISTY DO REDAKCJI "ZESZYTÓW"



Mimo podwyżki prenumeraty „Kultury” abonament „Zeszytów Historycznych” na rok 1964 wynosi dla prenumeratorów „Kultury” w dalszym ciągu tylko 15 F (22 sh; dol. 3,00) — a więc otrzymują DWA „ZESZYTY”

W CENIE JEDNEGO

Str. 240

Cena egz. 15 F. (22/-; dol. 3,00)



Administracja posiada jeszcze na składzie pewną ilość poprzednich numerów ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Polska Gomułki i list "34"

Początek

Mówię o początku sprawy listu 34, złożonego w kancelarii premiera Cyrankiewicza w dniu 14 marca 1964 r.

Otóż na jesieni 1963 r. odbyło się w Warszawie XIII Plenum Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na którym dyskusja obracała się dokoła spraw literackich. Członkowie plenum wypowiadali się jaką literatura polska ma być i co pisarze pisać powinni. Wskazówki wypowiedziane miały właściwie jedną myśl przewodnią: pisarze powinni obrazować jakim okropieństwem było życie przed nastaniem Polski Ludowej i jakim dobrodziejstwem jest życie obecne. Ponieważ takie otwarte postawienie sprawy wywoływałoby śmiechy w całym kraju, a pośmiewiska na twarzach samych członków plenum, więc ta prosta myśl obwijana była w skomplikowane frazesy i kunsztowną formę. Wybitny działacz p. Titkow omawiał także sprawy teatralne. Pochwalił wystawianie sztuk Brechta, które mu się podobają, zresztą zupełnie słusznie. Zganił natomiast wystawianie „takiej piły” jak „Książd Marek” Słowackiego.

Można oczywiście Słowackiego krytykować, tak jak można krytykować Szekspira, czy Puszkina. Ale nonszalanckie rzucenie z wysokości swego dostojeństwa zdania, że Słowacki to „piła” jest — proszę mi wybaczyć — ogromnym obniżeniem poziomu dyskusji o literaturze.

Ale oto we wrześniowym numerze „Twórczości”, redaktor tego miesięcznika i zarazem prezes ogólnopolskiego Związku Literatów, Jarosław Iwaszkiewicz, wystąpił w imieniu wszystkich literatów i składając hołd tej literackiej dyskusji na XIII plenum i znowuż w imieniu wszystkich polskich literatów ślubował posłuszeństwo wskazówkom tam wypowiedzianym.

Fragment większej całości.



— „Z najwyższą satysfakcją powitali pisarze polscy referat i dyskusję XIII plenum” — zapewniał.

— „Nie należymy do pesymistów o ile chodzi o współczesną literaturę polską. Ale z największym uznaniem powitaliśmy postulat skierowane pod jej adresem” — wykrzykiwał.

— „Słowa, które padły zarówno w referacie, jak w dyskusji XIII Plenum wywarły głębokie wrażenie na społeczeństwie pisarskim” — zaklinał.

Ta czołobitność Iwaszkiewicza wywołała ogromne oburzenie wśród kół literackich. Rosjanie mają wyrażenie: „prorwało”. Później mówiło się dużo, że cały list 34 był wywołany przez zazdrość Słonimskiego w stosunku do Iwaszkiewicza. Nie siedzę w duszy Słonimskiego, ale takie tłumaczenie wydaje mi się śmiesznym uproszczeniem. Słonimski ma swoją rangę w literaturze, a Iwaszkiewicz swoją. Z przedwojennych sztuk teatralnych Słonimskiego „Murzyn warszawski” jest wspaniały, ale „Lato w Nohant” Iwaszkiewicza także doskonałe. Wersja, że w grupie „Skamandra” Iwaszkiewicz był popychadłem, nie wygląda mi na prawdziwą. Słonimski ponosi w moich oczach winę, że zanadto wiązał wystąpienia na zebraniach literatów ze sprawą papieru oraz z akcją przeciw połączeniu tygodników „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” w jeden tygodnik pt. „Kultura”. Akcja przeciw cenzurze jest akcją odpowiadającą dobru całego narodu, a nawet interesom rządu Polski Ludowej. Natomiast akcja o zdobycie większości papieru dla wydawania produkcji literatów, albo o powiększenie honorariów literackich nie ma żadnego zasadniczego znaczenia. To co powiem dalej będzie przez wielu literatów polskich uważane za cyniczne, ale uważam, że po pierwsze pism literackich w Polsce jest raczej za dużo niż za mało i zbyt liczne są także zastępy grafomanów pisujących bez krzty talentu i nie mających nic do powiedzenia, a zarabiających nie wiadomo dlaczego o wiele lepiej niż zwykły posługacz. Po drugie, co zagniewa Słonimskiego, jak najbardziej pismo „Kultura” wcale nie jest pismem gorszym od innych, a Wilhelmi jest redaktorem niewątpliwie o większym talencie od niejakiego Gottesmana, który redagował „Przegląd Kulturalny”, zamknięty przed rokiem. Aby te kwestie wyczerpać, zabiegam naprzód i powiem, że wielu ludzi redakcję listu 34 przypisuje Słonimskiemu. Nie wiem czy to prawda, ale gdyby to była prawda, to umieszczenie na pierwszym miejscu tego listu kwestii papieru było błędem, dezorientacją i ułatwiło bardzo polemikę z autorami tego listu. W liście 34 chodziło o cenzurę, a nie o żaden papier.

Jakby tam nie było, na dzień 17 stycznia 1964 r. zwołane zostało „rozszerzone plenum” Zarządu Głównego Związku Lite-

ratów. Nikt nie wiedział jakie są uprawnienia uczestnika takiego zebrania, dlatego na nie zwożono literatów z prowincji na koszt Związku, ale nie każdy odważył się o to zapytać. Zrobiła to pani Anna Kowalska, bo w Polsce kobiety zawsze odważniejsze są od mężczyzn i ośmieliła tym mnóstwo osób do wystąpienia i coraz ostrzejszego stawiania kwestii. Wielu pisarzy bardzo wybitnych, jak — zacytuję ich w porządku alfabetycznym: — Jasienica, Kisielewski, Słonimski, Wańkowicz wygłosili ostre przemówienia. Następnego dnia zabrał głos Mackiewicz, miał jakiś dzień wyjątkowo udany i zebrał najwięcej oklasków, co mu się już w późniejszych przemówieniach nie udawało. Odczytał on upokarzające literatów oświadczenia Iwaszkiewicza po XIII Plenum i określił postawę Iwaszkiewicza jako „rad staratsia”. Młodsze pokolenie literatów uczestniczących w debacie być może nie rozumiało tych wyrazów ale rozumiał je doskonale sam Iwaszkiewicz, pochodzący z Ukrainy. „Rad staratsia”, czyli dosłownie: „będę się starał z radością”, mówił rosyjski, carski żołdat do podoficera, gdy ten mu dawał rozkaz. Później Mackiewicz rozwijał temat różnicy pomiędzy pojęciem publicysta, a propagandzista. Ten ostatni nie jest żadnym pojęciem ujemnym, oznacza tylko, że propaguje poglądy przez siebie nie wypracowane. Za propagandę poglądów socjalistycznych kiedyś wielu ludzi ideowych szło do więzienia, za propagandę chrześcijaństwa ginęli często misjonarze w Chinach, lub Afryce. Ale publicysta to nie człowiek który propaguje jakiś ustalony już światopogląd, lecz taki, który stwarza i wypowiada własne poglądy na politykę, sprawy społeczne i w ogóle na świat. Filozofowie francuscy XVIII wieku, tacy jak Monteskiusz, byli publicystami; twórcy idei politycznych w XIX wieku byli publicystami. Poglądy publicystów mogą być przyjmowane, lub odrzucane przez partie polityczne, ale oni stwarzają je sami, bez czyjegokolwiek dyktanda. Lenin był wielkim publicystą, tak jak Plechanow, jak w Polsce Studnicki, czy Dmowski. Tacy ludzie jak Niedziałkowski, czy Stroński byli co prawda członkami stronnictw, lecz wyrabiali sobie poglądy samodzielnie i swobodnie, stąd byli publicystami. W Polsce obecnej — wywodził Mackiewicz — nie ma publicystów, są tylko propagandiści.

Potem Mackiewicz wskazywał, że dziennikarstwo polega przede wszystkim na krytyce władz i na informowaniu publiczności. O krytyce władzy nie może być w Polsce Ludowej żadnej mowy. Jedynie konduktorkę autobusu można w Polsce Ludowej skrytykować, a nawet potępić, ale już nie kogoś wyżej. Dziennikarzowi, który by, Panie Boże broń, ośmielił się nie mieć zaufania do działań jakiegoś ministra, uszłaby ręka przed wypowiedzeniem swoich poglądów na piśmie, a koledzy redakcyjni odwieźliby go co najprędzej do domu wariatów. Prasa polska może

tylko albo gruchać z zadowolenia, albo kwilić z zachwyty. Z roku na rok staje się to bardziej mdłe i nie do zniesienia.

Przypominam, że to był dzień 17 stycznia i wtedy miał rację Mackiewicz, że już od dawna konflikt rosyjsko-chiński stał się osiłą polityki międzynarodowej całego świata, a tymczasem prasa polska wciąż z rozczuleniem i błogością pisze, jakie to braterskie stosunki panują pomiędzy Rosją i Chinami. Istotnie tak to przedstawiano jeszcze w styczniu w Warszawie; ujawnienie, że pomiędzy Rosją a Chinami jest coś nie bardzo tego, przyszło dopiero kilkanaście tygodni później.

Wreszcie Mackiewicz opowiadał o cięciach cenzury, których sam padł ofiarą. Oto w książce jego, zawierającej felietonowy opis wydarzeń pomiędzy 1900 a 1914, skreślono prawie wszystko, co dotyczyło spraw polskich. Skreślono także następujący dowcipas. Opisał on znaną scenę, kiedy Churchill podczas wojny z Burami wyłaził z wagonu, a Botha przystawia mu pistolet do brzucha. Jakkolwiek później, dowcipkował autor, i Churchill i Botha byli premierami, to o tym pierwszym spotkaniu dwóch przyszłych premierów nie można było powiedzieć, że się odbyło w serdecznej atmosferze. Cenzura dlategoż uznała taki zwrot za niedopuszczalny.

Pomimo jednak tych ostrych przemówień zebranie literatów w styczniu skończyło się w sposób spokojny. Iwaszkiewicz wygłosił przemówienie łagodzące i uspakajające. Co więcej rozpoczęto starania, aby wznowić jakieś drugie pismo literackie w Warszawie, aby literatom zapchać gębę.

W lutym już odbyło się zebranie, zwołane przez warszawski oddział Związku Literatów, poświęcone założeniu takiego pisma. Na tym zebraniu Słonimski przemawiał bardzo dowcipnie, opowiadając o swojej rozmowie z pewnym pisarzem rosyjskim. „Niech pan pisze dla ludu” — powiedział mu ten pisarz”. Ależ ja piszę dla ludu” — odpowiedział mu Słonimski. „Ale niech pan pisze tak, jak pisał Mickiewicz” — nastawał ten Rosjanin. — „Próbowałem. Trudne” — odpowiedział Słonimski.

Potem Słonimski dodał, że powiedział jeszcze: — Powołuje się pan na Mickiewicza, ale cóż to jest „Pan Tadeusz” pod względem ideowym: religianstwo, szlachetczyzna i hajda na Moskale.

Na tym drugim, to jest lutowym, zebraniu literatów wypowiedziała także wiele przemówień przeciw cenzurze duża ilość zebranych.

Konferencja u premiera Cyrankiewicza

Złożony przez Antoniego Słonimskiego w kancelarii Prezesa Rady Ministrów w dniu 14 marca list brzmiał jak następuje:

Do p. premiera Józefa Cyrankiewicza w Warszawie.

„Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję państwa polskiego i zgodnych z dobrem narodu.

Leopold Infeld, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Paweł Jasienica, Konrad Górski, Maria Ossowska, Kazimierz Wyka, Tadeusz Kotarbiński, Karol Estreicher, Stanisław Pigoń, Jerzy Turowicz, Anna Kowalska, Mieczysław Jastrun, Jerzy Andrzejewski, Adolf Rudnicki, Paweł Hertz, Stanisław Mackiewicz, Stefan Kisielewski, Jan Parandowski, Zofia Kossak, Jerzy Zagórski, Jan Kott, Wacław Sierpiński, Kazimierz Kumaniecki, Artur Sandauer, Władysław Tatarkiewicz, Edward Lipiński, Stanisław Dygat, Adam Ważyk, Marian Falski, Melchior Wańkowicz, Jan Szczepański, Aleksander Gieysztor, Julian Krzyżanowski”.

Nazwiska powyższe reprezentują uczonych, pisarzy w ścisłym tego słowa znaczeniu, a także publicystów. Najwybitniejszą pozycją wśród podpisanych był chyba prof. Tadeusz Kotarbiński, niedawny prezes Polskiej Akademii Nauk, uczony, którym się bardzo chlubiła Polska Ludowa i zawsze go wysuwała naprzód. Poza tym nazwiskiem „opancerzonym” od wszystkich represji był Leopold Infeld, znany całemu światu jako przyjaciel i współpracownik Einsteina, człowiek na którego czekają wszystkie katedry uniwersyteckie w Ameryce i Europie.

W dniach 23 i 24 marca 1964 r., czyli dziesięć dni po złożeniu omawianego listu u premiera Cyrankiewicza, zaczęły o nim mówić prasa i radio zachodniej Europy, między innymi monachijska rozgłośnia „Wolnej Europy”.

W dniu 26 marca ukazał się wewnętrzny komunikat radia, w którym zabraniano ogłaszać w radio lub telewizji dwunastu z pisarzy podpisanych na liście. Następnego dnia radio dodało jeszcze dwóch. Zakaz dotyczył nie tylko korzystania ze współpracy z tymi pisarzami, względnie wypłacania im honorarium w jakiegokolwiek formie, ale także wzmiankowania o nich w pogadankach radiowych.

Moim zdaniem stosowanie przemilczenia, wymyślone jeszcze w XIX wieku przez prasę wiedeńską i przejęte przez zmozy innych koncernów prasowych specjalnego gatunku, stanowi najobrzydliwszą i najbardziej nielojalną formę walki politycznej. Człowiek podatny na jakiegokolwiek tradycje szlachetności i lojalności w

polemice nigdy do tej geszeftowskiej metody uciekać się nie będzie.

Od dawna był już zapowiedziany występ Melchiora Wańkowicza przez radio w dniu 1 kwietnia. Na skutek tego okólnika zo stał on odwołany i wszystkie wydawnictwa, które drukowały do tychczas wysoce utalentowane gawędy Wańkowicza wyrzekły się z nim współpracy.

Antoni Słonimski, dotychczas co tydzień umieszczał w „Szpilkach” felieton w stałej rubryce: „Załatwione odmownie”. Teraz zastosowano do niego represje i felietony te ukazywać się przestały. „Szpilki” odziedziczyły tytuł po przedwojennym dobrym tygodniku satyrycznym. W obecnych „Szpilkach” czytało się tylko dwóch autorów: Słonimskiego i zawsze doskonałego Józefa Prutkowskiego. Poza tym jakiś „wuj Teofil” redaguje to pismo humorystyczne rozpylając nudę i przygnębienie z przedśionka zakładu pogrzebowego. Słonimski więc nie wiele stracił rozstając się z tą redakcją.

Plebiscyt „Kuriera Polskiego” w sprawie najlepszej książki ostatniego roku wygrał Paweł Jasienica. Redakcja „Kuriera Polskiego” składa się po części z ludzi, którzy za bierutowych czasów siedzieli w więzieniu. Chcieli oni w związku ze swoim plebiscytem zamieścić wywiad z Jasenicą, ale spotkało się to z zakazem cenzury. Żadne z pism krajowych od 1 kwietnia nie umieściło jakiegokolwiek artykułu Jasienicy, tego wspaniałego publicysty historycznego.

Wydawnictwa „Paxu” także od 1 kwietnia zawiesiły swoją współpracę ze Stanisławem Mackiewiczem.

Wreszcie „Tygodnik Powszechny” ukarany został zmniejszeniem przydziału papieru o 10 tysięcy egzemplarzy. To także chwyt w walce politycznej poniżej pasa. Stefanowi Kisielewskiemu konfiskuje się od tamtego czasu artykuł za artykułem.

Po tych wszystkich represjach szereg pisarzy z podpisanych na liście 34 zostało w dniu 8 kwietnia zaproszonych na konferencję z premierem Cyrankiewiczem. Premier zaprosił także dwóch wysokich urzędników państwowych pp. Schaffa i Jabłońskiego, oraz literatów: Putramenta jako kierownika organizacji literatów partyjnych, a także wiceprezesa związku literatów Maliszewskiego, bo Iwaszkiewicz wojażował po Włoszech, oraz poetę Przybosa.

Z sygnatariuszy listu 34 zaproszeni byli: pani Kowalska, prof. Karol Estreicher, prof. Kazimierz Wyka, prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Aleksander Gieysztor, prof. Lipiński, prof. Szczepański, Parandowski, prof. Krzyżanowski, Jerzy Zagórski, Dygat, Andrzejewski, Adolf Rudnicki.

Była zaproszona także pani Maria Dąbrowska zamieszkała w

Komorowie pod Warszawą, ale wóz Związku Literatów po nią wysłany utknął w piaskach i jej nie przywiózł.

— To wasz samochód — powiedział Cyrankiewicz zwracając się do Putramenta.

— Nie, to takie pańskie drogi — odpowiedział Putrement.

Przyjęcie ze strony premiera Cyrankiewicza było bardzo uprzejme, kurtuazyjne i jak najbardziej ugodowe. Była herbata, kawa i góry zakąsek po staropolsku. Kiedy Schaff zaczął przemawiać i podniósł głos, siedzący naprzeciw niego Karol Estreicher przerwał mu mówiąc:

— Czego pan tak krzyczy?

— Karolku — odezwał się do prof. Estreichera premier, który jeszcze z czasów uniwersyteckich jest z nim na ty — ty go nie znasz, on u nas zawsze tak samo krzyczy.

Poeta Przybós w przemówieniu oskarżycielskim nazwał Słonimskiego kiepskim poetą. Cyrankiewicz przerwał mu powiadając:

— Ale sam pan przyznaje, że jest znakomitym felietonistą.

Podziwiam zřeczność tego premierowskiego zdania. Nie wyowiada ono oceny pisarskiej twórczości Słonimskiego, chwytając się tego: „sam pan powiedział” a jednak było to kulturalną i właściwą obroną literata przed... Trudno mi zakwalifikować zachowanie się poety Przybosia. Oczywiście ma on prawo oceniać twórczość innego pisarza, jak chce, ale przyjsć na konferencję polityczną, będąc samemu poetą i tak się odzywać! Sądję, że każdy świadek tej sceny uważał to za dowód złego wychowania, rezerwując sobie surowszą kwalifikację.

Cyrankiewicz jest niewątpliwie lepiej wychowany od poety Przybosia i ma ludzkie uczucia. Przemawiając na tej konferencji powiedział, że od jakiegoś wybitnego pisarza z Krakowa otrzymał list, że ponieważ teraz wielu ludzi drukować się nie będzie, więc może znajdzie się papier na wznowienie jego dzieł.

— Mam nadzieję, że więcej takich szkalących propozycji otrzymywać nie będę — pięknie powiedział premier Cyrankiewicz.

Co do meritum sprawy premier przemawiał także pojednawczo, ale nielogicznie. Powtarzał ciągle tezę rządu, że rząd wcale nie uważa za przestępstwo to, że szereg pisarzy i uczonych zwróciło się z tym listem, natomiast rząd jest oburzony, że o tym wystąpieniu powiadomiona została zagranica, zanim nawet premier udzielił odpowiedzi sygnatariuszom listu. Ale jeśli tak, to jak usprawiedliwić represje, o których powyżej była mowa. Trzeba mieć chociażby jakieś poszlaki, że ci, na których represje spadły, byli czynni w przekazywaniu tego listu zagranicą.

Poza tym cóż się takiego złego stało, że treść listu została przed zagranicą ujawniona. O tym, że cenzura działa, na to nie

trzeba listu, przecież z tego robić tajemnicy nie można. To, że pisarze przeciw tej cenzurze protestują to dowodzi także tego, że w Polsce Ludowej przestały już działać metody stalinowskie, za których to trwania napisanie takiego listu byłoby nie do pomyslenia.

Dziesięciu walecznych opuszcza Warszawę

W dniu 24 kwietnia 1964 r. telefony pobudziły sygnatariuszy listu 34 wzywając ich zaraz, na godzinę 11 min. 30 na konferencję do Związku Literatów. Stawili się: Andrzejewski, Jasienica, Jastrun, Kisielewski, Kott, Kowalska, Mackiewicz, Parandowski, Rudnicki, Sandauer, Słonimski, Ważyk, Zagórski. W nieobecności wciąż przebywającego we Włoszech Jarosława Iwaszkiewicza przyjął ich Jerzy Putrament, który jest jednocześnie wiceprezesem Związku oraz kierownikiem organizacji literatów partyjnych. Zawiadomił on zebranych, że za dwie godziny odlatuje aeroplanem do Londynu tamtejszy ambasador Polski Ludowej i wiezie z sobą list 10 profesorów uprzednio podpisanych na liście 34 do „Timesa” i on, Putrament, wzywa obecnych do natychmiastowego przyłączenia się do tego listu. Na razie jednak tekstu tego listu profesorów nie było i dyskusja była hipotetyczna, ale z miejsca zebrani pisarze przypuszczali że tu chodzi o jakieś „pakajanie”. Padły nawet wyrazy o „neo-stalinowskich” metodach, surowo skarcone przez Putramenta. Zebranie było dość chaotyczne, bo Putrament był i przewodniczącym i referentem sprawy i stroną i stanowczym polemistą, nie zgadzającym się ze zdaniem wszystkich obecnych. Potem obrano na przewodniczącego panią Kowalską i wreszcie nadszedł list, który za chwilę miał odbyć podróż powietrzną. Zawierał on twierdzenie, że żadna z osób, która podpisała list do premiera nie była obecnie pozbawiona prawa wykładania, czy publikowania swych książek. Było to zdanie dość ryzykowne, bo wydawcą książek w Polsce Ludowej jest państwo, względnie wydawnictwa od organów państwowych ściśle uzależnione a więc profesorowie nie mogli twierdzić, że książki sygnatariuszy 34 będą wydawane, a dotychczasowe zakazy druku nabrały raczej pesymistycznie. Toteż Słonimski oświadczył, że treść listu jest kłamliwa. Amatorów przyłączenia się do tego „pakajania” jak wszyscy się wyrażali wśród zebranych literatów nie było. Znacząco było, że Putrament z góry się orientował w nastrojach i nie liczył na pomyślny wynik swojej misji.

Profesorowie, którzy *pakajanie* podpisali nazywali się: Aleksander Gieysztor, Konrad Górski, Leopold Infeld, Kazimierz Kumaniecki, Julian Krzyżanowski, Edward Lipiński, Jan Szczepański, Wacław Sierpiński, Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Wyka.

Powołamy się na przykład Leopolda Infelda. Wspominałem już, że jest człowiekiem zupełnie „opancerzonym”, korzystającym ze swej światowej naukowej sławy. Włos mu z głowy spaść nie może. Nikt go nie mógł przecież zmuszać do podpisania listu 34, który był wyrazem określonego politycznego stanowiska dążącego do zniesienia, względnie przynajmniej złagodzenia cenzury w Polsce Ludowej. I oto w półtora miesiąca później, tenże światowej sławy uczony podpisuje list, który jest działaniem odwrotnym, w którym uprzednie swe stanowisko przekreśla. Podpisywać jedno, a potem odwoływać nie jest to zajęcie zgodne z pojęciem dżentelmana, przeciwnie jest to stanowisko nad wyraz niepoważne. Zresztą potem prof. Infeld napisał jeszcze trzeci list, po raz trzeci zmieniając swe stanowisko, ale już to na nikim poważnego wrażenia nie zrobiło.

Toteż z satysfakcją należy stwierdzić, że nie wszyscy profesorowie podpisani na liście 34 zachowali się tak, jak prof. Infeld. I to nie tylko profesor Maria Ossowska, co jest naturalne, bo raz jeszcze powtórzę, że w Polsce kobiety są zawsze odważniejsze od mężczyzn, ale także prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Stanisław Pigoń, prof. Falski i prof. Estreicher odmówili swoich podpisów na pokajaniu. Chodziły nawet plotki po Krakowie, że prof. Pigoń powiedział, że zrzuci ze schodów tego, kto mu to proponować się ośmieli i rzeczywiście nie był w tej sprawie nagabywany.

Ogromne znaczenie ma stanowisko prof. Tadeusza Kotarbińskiego, tego laickiego świętego Polski Ludowej. Poparł on swego czasu anty-kościelne stanowisko rządu i wytrwał na tej linii. Było to reklamowane w sposób możliwie hałaśliwy. Teraz jednak prof. Kotarbiński upomniał się o zasadniczą pozycję wśród praw człowieka, o swobodę wypowiedzania myśli. Widzimy więc, że nie tylko jest odważny, ale i konsekwentny.

W tydzień po pokajaniu profesorów nastąpił ogólny spód grafomanów, ale także niestety prawdziwych, rasowych, wybitnych pisarzy na proteście przeciwko „Free Europe”. Należy się dokładnie przypatrzeć wszystkim elementom tej akcji.

Przed wszystkim mieściło się w niej to słuszne przekonanie, że otwarcie za utrzymaniem cenzury w Polsce nikt się nie opowie. Należało więc użyć jakiegoś tematu, który by pośrednio wskazywał, że literaci w sprawie cenzury nie solidaryzują się ze stanowiskiem listu 34. Takim tematem były napaści „Free Europe”. Ale przecież te napaści z dnia na dzień trwają już od kilkunastu lat, więc nie mogło być żadnej wątpliwości, że tu nie o „Free Europe” chodzi.

Zebrano tych podpisów rzekomo contra „Wolnej Europie” około 600. Przeważnie były to nazwiska niewiele, lub zgoła nic ogółowi nie mówiące, lecz było kilkadziesiąt nazwisk pierwszo-

rzędnych, pisarzy przeważnie starszego pokolenia w dawniejszym swoim życiu liberałów, endeków, lub nawet piłsudczyków. Miejmy dla nich współczucie. Nie można o nich sądzić, że chcieli bronić cenzury. Po prostu okupacja hitlerowska i czasy stalinowskie nie przechodzą bez śladów na systemach nerwowych. Represje w formie wstrzymania druku artykułów swoje zrobiły.

Nadspodziewanie jednak ów spód, który miał być wielkim zwycięstwem obrońców cenzury w Polsce, stał się czymś wręcz odwrotnym. Oto 57 literatów-komunistów, literatów-członków partii, odmówiło swych podpisów na tej obronie cenzury zakamuflowanej w potępienie „Free Europe”. Nie będę powtarzał nazwisk, ale powiem, że 32 tych pisarzy partyjnych było z Warszawy, a reszta z prowincji.

Nie można już dziś mówić o liście 34 intelektualistów bez partyjnych bez uzupełnienia, że treść tego listu była poparta przez 57 pisarzy partyjnych. Bo chyba odmowę złożenia podpisu na dokumencie do którego sfery rządowe tak wielką przywiązywały wagę można uznać za poparcie anty-cenzuralnego stanowiska.

Przemówienie pani Marii

W końcu maja zjawił się u pani Marii Dąbrowskiej, zamieszkałej w Komorowie pod Warszawą, samochód Władysława Gomułki z zaproszeniem jej na konferencję z pierwszym sekretarzem partii. Panią Dąbrowską bolała jednak tego dnia głowa i nie pojechała. Gomułka powiadomił ją, że sam do niej przyjedzie. Był to z jego strony gest bardzo uprzejmy, dowód jak dalece Gomułka szanuje literaturę polską w osobie jej znakomitej przedstawicielki.

Ale Gomułka do Komorowa nie przyjechał. Nie jest to daleko od Warszawy, wszystkiego kilkanaście kilometrów przez Pruszków, ale droga, która tam prowadzi, jest godna najdzikszych miejscowości Konga. Tylko tyle, że nie ma lwów, ani słoni.

Należy jednak przypuszczać, że Gomułka nie przestraszył się złej drogi, bo 90% dróg w Polsce jest w podobnym stanie, lecz że uległ prośbie Zarządu Głównego Związku Literatów. Właśnie na Ojczyzny łono wrócił z Włoch Jarosław Iwaszkiewicz i upomniał się o to, że reprezentować literatów wobec Gomułki powinny oficjalnie wybrane władze. Miała miejsce audiencja Zarządu Związku i padły obietnice co do papieru. Było to oczywiście zręczne wykorzystanie gaffy z wymienieniem sprawy papieru na pierwszym miejscu w liście trzydziestu czterech. Była podobno także mowa o tym liście, przy tym — znowuż podobno — zgodzono się, że list ten powstał z zazdrości Słonimskiego do Iwasz-

kiewicza o to, że Iwaszkiewicz otrzymał order i zawsze ile razy zechce otrzymuje paszport i przydział dewiz na wyjazdy zagranicę.

Po czym, w dniu 12 czerwca, miało miejsce zebranie literatów celem wyboru delegatów na zjazd walny Związku, który odbędzie się w Lublinie we wrześniu. Zebranie to zwołane było przez Zarząd Oddziału Warszawskiego złożony z ludzi powściągliwych i lojalnych. Ten zarząd wystawił listę kandydatów na delegatów złożoną z tych samych ludzi, którzy środowisko warszawskie na ostatnim walnym zjeździe literatów reprezentowali. Miało to na celu uniknięcie dzielenia literatów na posłusznych i nieposłusznych.

Ale to właśnie zebranie z 12 czerwca stało się widownią faktu, mającego równie duże znaczenie co sam list 34. Oto pani Dąbrowska w znakomitym wprost przemówieniu dała odprawę wszelkim krytykom listu 34. Było to arcydzieło polemiki. Bardzo spokojne, bez cienia irytacji, a jednak wyśmiewało to co było do wyśmiania. Wzruszający był widok tej kobiety szczupłej i niedużego wzrostu, odczytywującej z wyraźnym wysiłkiem swe przemówienie, swe argumenty czyniące wrażenie młota uderzającego w szkło.

Po zakończeniu przemówienia pani Dąbrowskiej wszyscy obecni wstali z miejsc i zrobili jej długotrwałą owację.

Pani Dąbrowska wskazała, że od kilku miesięcy trwa dziwna polemika z listem 34. Zabiera głos tylko strona oskarżająca, przy czym nigdzie nie była ujawniona ani treść listu, ani nazwiska podpisujących. Jedynie „Współczesność” zamieściła tekst listu, ale go sfałszowała przy tej sposobności.

Następnie pani Dąbrowska zacytowała długą listę osób, którym odmówiono druku artykułów, bądź umieszczenia wywiadów, bądź wstrzymano odczyty. Między innymi redakcja „Twórczości”, literackiego miesięcznika kierowanego przez prezesa Związku Jarosława Iwaszkiewicza, wycofała już złożone artykuły tych, którzy podpisali list 34.

Te dokładne i szczegółowe informacje pani Dąbrowskiej o represjach wobec pisarzy najlepiej wskazują jak niesumienne było „pokajanie” dziesięciu profesorów. Skoro dziesięciu walecznych zapewniało redakcję „Timesa”, że nikomu nie będzie wstrzymany druk książek, co mogło być tylko ich własną hipotezą, to powinni byli, gwoili ścisłości, dodać, że natomiast artykuły, wywiady i odczyty są wstrzymywane, co nie było już żadną hipotezą, ale dokonany fakt.

Pani Dąbrowska powiedziała złośliwie, że teraz robi się segregację literatów, a niedawno przy jakimś zbieraniu podpisów

nie zwracano uwagi nie tylko na przeszłość polityczną podpisujących, ale nawet na jego moralność.

Długo mówiła pani Dąbrowska o zebranych 600 podpisach na proteście przeciwko „Wolnej Europie”. Zaznaczyła, że nigdy „Wolnej Europy” przez radio nie słucha, toteż zdziwiło ją nadzwyczajnie, że tylu członków Związku Literatów tak dokładnie te audycje studiują. Nie można było większego „Free Europe” zrobić prezentu, ani reklamy. Jak najślusniej pani Dąbrowska dodała, że „Wolnej Europy” nie zwalczy się tego rodzaju protestami, które ją po prostu reklamują. Jest jeden sposób walki z „Free Europe” — to zwrócić wolność prasie polskiej w kraju. Nawet za czasów Października dał się zauważyć spadek zainteresowania audycjami „Wolnej Europy”.

Po przemówieniu pani Dąbrowskiej miał miejsce nader znamieny incydent. Oto zabrała głos pani Natalia Modzelewska żona zmarłego ministra spraw zagranicznych, człowieka wyjątkowej ideowej wartości, który zawziętym komunistą był jeszcze na ławie gimnazjalnej w Częstochowie, jeszcze przed pierwszą wojną światową. Pani Modzelewska demonstracyjnie postawiła kandydatury na delegatów na zjazd wrześniowy pani Dąbrowskiej, Słonimskiego, Kotta, Andrzejewskiego, Jastruna, Ważyka i Sandauera, czyli sygnatariuszy listu 34, wyrażając się o nich „najlepsi wśród nas”.

Rzecz inna, że wszyscy postawieni przez panią Modzelewską kandydaci rzekli się tego zaszczytu. Zwracam tu uwagę, że pani Modzelewska nie wysuwała ludzi których przekonania nie odpowiadały jej poglądom. Ale jej wystąpienie było bardzo ciekawe: był to głos tej grupy, którą w tej rozgrywce uważam za najważniejszą, mianowicie członków partii solidaryzujących się z walką o zniesienie cenzury w Polsce, lub złagodzenie jej potworności.

W dalszym ciągu zebrania odpowiadał pani Modzelewskiej płk Załuski, pisarz i mówca bardzo inteligentny i zajmujący. Zebrani mieli więc przed oczami dyskusję dwóch odłamów partii: puławian z partyzantami.

Z wielką kurtuazją i szacunkiem odpowiadał pani Dąbrowskiej Jerzy Putrament. W czasie jego przemówienia miał miejsce incydent, który rozśmieszył wszystkich. Oto Iwaszkiewicz przerwał Putramentowi jakimś *zwischenrufem* ni w pięć ni w dziewięć. Putrament odpowiedział: „wybaczcie, ale na polityce znam się lepiej niż wy”. Sala wybuchnęła śmiechem, a Iwaszkiewicz, który później zabrał głos, skarżył się, że na niego krzyczano. — „Ależ nikt na pana nie krzyczał” — powiedział przewodniczący, którym był Jerzy Zawieyski. — „No tak, ale robiono

różne miny w moją stronę” z ujmującą szczerością odpowiedział Iwaszkiewicz.

Jakiż inny jest stosunek środowiska literackiego do tych dwóch pisarzy: do Dąbrowskiej i Iwaszkiewicza. — O Dąbrowskiej nikt inaczej nie mówi, jak z największym szacunkiem. Iwaszkiewicz zawsze wzbudza niezamierzoną przez siebie wesołość. Zresztą sam sobie winien. Gdy chodzi, to tak zabawnie nadyma się, jakby był z gumy.

Po przemówieniu Putramenta dyskusja zaczęła nabierać tonów zawziętych. Przemawiał Kisielewski, powołując się na swoją krytykę cenzury w Sejmie. Poseł Kisielewski jest reinkarnacją Stańczyka. Za czasów Stańczyka, za Zygmunta Starego, Polska była krajem wolności, dziś jest domem niewoli, ale Stańczyk wypowiadał rzeczy bardzo mądre w żartobliwej formie. To samo robi Kisielewski. Łatwiej było jednak Stańczykowi na dworze Zygmunta Starego, niż u Iwana Groźnego.

Przemawiał Mackiewicz, któremu Fiderkiewicz, starszy gość, były ambasador Polski Ludowej gdzieś zagranicą, przerywał wrogimi okrzykami wypominając mu działalność przedwojenną. Mackiewicz mówił o stosunku rządu do cenzury. Cenzura jest jak morfina — wywodził, na razie przynosi korzyść, ale osłabia cały organizm, jeśli się ją przedłuża.

Ostre starcie było pomiędzy Koźniewskim publicystą z „Polityki” a Jasienicą. Na ogół, co jest ciekawe, nikt otwarcie cenzury nie bronił ani jednym słowem. Widać ci literaci wyczuwali, że obrona cenzury przez pisarzy byłaby czymś tak niestosownym, jak oda psa do własnego kagańca. Natomiast atakowane były różne inne sprawy z listem 34 związane, ale trzeba przyznać, że dość umiarkowanie. Nad tym zebraniem górowało świetne i poważne przemówienie pani Dąbrowskiej.

Ostatnim mówcą był Melchior Wańkowicz, który przemawiał w charakterze sygnatariusza listu 34. Zrobię tu dygresję mówiąc słów kilka o tym pisarzu. Jak przyjechał do Polski Ludowej z Ameryki, to był tu noszony na rękach, wszystkie pisma zabiegały o jego współpracę. Kierowniczka jednej z bibliotek publicznych w dużym mieście prowincjonalnym mówiła mi, że Wańkowicz jest najpopularniejszym z żyjących pisarzy. I oto raptem się wszystko urwało, i to jeszcze przed podpisaniem przez niego listu 34. Popularność Wańkowicza w całej pełni się ostała, lecz wydawnictwa przestały drukować jego książki, gazety rezygnowały z jego artykułów. Widać z tego jak dalece w ustrojach despotycznych łaska pańska na pstrokatym koniu jeździ.

Technika wyborów na zjazd walny literatów jest następująca: Zostaje rozdana lista kandydatów uprzednio ustalona, po czym każdy z tej listy skreśla kandydatów, którzy mu nie odpo-

wiadają. Po obliczeniu głosów w dniu 12 czerwca okazało się że najwięcej głosów, to jest najmniej skreśleń otrzymali ci pisarze, którzy są członkami partii, ale odmówili swoich podpisów na spędownym proteście przeciw „Free Europe”.

Toteż sprawa listu 34 nie zesła z łam gazet i przemówień. Nie jest to rzeczywiście jakaś dyskusja merytoryczna, lecz raczej poszukiwanie inicjatorów listu 34, czyli mówiąc językiem właściwym „zaczinszczików” tego listu. Najczęściej wymienia się nazwisko Słonimskiego. Na IV Walnym Zjeździe Partii Józef Lenart wskazywał na zastygłego w liberalnej pozie liberała — Słonimskiego i premiera rządu londyńskiego — Mackiewicza, jako na wrednych zaczinszczików. Inni obok Słonimskiego wymieniają Jasienicę, Ważyka, Kotta itd.

Ale poparcie, które wołaniu o złagodzenie cenzury dało 57 wybitnych pisarzy-członków partii powinno zwolenników cenzury przekonać, że chodzi tu nie o knowania takiego czy innego zaczinszczika, lecz o sprawę zasadniczą, dziś może najważniejszą z możliwych do zrealizowania spraw dla dobra Polski.

Gaston de CEREZAY

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Dziennik transatlantycki

Lady Mackbeth. Wciąż myją i myją sobie ręce... (na początek).

Krany. Łazienki. Mycie higieniczne... jednak.

Długość nóg i wyblakłość pewna w oczach i kark i kolor skóry... egoistyczne... (Ale np. Szwedzi? Norwegia, Holandia?).

Kelnerzy. Balet. Opoka. Nie męczą się nigdy. Bez zmaży. Uprzejmość. (Niemiec jako aktor).

Czy lubią maskę i grę? (Od tej strony też można, w ogóle, niestety, wszystko można).

Odosobnienie. Współpracują ze sobą, czyli udzielają się sobie tylko częściowo, w ramach funkcji. Ich samotność pochłonięta przetwarzaniem świata i zaspakajaniem potrzeb. Żenią się wcześniej. Żeby zastosować kobietę, zaprząć do pracy...

Północ, północ... Ile w nich jest z nich samych, a ile po prostu z północy (Anglicy? Szwedzi? Duńczycy?). Na to odpowiedź: cechy północne potęgują się i przetwarzają w ich masie, niesłychanie zwartej. I w końcu przetwarzają się w skrzydła. Porwywające! (Można i tak. Gdy jeden człowiek myśli o kilkudziesięciu milionach... można wszystko...).

Niemiec skazany na Niemców.

Niemiec skazany na Niemców, to znaczy w wersji najprostszej: komuż on ma zaufać, jeśli nie swojemu inżynierowi, generałowi, myślicielowi? Robota niemiecka zawsze była bardziej solidna. Niemcy, oto naród gdzie robotnik darzy zaufaniem elitę, a elita odnosi się z ufnością do robotnika... Prawda, przegrali dwie olbrzymie wojny, ale trzymali w szachu cały świat i, póki nie zostali zdruzgotani, wodzowie prowadzili ich od zwycięstwa do zwycięstwa. Mimo wszystko, są przyzwyczajeni do zwycięstw: w

fabryce, na wojnie, we wszelkim rozwiązywaniu zadań... Hitler, to była także, przede wszystkim, kwestia zaufania.

Ponieważ nie mogli uwierzyć żeby to było aż tak prostackie, więc musieli przyjąć, że genialne...

Paralela: Polak uformowany klęskami, Niemiec — zwycięstwami.

Nie są bardziej zdolni, tylko bardziej boją się partactwa, które im jest obce... (twarz elektrotechnika, naprawiającego przewody w windzie, skupiona, bolesna, prawie męcząca).

Etc, etc. Można by też iść po linii zestawień arbitralnych, przypadkowych i zobaczyć co z tego... Np. oczy — oczodoły, praca jako wariant aparatu, sprowadzenie do jedzenia, stosunek spoczynek-ruch, albo np. co jest zawsze *za nimi*, gdy idą... (wiele dałoby się powiedzieć; a korzyść niewątpliwa, że to by mnie uchroniło od wiecznie tych samych, schematycznych, ujęć, w których oni są, jak w klatce...).

Nie informować się.

Nie czytać, ani książek, ani gazet.

Nie oglądać muru.

Nie interesować się zanadto niczym.

Siedzieć w kawiarni i gapić się na ulicę...

(Notatki, sporządzone w kawiarni na Kurfürstendamm, gdy czekałem na Zuzannę Fels).



Nie, nie piszę o Berlinie, piszę o sobie — tym razem w Berlinie — nie mam prawa pisać o niczym innym. Nie gub swojego tematu!

Poznałem innych artystów, zaproszonych, jak ja, przez Fundację Forda. Sprawilem sobie kilka dystyngowanych garniturów. Wykańczałem rozdziały mojego dziennika, obejmujące podróż z Argentyny i pobyt w Paryżu. Coraz to spadały na mnie zaproszenia: koncerty, wystawy, colloquia.

Wydaje się jednak, że Tamto sprzed ćwierć wieku było tym, co mnie, poniekąd ahistorycznemu przybyszowi zza oceanu, najbardziej spędzało sen z powiek... czy wpędzało w sen... Idylla szła bowiem w parze z pewną potwornością, co do której można było mieć wątpliwość, czy jest dzisiejsza, czy wczorajsza — no bo, ostatecznie, dzisiaj wyprowadza się z wczoraj. Psy berlińskie, na przykład, są wysoce *correct*, jeden w drugiego, a jednak widywałem być może gdzieś w głębi snujące się psy, zupełnie spotworniałe. Niekiedy w rozmowach padało słówko niemniej okropne i także rozpięte między dziś a wczoraj — czy mi się śniło, na przykład (bo to przemieszanie czasów wtrąca w sen), że ktoś mi mówił „wie pan, tu gdzieś w pobliżu jest szpital, w którym

na zawsze są zamknięci ludzie okaleczali, zbyt okropni aby ich pokazać nawet najbliższej rodzinie. Rodzinom powiedziano, że zginęli”. Mówi się: — tam, za murem, był bunkier Hitlera (był, czy jest? Bo przecież jest ciągle, choćby jako były bunkier). Mówi się: — och, wojna, to były złe lata! Albo: — Od wojny jestem sama, mąż i syn zginęli. Zawieziono mnie do więzienia i pokazano zwykły, widny pokój z żelaznymi kółkami u stropu, które służyły do wieszania tych, co walczyli z Hitlerem — ale może nie do wieszania, do duszenia (bo ja dobrze nie rozumiałem, czasem nawet niedobrze słyszałem, jak to bywa w górach, na rzekach wielkich, w miejscach gdzie natura się ufantastycznia). I znowu: to „było”, czy „jeszcze jest”... choć niezupełnie, już przeżarte Czasem. Musiałem przecież widywać na ulicach miasta, tak przyzwoitego, tak głęboko moralnego, nie tylko psy spotworniałe, ale i ludzi-potworów, któż mógł zaręczyć, że prawa stopa tego pana w pewnym wieku nie dławiła wtedy czyjegoś gardła aż do skutku. Zdumiewająca ich siła w przewyżnianiu przeszłości, sprawia, iż czasem trudno ci uwierzyć... Pewnego razu siedziałem w kawiarni Zuntz w towarzystwie francusko-angielskim i uwagę naszą zwrócił stół, przy którym z dziesięć pań, już po pięćdziesiątce, świętowało zapewne jakieś imieniny. Ich schludność. Doskonała dyscyplina każdego włoska, każdej koronki. Ich niesłychana poprawność w konsumpcji ciastek. Ich grzeczność, dobry humor, życzliwość, ludzkość, dobroć, ich nieklamana, naturalna godność... dobrze, ale przecież, gdy Rosjanie wkraczali do Berlina, one były w kwiecie wieku... Tak to w tym mieście skowyt, wycie psa idiotycznego, psa makabrycznego, łączy się z imponującą wolą normalności.

Miejsce zbrodni, czy cnoty? Ja, osoba z Argentyny, ahistoryczna raczej i nieprzyzwyczajona, wciąż miałem wrażenie, że Berlin, jak lady Mackbeth, bez wytchnienia myje sobie ręce... I, w tych warunkach, wkraczające w życie pokolenie, ta olbrzymia fala odnawiająca i oczyszczająca, zaczynająca niejako od początku, zalewająca przeszłość, nabierała decydującego znaczenia — ale mnie ta młodzież niemiecka wciąż się wymykała, ponieważ kulawe dialogi, trochę po niemiecku, trochę po francusku, nie zezwalały na istotne zbliżenie. Ze wszystkich z nią spotkań najsolidniej utkwilo mi w pamięci świętowanie Nowego Roku 1964 w atelier pewnego młodego malarza, gdzie znalazłem się za sprawą mego przyjaciela Greka, Cristosa Joachimidesa. Gdy wszedłem do tego półciemnego, piętrowego atelier i ujrzałem młodzież północną, rozkładającą się na tapczanach, stojącą po kątach, od razu uprzytomniłem sobie ich przykucie do własnych rąk, ręce były najsilniejsze, one to wypełniały pokój zagęszczając się, lub rozluźniając, mocne, duże, czyste, o dokładnie obciętych paznokciach, ucywilizowane.

A głowy towarzyszyły rękom, jak chmura towarzyszy ziemi (nie było to wrażenie nowe, kiedyś już Roby Santucho, w Argentynie, tak mi się spychał, strącał, ku własnym rękom).

Ręce zbrodnicze? Ależ skąd, nowe przecież, niewinne... No- we i nie te same, a jednak, przecież, takie same... Jakaż różnica? Nie takie same oczy, włosy, usta, nie taki sam śmiech? Złoto- niebieski blondyn podał mi po przyjacielsku szklankę whisky, ale ta ręka wyciągała się do mnie *stamtąd*, czy *stamtąd* na mnie spoglądały... Ktoś inny położył mi rękę na ramieniu i to było braterskie, ale braterstwo, też *stamtąd*, było śmiercią... nie wiem, koleżeńską, a może wrogą... I w tejże chwili prześliczne dziewczę wzruszyło ramionami zabawnie, chodziło o miłość, miłość, tak, ale *tamto*, też było miłością, las, las rąk wyciągniętych przed siebie zdobywczco, miłośniczo, *heil*, ręce stwarzające! Głupstwo! Precz! Ma- jaki! Jacyż europejcy (z taką Europą nie spotkałem się w Pa- ryżu), spokojni i swobodni, ani szczypty szowinizmu czy nacjo- nalizmu, rozległe perspektywy w skali światowej, tak, to była najbardziej nowoczesna młodzież, jaką zdarzyło mi się widzieć. Nawet nie wypierali się przeszłości, widać było w półmroku, że *tamto* to już nie była ich sprawa, oni byli czymś innym i czymś nowym. Oderwać się! „Chodź, chodźmy, po co ci ten ich Achil- les!”. Pokolenie, jakby przez nikogo nie urodzone, bez rodziców, bez przeszłości, w próżni — tyle tylko, że wciąż przykute do własnych rąk — które to ręce co prawda już nie zabijały, a tylko zajęte były wykresami, rachunkami, fabrykowaniem, produkcją. I bogaci... przedziwne kurtki, piękne zegarki... ich wozy stały na ulicy...

Luksus zatem chłopców wysoce ucywilizowanych, w sercu samym Europy... a jednak skojarzenia zabijające co chwila wy- buchały mi w mózgu. Żeby załatać jakąś lukę w moim gęganii niemieckim zacytowałem Goethego *Hier ist der Hund begraben* i zaraz przyplątał mi się pies pogrzebany, nie, nie pies, ale jakiś rówieśnik, akurat taki sam, który przecież mógł leżeć gdzieś tutaj, w pobliżu, nad kanałem, pod domami, tu gdzie śmierć młoda mu- siała być gęsta w ostatniej walce. Szkielet ten tkwił gdzieś w pobliżu... A jednocześnie spojrzałem na ścianę i zobaczyłem tam, wysoko, prawie pod sufitem, wbity w ścianę hak, w gołą ścianę wbity samotnie, tragicznie, nic bardziej okropnego niż ten hak, tam, wbity, hak, w ścianę, wysoko, wbity, w gołą ścianę. Czy luksusowa i europejska młodzież, oderwana i samoistna, mogła domyślać się, co mnie chodzi po głowie? Wiedziałem, że oni ze mną nie chcą być „Niemcami”, podobnie jak ja z nimi nie chcia- łem być „Polakiem” — i może nawet, kto wie, oni już w ogóle nie chcieli być Niemcami, rzućni w świat, zaczynający od począt- ku, spragnieni jak najszerzych horyzontów. A jednak hak tkwił

w ścianie! Whisky. Wino. Sandwicze, ciastka, owoce. Rozmowy i flirty. Rozmawiało się zawsze o *czymś innym*, Brecht, Grass, studia, podróże, Lessing. W miarę zbliżania się godziny dwuna- stej rosła moja ciekawość... co zrobia z Czasem? Co zrobia z No- wym Rokiem? Co poczną z momentem, w którym wdziera się Przeszłość i Przyszłość? I cóż? Wybiła godzina, wystrzeliły korki szampana i oni uśmiechami, życzeniami, uściskami, zamazali so- bie chwilę niebezpieczną. Czy jedziesz do Grecji? Widzieliście wy- stawę Benratha? Piers Read jest w Anglii. Zobaczysz, na przy- szły rok będę już „Frau”. Ten Nowy Rok w Berlinie okazał się doskonale spokojny, mieszczański, bez Czasu właściwie i bez Hi- storii.

Byli więc ludźmi prywatnymi. I ja, który zawsze wysilałem się, żeby być w życiu istotą prywatną, nie mogłem temu nie przy- klasnąć. Obywatele świata. Europejczycy. Tylko ten hak w ścianie, wbity, wbity... tylko ów kościotrup bratni, śmierć w pobliżu... i tylko ręce, ta nieuchwytna przewaga rąk... Łyknałem jeszcze jednego wiskacza! Tam, wtedy, na paradach miłośniczo śmiertelnych, wydobyto z tej młodzieży ręce, wysunięto na czoło, och, las rąk wyprzedzający i wiodący naprzód... oni szli ze swoimi rękami... tu zaś, teraz, ręce były spokojne, niezatrudnione, prywatne, a jed- nak, a przecież, znów ujrzałem ich przykutych do rąk, strąconych w ręce.

Ręce niemieckie w Berlinie... już od dawna przyglądałem się im spod oka... te ręce niepokoją, ponieważ są bardziej skuteczne, bardziej na serio, powiedziałbym, wszelka robota niemiecka urze- czywistnia się lepiej... Ale zupełna pustka, śmiertelna cisza tych rąk, stały mi się oczywiste dopiero gdy je zoczył na tym przy- jęciu, u tych osieroconych młodzieńców, w tym mieście odbudo- wanym z gruzów, bez charakteru, będącym wyspą... tymczasową... Żaden z nich nie miał o co się zaczepić. Wielka tradycja Niemiec Goethego była zanadto skompromitowana tym co nastąpiło po niej. Hasła nowej Europy nie były dość żywe. Zresztą oni — te- raz — lękali się haseł, programów, ideologii, ba, nawet moralno- ści, owej skrupulatnej moralności niemieckiej, która doprowadziła do diabelskich wysokoków. Cóż więc? Praca. I wiedziałem, że każdy z nich ma coś do roboty, coś konkretnego, egzaminy, biuro, warsztat, malarstwo może lub literatura, produkcja, fabrykacja, technika, oni wytwarzali, a wytwarzając, przetwarzali, i to im wyznaczało na razie i póki co ich sens, funkcję, rolę... w pustce i ciszy rąk... w tym Berlinie z nieprawdziwego zdarzenia. Ujrzałem tę młodzież niemiecką jako uderzenie pięścią w świat zewnętrz-

ny po to, by się dowiedzieć kim się jest — jako przetwarzanie zewnętrzności, aby na tej drodze uzyskać w końcu świadomość własnego ja. Ale ileż razy już Niemcy uderzały, jak taranem, w świat aby dotrzeć do tej tajemnicy. Powtarzam: co przyniata, gdy się ma do czynienia z nimi, to świadomość, że tu gra się na serio: oto naród bynajmniej nie wtórny, a idący w pierwszej linii, więc posuwający się właściwie na oślep, nie naśladowający, a stwarzający, dziewiczy, bo zapuszczający się na tereny dziewicze. Tu nie wie się, czym się będzie, ani nawet, czym się może, lub nie może, być. Och, ich egzotyzm, ich hermetyczność (nawet i przede wszystkim, gdy się udzielają), ich własna treść nie dająca się wyrazić, to opanowanie, mające charakter szaleństwa, ta ludzkość, będąca wstępem do jakiejś ludzkości przyszłej, niewiadomej, ich „funkcjonalność”, dzięki której pięciu najzwyklejszych Niemców staje się całością nieobliczalną... to nie jest takie proste... Stój! Stój! Sen mara, Bóg wiara! Ręce tej młodzieży były przecież doskonale spokojne, prywatne, czegoż oni chcieli? Samochodu, żony i dzieci, awansu... po to pracowali... pragnęli przeżyć swoje życie możliwie przyzwoicie, to wszystko. Hak? Trup w pobliżu? Las rąk? To były tylko moje do nich komentarze.

I rzeczywiście nie wiadomo było czego się trzymać: gdy nigdy nie oglądałem młodzieży bardziej humanitarnej i uniwersalnej, demokratycznej i uczciwie a niekłamanej niewinnej... spokojnej... Ale... z rękami!

Dziwne i piękne: te głowy spokojne, oczy rozważne, punktualność, spokój, dobry humor... a jednocześnie to wszystko rozpedzone w przyszłość, galopujące. Niemiec jest niewolnikiem Niemców. Niemiec jest opanowany przez Niemców. Niemiec jest potęgowany, pchany, rozpędzany, uskrzydłany przez Niemców. Ale to się odbywa w spokoju.

W półcieniu widziałem, jak byli względem siebie, bokiem czy wprost, jak tworzyły się zagęszczenia niemieckie i wiedziałem, że tam „między sobą” byli raczej bezlitośni... czy tylko bezbronni...

Produkcja! Technika! Nauka! Jeśli Hitler stał się przekleństwem tamtego pokolenia, to jakże łatwo nauka może stać się klęską młodzieży niemieckiej. Nauka, zespalająca ich w abstrakcji, w technice, może uczynić z nich wszystko...

Byliż w stanie ci chłopcy odkryć i pojąć swój dramat — gdy on nie mieścił się w ich rozkładzie dnia?

Wyobraźmy sobie, że zapytam jednego z nich, czy lubi konfitury? Odpowie twierdząco. Ale gdyby odpowiedział przecząco, byłoby to samo... Gdyż jego potrzeby, gusta, smaki, są wynikiem jego uzależnienia od innych Niemców, konsekwencją tej figury, jaką oni, wszyscy razem, w danym czasie stanowią. Między sobą zmieniają sobie smak...

Kiedy wyszedłem o świcie na mroźną ulicę, dogasał w Berlinie Nowy Rok, samochody wracały wypełnione, jeszcze rozbańczone. Spokój już jawił się i sen... w mieście, pełnym pugilaresów, zegarków, pierścionków, swetrów pierwszorzędných... z utraconą przeszłością i przyszłością.

Ale już było wiadomo, że jutro miasto zacznie pracować znowu, na zwiększonych obrotach, w tempie które co dzień odrobinę się przyspieszało; a ta praca była solidna, normalna, jakby nigdy nic, coraz lepsze przynosząca rezultaty... praca zdrowa... Ulice wygodne, o drzewkach uszeregowanych, domy mocne, zażywe, spokojne... Berlin robi wrażenie kogoś idącego równo, pewnie, tyle tylko, że nie wiadomo *dokąd*. — Co oni sobie *robią*? — pytałem sam siebie, a słowo „zrobić” brzmiało mi jednocześnie jak „zrobić coś” (wyprodukować) i „zrobić coś sobie”. Oj, przybyszu z pampy, czy nie zbyt szparkie i pochopne te osady? Przecież cała Europa, odkąd wylądowałem w Cannes, wydała mi się jak oślepiona praca... nie spotkałem nikogo kto by nie był funkcją, kółkiem w maszynie, wszystkie życia były wzajemnie uzależnione, a genialność — zdobywca, szalona — porzucała człowieka aby stać się niepojętą wibracją mas ludzkich, rozpędzonych. Goethe? Zamiast Goethego — mastodonty fabryk, niemniej twórczych. Berlin co najwyżej, zawieszony w próżni, skazany na własne wibracje, posunął się w tym kierunku o krok dalej...

W czasie całego mego pobytu w Berlinie nie nasunął mi się ani jeden Goethe, Hegel, Beethoven, nic nawet, co by z daleka ich przypominało. Nie brak na pewno świetnych talentów technicznych, ale genialność — ta duchowa — ucieka z ludzi w produkt, w maszynę, gra w furczeniu pasów transmisyjnych, tam są genialni... poza sobą...

Ich zdrowie! Ich równowaga! Ich dobrobyt! Och, jakże często to mnie wręcz rozśmieszało, cóż to za dowcip, cóż za psikus historyczny, że właśnie tutaj, w centrum samych katastrof, ludziska żyją sobie najwygodniej i zarabiają najlepiej. Jakżeż komiczne, że spod tyłu bomb zapalających i rozwalających wydobyli się na wierzch — jakby nigdy nic, rumiani i w dodatku z neseserami, łazienkami... Oburzające! Gdzież sprawiedliwość... zwykła przyzwoitość!

Ale dobrze byłoby zrozumieć i zapamiętać, że ten naród asceetyczny i religijny (nawet gdy zabraknie Boga) rozdwa się na dwa sensy, dwie rzeczywistości. Walizki, nesesery, maszynki elektryczne do golenia — owszem, to wszystko ich rozpieszcza i łaskocze — ale zarazem to wszystko ich porywa i unosi. Dokąd? Ku czemu? Pytanie, ani łatwe, ani bagatelne. W każdym razie dobrze byłoby pamiętać, że dla nich luksus bywa poświęceniem, spokój drobnomieszczański — zażartym napięciem, i że, gdy łagodnie w śnieżno-słoneczne południe przystają przed swymi wystawami medytując czym by tu jeszcze się uraczyć, to właśnie wtedy gdzieś w ich górach, na ich pustyniach, rodzą się im ciśnienia, lawiny i w parciu, w mozołach, w huku i trzaskaniu, w warkocie wszystkich trybów, dokonuje się im nowy krok w Niewiadome.



Chcę pisać jak najdalej od polityki...

Co jest głupie, być może, gdyż gwałtowne odrodzenie ekonomiczne Republiki Federalnej zaważyło na całej Zachodniej Europie i stało się etc. etc. Wiadomo. I śnieg pada, białość spowijająca, o której prawie zapomniałem, cisza białości, miękkość białości zasnuwającej, jej senność, uparta, spadająca zwolna, zacierająca... Sen. Sen. Zamiast żebym miał być tutaj czujnym obserwatorem, wolę moje sny opowiadać, jestem senny, trzeźwość moja też jest rodzajem snu, czasem jak gdybym się budził, zaczynam mówić bardziej do rzeczy, ale zaraz spada mi na czoło jeden, drugi, płatek śniegu usypiającego... Zasnąłem, odkąd opuściłem Argentynę — i do tej chwili się nie obudziłem. Śnieg. Sen. Jeśli to już mają być moje obserwacje... to chciałbym, żeby możliwie najbardziej zostały rozluźnione snem.

Witold GOMBROWICZ

O cyganach i katastrofistach (3)

„Uzurpatorzy wolności”

Ktoś, kto by zadał sobie trud przejrzenia polskich czasopism literackich z końca roku 1935 i z 1936, natrafiłby na liczne artykuły i polemiki, związane z dwoma moimi artykułami, zamieszczonymi w „Wiadomościach Literackich” w odstępie kilku miesięcy: „Smutne porachunki” i „Uzurpatorzy wolności”. Wyjaśniałem w nich motywy, jakie skłoniły mnie do zerwania z komunizmem. Tu trzeba cofnąć się wstecz, do lubelskiego miesięcznika „Dźwigary”, którego pierwszy numer ukazał się w październiku 1934 roku.

Była to próba bardzo ambitna, a zarazem świadomie prowokacyjna pod adresem stojącej i gnijącej topieli polskiej „myśli” lewicowej. Z odległości tylu lat nietrudno zdać sobie sprawę, jak bardzo byłem nieprzygotowany do tej roli, jaką wziąłem na siebie z optymizmem wręcz nieodpowiedzialnym. Zamiar był naprawdę szaleńczy, a jednak, gdybym się przy nim uparł dłużej narobiłbym niesamowitej kaszy. Ale i tak skandal wypadł dość imponująco.

Przeciw ortodoksji i wbrew przyjętym w środowisku obyczajom popełniłem szereg karygodnych wykroczeń. Po pierwsze — pozwoliłem sobie postawić pod znakiem wątpliwości bezwzględny autorytet Związku Sowieckiego; po drugie — wyraźnie podkreśliłem, że polski ruch lewicowy nabierze siły i oryginalnych rumieńców z chwilą, gdy się usamodzielnia i uzna za istotną swoją odrębność narodową, ze wszystkimi dalszymi konsekwencjami. I wreszcie po trzecie — żądałem całkowitej autonomii dla literatury i sztuki, odrzucając, a raczej dając odmienną interpretację teorii o nadbudowie kulturalnej. Wiersze Czecho-

wicza, Miłosza, Zagórskiego i Piętaka, zamieszczone w pierwszym numerze „Dźwigarów”, a nie mające nic wspólnego z „poezją proletariacką”, stanowiły wymowną ilustrację do poglądów autora.

Gdyby wówczas istniało takie pojęcie, jak „narodowa droga do socjalizmu”, „Dźwigary” można by było chyba podciągnąć pod ten termin bez większego trudu. Urządziłem na własną rękę coś w rodzaju literackiego „października”, z tą jednak różnicą, że całkowicie na serio i bez błogosławieństwa „z góry”. Reakcja była natychmiastowa. Szenwald wystąpił w „Lewarze” z ostrą, choć powstrzymywaną w słowach krytyką, zarzucając mi wprowadzanie dywersji do ruchu lewicowego. Tyle, że na razie nie pisał o brudnych intencjach, ograniczając się do sugestii, ubranych dla elegancji w styl szekspirowski: „Jeżeli to szaleństwo, dlaczego w nim tyle metody?”.

Szaleństwo było niewątpliwe, metoda — również. Gdybym był bardziej powściągliwy i nie walił kłody przez pień, „Dźwigary” wychodziłyby przez czas dłuższy i niewątpliwie zrobiły swoje. Ale młoda niecierpliwość i temperament przemogły. Atak „Lewaru” stworzył dokoła mnie odpowiednią atmosferę. Władysław Kowalski, którego opowiadanie dała mi do numeru Boguszewska, wystąpił publicznie, oświadczając, że nadużyto jego zaufania (ale honorarium nie zwrócił), część członków „Przedmieścia” zażądała wydalenia mnie z grupy, jak to przedtem uczyniono z Haliną Krahelską. Były jednak i reakcje pozytywne. Zachęcający list napisał do mnie Broniewski, zgłosił akces do pisma i przysłał kilka wierszy Julian Przyboś. Lewicowe środowisko w Lublinie zachowywało się powściągliwie. Zbyt na mnie stawiali, więc postanowili przeczekać: co się też z tego wykluje...?

W drugim numerze miesięcznika odpowiedziałem gwałtownie na atak Szenwalda i wyraźniej jeszcze sprecyzowałem własne stanowisko, które sprowadzało się mniej więcej do takiego rozróżnienia: nie Komunistyczna Partia *Polski*, lecz *Polska* Partia Komunistyczna. „Herezja nacjonalistyczna” została tym samym przypieczętowana. Ale nie było to jeszcze zerwanie, tym bardziej, że w gruncie rzeczy napisałem to, co niejedni myśleli po kryjomu.

Dochodziły mnie jednocześnie nieprzyjemne wiadomości, z których wynikało, że cokolwiekbym w dalszych numerach napisał, i tak zostanie potępiony. Zjawilo się niedwuznaczne, powtarzane z ust do ust pytanie: — Za czyje pieniądze wydawane są „Dźwigary”? Akurat przyjechał do Lublina Bolesław Zandberg. Wiedziałem, że mnie lubi i ufa, więc zagadnąłem wprost, co o tym sądzi. Był zakłopotany, więcej — zażenowany. „No, ja wiem, że na pismo poszło stypendium literackie i dochody z korepetycji,

ale kto w to uwierzy?”. Istotnie — nie wierzono. Łatwiej było uwierzyć, że jestem agentem, a nie wariatem, wydającym ciężko zarobione pieniądze na pismo „dywersyjne”. A ja znowu nie należałem do tych, którzy nad tego rodzaju posądzeniami przechodzą do porządku dziennego.

Jak to często bywa, o dalszym ciągu zadecydował przypadek. Znałem dobrze pewnego starego komunistę, który rozpoczął swoją działalność jeszcze przed pierwszą wojną światową, w SDKPiL-u. Pracował gdzieś na wsi wołyńskiej pod Kowlem, a ze względów sentymentalnych dość często wpadał do Lublina. Z racji miejsca zamieszkania był członkiem KPZU (Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy). O taktyce partyjnej wyrażał się pogardliwie, śniła mu się akcja bezpośrednia, włącznie ze zbrojnym terrorem i ekspropriacjami. Ostrzegano mnie przed nim wielokrotnie, jako przed niebezpiecznym „lewakiem”, a kto wie, może nawet prowokatorem. Ostatni raz widziałem go w marcu 1935, właśnie w chwili, gdy ważyłem decyzję — ciągnąć „Dźwigary” dalej, czy machnąć na to ręką i zająć się osobistymi sprawami.

Mój znajomek przyjechał rozstrzęsiony. Niemal płacząc, opowiadał o tym, co działo się na Ukrainie w strasznych głodowych latach 1932-33. „Dochodziły mnie słuchy już dwa lata temu, ale wszystko uważałem za kapitalistyczne oszczerstwo. A teraz wiem, wiem na pewno, że to prawda. Więc jak? Jak teraz żyć? Splugawili święty ołtarz rewolucji...”. W dwa miesiące później popełnił samobójstwo.

Na temat rosnącego terroru w Rosji Sowieckiej nie można było nawet zająknąć się. Niedawny Zjazd Pisarzy Proletariackich w Charkowie dał wiele do myślenia uważnemu obserwatorowi. Denerwował i wręcz rozśmieszał prymitywizm metod, stosowanych przez krytyków literackich, uznanych za marksistowskie autorytety (2). To akurat wtedy wzięto na warsztaty postulat realizmu socjalistycznego, sprezentowany lekką ręką Maksyma Gorkiego, tuż przed śmiercią, która niejednemu wydała się podejrzana. Zastanawiałem się: jeżeli w warunkach nielegalnej konspiracji, przy

(2) Jaskrawym przykładem tego prymitywizmu — więcej: prostactwa! — niech posłuży komentarz do jednego z najświetniejszych wierszy Tuwima, o tygrysie, skradającym się w ciemnościach samotnego pokoju: „Stąd nie widać, oczywiście, tu nie słychać naturalnie...”. Czy istnieje lęk metafizyczny? Mroczne przeczucia, nie mające nazwy w ludzkim języku?

Sowiecki krytyk, wlepiwszy ślepią w marksistowską kość, nie dostrzegł, oczywiście, prawdziwego sensu wiersza, za to odkrył w nim symbolikę polityczną: ów tygrys to *faszysta*, którego nadejście przeczuwa poeta, zaś owe „w uszach wata, cztery kąty i ja piąty i papieros i herbata” — to znowu symbole drobnomieszczańskiej ślepoty politycznej!

Typowa reakcja szewca przed obrazem Apellesa.

nieustannym, wewnątrzno-partyjnym żarciu się i wzajemnym wyklinananiu różnych frakcji i frakcyjek istnieje sztywna cenzura wypowiedzi, jakże to będzie wyglądało, gdy ci sami surowi doktrynerzy uchwycą w ręce władzę, a wraz z nią możliwość sankcji?

Powodów było aż nadto, by na serio zrewidować swój stosunek do „proletariackiego” obozu. „Dźwigary” na razie zawiesiłem, powoli zbierając materiały dla ewentualnego wznowienia. Mając teraz nieco więcej wolnego czasu, zacząłem przygotowywać do druku przekłady z rosyjskiego (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski), oraz tom poetycki „Rozmowa z ojczyzną”, który, po wyparciu się przeze mnie licznych i zbyt pośpiesznie wydawanych juveniliów z lat wcześniejszych, miał stać się moim prawdziwym debiutem.

A więc w maju dowiedziałem się o samobójstwie znajomego z Kowelszczyzny. Zdarza się niekiedy, że samotnego, nocnego wędrowca dopadnie w czystym polu gwałtowna burza. Czarne zwaliska chmur, nie ma księżycy ani gwiazd, ciemność absolutna, idący na przełaj stracił orientację w terenie. Nikłe wybuchy dalekich błyskawic są nadto krótkotrwałe, by tę utraconą orientację odzyskać. Aż nagle oślepiające światło rozedrło niebo od horyzontu do horyzontu, zaleje niebo potokiem jasności, wyrwie z mroku okoliczny las i wzgórze, pola i domy wsi, niemal na wyciągnięcie dłoni, i już wiadomo, gdzie droga i jak na nią trafić. Taką błyskawicą stała się dla mnie owa tragiczna śmierć przypadkowego bądź co bądź człowieka.

Więc tak. A inne samobójstwa? Więc może to prawda, że Sierioży Jesieninowi nie tylko sama wódka zarzuciła stryczek na szyję? Więc może Majakowskiemu nie tylko jedna odmowa powrotu ukochanej kobiety włożyła nagan do ręki? A co z Mykołą Chwylowym? Ten nie był alkoholikiem i żadna piękna Lili nie pogmatwała mu życiowych ścieżek. Podobno Immanuel Kant lękał się snów, bo go wytrącały z uporządkowanego raz na zawsze trybu. Szermierze jedynej idei, zapatrzeni w nią jak ciele w malowane wrota, powinni lękać się i wystrzegać jak ognia podejrzliwych myśli, nawiedzających w samotne noce, a jeszcze bardziej wdziać ludzi umarłych, ofiarowujących im swoje zagadki do rozwiązania.

Nie chcę niczego upiększać, więc wypada dodać, że na decyzji odejścia zaważyły również motywy mniej urodziwe. Miałem 25 lat. Cztery najlepsze lata młodości oddałem temu, cośmy — zapewne za patetycznie — nazywali „polską rewolucją”. Konfiskaty, rewizje, areszty, więzienie, relegacje, wyroki... A jednocześnie prawie wszystkie zarobione pieniądze wpychane w druki i deficytowe wydawnictwa, „sowieckiemu psu pod ogon”, jak bru-

talnie w czasie jakiegoś pijaństwa wyraził się Bronek Michalski. Gdy coraz częściej zaczęły przychodzić chwile zwątpienia, wszystkie uroki młodości osaczały i wzywały ku sobie. A gdyby tak za forszę, przygotowaną na następny numer czasopisma, kupić sobie nowe ubranie, odnowić znajomość ze starą sztubacką sympatią i zaprosić ją na kolację do „Europy”, nie iść do Kazimierza nad Wisłą na piechotę, lecz pojechać wynajętą taksówką, urządzić starej matce święta wielkanocne, na jakie sama zdobyć się nie mogła, zjawić się nagle na zabawie w Kasynie Oficerskim i wywołać sensację smokiem, którego przedtem nigdy się nie miało?

Mieszczkańskie ciągoty, prawda? Wylazła burżujska mentalność spod czerwonego lakieru? A wy co? Może naśladując Judyków? Zrezygnował który z Joasi? Przypomniała się uwaga zanej poetki lubelskiej, Franciszki Arnsztajnowej: „Bo u nas to już taki zwyczaj, że podłogi szoruje się jedwabnymi chusteczkami”. A jeszcze do tego posądzacie z za węgla, że tę jedwabną chusteczkę wyciągnięto z policyjnej kieszeni?! Tak?! No, to ja wam teraz pokażę!

Powoli, przez resztę zimy i wiosnę 1935 roku dojrzewała ostateczna decyzja. W międzyczasie przyszedł list od Grydzewskiego, zawiadamiający o wznowieniu „Skamandra”, z zaproszeniem do współpracy. Pierwszy numer był zakrojony w intencji redaktora reprezentacyjnie: otwierały go nazwiska Staffa i Leśmiana, potem szli czołowi skamandryci, K.W. Zawodziński gromił krakowską awangardę w zasadniczej rozprawie, „Wehikuł bez kół”; w drugim szeregu szli młodzi. Wznowienie pisma odbyło się w atmosferze pewnej sensacji. Nie brakowało takich, co twierdzili, że młodzież wypadła o wiele lepiej od starszych.

Gdy w parę dni po wyjściu tego numeru wpadłem do Warszawy, spotkałem w „Ziemiańskiej” Tuwima i Broniewskiego. Zastanawiali się, przerzucając kartki egzemplarza leżącego na stole, komu dać pierwszeństwo. Broniewski bez zastrzeżeń głosił za moim „Powrotem Alain’a Gerbault’a”; Tuwim długo wahał się, wreszcie wybrał „Bramy arsenału” Czesława Miłosza. Niewątpliwie, był to duży sukces nowych roczników poetyckich.

O świeżo wydanej „Rozmowie z ojczyzną” Stefan Napierski (Marek Eiger) napisał w formie dialogu ni to esej ni to recenzję, w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Były w niej pewne sformułowania, które posłużyły mi jako punkt zaczepienia do napisania artykułu, „Smutne porachunki”, również w formie dialogu, toczącego się między „poetą” i „przyjacielem”. Pozornie chodziło o polemikę z Napierskim, w istocie, o frontowy atak na polskich komunistów i ich sprzymierzeńców rozlicznej maści i autoramentu.

„Smutne porachunki” ukazały się na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich”, co było, jak zaraz zobaczymy, okolicznością obciążającą, i wywołały skandal, jakiego nie słyszano od dawna. Pierwsza ruszyła do ataku Wanda Wasilewska, zaraz po niej odezwał się „Lewar”, znowu niezawodnym piórem Szenwalda, chociaż bez podpisu. Wasilewska nawymyślała mi ile weszło: zwroty „plugawiec”, „sparszywiak”, „obrzydzenie” szły w zawody z określeniami w rodzaju — „pluje na swoją przeszłość”, „szuka pie-niędzy i powodzenia” itd. Nie obeszło się bez dramatycznego rozdarcia szat, ponieważ „Wiadomości Literackie” nie wahały się umieścić mego artykułu akurat w tygodniu, „kiedy w pismach pojawiła się krótka notatka o tym, że Alfred Lampe za przynależność do partii komunistycznej został skazany na piętnaście lat więzienia”.

Dla każdego, logicznie myślącego czytelnika stawało się jasne, że autorka tej diatryby albo sama należy do K.P.P., albo posiada intymne z nią powiązania. Ale naiwność polskiej lewicy i lewicujących liberałów była w Polsce przedwojennej bezgraniczna. Wasilewska aż do końca chodziła w glorii sztandarowej socjalistki. Redaktorzy „Robotnika” nie mieli co do tego najmniejszej wątpliwości. Zresztą, co tu gadać... Po wojnie, w prasie emigracyjnej także nie brakowało głosów, utrzymujących, że nawet bezpośrednio po wrześniu Wasilewska nie należała do partii. Widocznie, wstąpiła do niej dopiero po wyjściu za mąż za Kornijczuka i włożeniu berlingowskiego munduru.

Wesołe, wielce wesołe wspomnienia! W obronie Alfreda Lampego naczelny organ PPS-u drukował płomienne wezwania Wasilewskiej. Ta sama Wasilewska nie odezwała się ani słowem, gdy współtowarzysze i następcy Lampego skazywali na więzienie jednego z najszlachetniejszych polskich socjalistów, Kazimierza Pużaka. Tak oto bezlitosny czas sam wprowadził najlepszą korektę do tamtych zapomnianych polemik sprzed trzydziestu lat.

A znowu wileńskie „Po prostu” miało specjalne powody do złego humoru. Zaledwie na parę tygodni przed ukazaniem się „Smutnych porachunków” Henryk Dembiński w bardzo przyjaznym liście prosił mnie o współpracę; najwidoczniej sprawa „Dziwigarów” go nie zraziła. Putrament napisał w „Pół wieku”, że po „Smutnych porachunkach” przestałem istnieć dla młodych pisarzy lewicowych, zwłaszcza w środowisku wileńskim. No, nie bardzo. Szarpano mnie przecież w „Po prostu” i w innych pismach przy każdej okazji. Ataki wzmogły się w roku następnym, gdy ogłosiłem — także w „Wiadomościach Literackich” — obszernie rozwinięcie i uzasadnienie mego stanowiska, pt. „Uzurpatorzy wolności”. Wspomniany już parokrotnie Bolesław Zandberg

(Piach) powiedział mi w chwili szczerości — bo mimo wszystko nasze osobiste stosunki nie urwały się, ani uległy pogorszeniu — że moje odejście mocno zaszkodziło montowaniu Wspólnego Frontu Pisarzy, kierowanego przez komunistów. Bądźmy skromni. Może przesadzał, w każdym razie trzask tego kija, wstawionego między komunistyczne szprychy, rozległ się donośnie i napsuł wiele krwi.

Zandberg ubolewał, ale nie czynił mi zarzutów natury moralnej. Za to „Lewar” użył sobie na całego, przedstawiając mnie jako dywersanta i agenta. Łobodowski — pisał Szenwald — „podawał sfałszowany, idealistyczny preparat marksizmu i, przeciwstawiając go marksizmowi autentycznemu, zatruwając pięknobrzmiące hasła jadem interwencjonistycznego nacjonalizmu, usiłował wnieść w szeregi radykalizujących pisarzy zamęt ideologiczny, próbował zdobyć ich dla faszyzmu”. I nieco dalej: „Masy robotnicze, chłopskie, pisarze, którzy służenie tym masom poczytują sobie za najwyższy zaszczyt i obowiązek, widzą w Łobodowskim kogoś, kto od początku stał po reakcyjnej stronie barykady, kogoś, kto zawsze był tylko nacjonalistycznym agentem na usługach faszyzmu... Łobodowski puścił farbę. Poczytujemy to sobie za zasługę, że zmusiliśmy go do gadania w sposób tak otwarty...”.

Wiedzano jednak o licznych procesach i wyrokach, więc trzeba to było jakoś załatwić. Szenwald dał sobie radę w bardzo nieskomplikowany sposób: po prostu napisał, że „coś tam było... przygodne areszty, przeważnie za burdy pijackie...”.

Wspominając te sprawy, Wacław Mrozowski kwituje moje odejście w następujących słowach: „Dla nas postępowanie (Łobodowskiego) było jasne. Po prostu chęć polepszenia spraw materialnych. Marksistą prawdopodobnie nigdy nie był. Wystartował pod jego firmą, aby zdobyć rozgłos bezsilnego cierpiennika za ideę, a potem ten rozgłos zdyskontował niemoralnym skandalem i kompromitacją”.

Książka Mrozowskiego ukazała się przeszło ćwierć wieku po opisywanych wydarzeniach. Któż je pamięta? Zapewne, nie brakuje, co najmniej w Lublinie, osób, które dobrze je znają. Ot, choćby Konrad Bielski, który cztery razy występował jako obrońca w moich procesach. Tylko, że siły nierówne. Paszkwil ex-waleta z ulicy Dobrej został wydany ze smakiem przez towarzysza Romana Rosiaka. A gdzie w kraju szukać redaktora, który by zamieścił sprostowanie wszystkich kłamstw i kalumnii? Może tenże Rosiak? Więc dla porządku i z myślą o dniu, w którym „żelazne prawa historii” pójdą na złom, kilka konkretnych informacji.

W ciągu jednego tylko roku 1932 byłem konfiskowany dzie-

sięciokrotnie. Oto lista tych konfiskat: tom wierszy „O czerwonej krwi”, wiersz „Do prokuratora”, drukowany w miesięczniku „Trybuna”; zbiór wierszy „W przeddzień”, artykuły w „Kurierze Lubelskim” (pięć razy). drugi numer „Barykad (za dwa artykuły), trzeci numer (w całości). Prawie wszystkie konfiskaty spowodowały procesy, jedynie konfiskatę zbioru „W przeddzień” sąd uchylił. W pierwszym procesie, w styczniu 1933. Sąd Okręgowy skazał mnie na dwa i pół lata więzienia, z zawieszeniem na trzy lata; w apelacji obniżono mi wymiar do dwóch lat, ale jednocześnie, uwzględniając odwołanie prokuratora, zniesiono zawieszenie. Sprawa poszła do kasacji. W międzyczasie dostałem jeszcze jeden wyrok: sześć miesięcy darowane na mocy amnestii. Odpowiadałem z wolnej stopy za kaucją.

Rozprawa przed Sądem Najwyższym okazała się decydująca. Bronił mnie Emil Breiter, znany krytyk literacki, zamordowany podczas okupacji przez Niemców. Po krótkiej naradzie sąd skasował wyrok, przekazując sprawę do ponownego rozpatrzenia apelacji warszawskiej, z motywacją, że atmosfera, jak wytworzyła się dokoła mnie w Lublinie, nie daje gwarancji sprawiedliwego wyroku.

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w lubelskiej palestrze. Wyrok kasacyjny stał się przysłowionym jasnym gromem z nieba. Nie sam fakt skasowania orzeczenia apelacji lubelskiej, lecz przekazanie apelacji warszawskiej, a nade wszystko druzgocąca motywacja zrobiła ogromne wrażenie. Na jesieni przypadało parę innych spraw, znacznie gorszych od pierwszej. Ale sędziownicy grodu trybunalskiego byli już tak wystraszeni, że wprawdzie wyroki zapadły skazujące, ale wszystkie mi zawieszono. Przed upływem roku miałem konto „kryminalne” niemal całkowicie oczyszczone. Na rozprawy przyjeżdżałem do Lublina z rówieńskiej podchorążówki i dla dodatkowej sensacji zasiadałem na ławie oskarżonych w mundurze. Dopiero po kilku miesiącach wpłatałem się w konflikt z wojskowym kodeksem karnym. Uwięziono mnie i wytoczono proces, który zapowiadał się bardzo nieprzyjemnie. Ponieważ jednak w międzyczasie skończył się mój stosunek do służby wojskowej, sprawę przekazano Sądowi Okręgowemu w Łucku, a mnie wypuszczono na wolność. To zresztą osobny temat, o którym wypadnie wspomnieć w dalszym ciągu.

Bilans tych przeszło dwóch lat wyglądał dość okazale. Dzieścięć konfiskat, osiem procesów, jeden areszt zakończony zwolnieniem za kaucją, blisko miesięczny pobyt w więzieniu wojskowym. To były owe „burdy pijackie” według oceny „Lewara”. Mrozowski w „Cyganerii” pominął procesy milczeniem, chociaż przebywając podówczas w niedalekim Chełmie, wiedział o nich dosko-

nale. To zrozumiałe. Gdyby uczciwie opisał jak się wszystko działo od początku, czytelnik ujrzałby moją działalność ustawioną w zupełnie innej perspektywie. Mój portret wypadłby wtedy Mrozowskiemu niezgodnie z zamówieniem. Bo jeżeli rzeczywiście miałem od początku chytry plan, obliczony na rozgłos i korzyści materialne, to czy nie dałoby się ich osiągnąć nieco tańszym kosztem?

Dla większego efektu komuniści lubelscy przygotowali na zakończenie bardzo miłą niespodziankę. Już od wiosny 1936 roku zaczęły krążyć pogłoski, rozsiewane z uporczywą konsekwencją, że to ja synałem swego czasu profesora Mejersona, odgrywając w jego sprawie rolę prowokatorską. Samuel Mejerson, były dyrektor gimnazjum żydowskiego w Grodnie, w końcu lat dwudziestych przeniósł się do Lublina i zamieszkał w domu swego szwagra, dość wziętego adwokata. Prowadził żywą działalność partyjną i był inwigilowany od dawna. Często go widywałem, korzystając z bogatej biblioteki profesora.

Wiedział dobrze, że go śledzą, ale był bardzo nieostrożny i wpadł w najbardziej dziecinny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Wielki proces, w którym Mejerson był głównym oskarżonym, toczył się przez kilka dni; bronili znani adwokaci warszawscy, z Duraczem i Berensonem na czele. Śledztwo dostarczyło jednak niezbitych dowodów i Mejerson dostał osiem lat więzienia. Dokładnej daty procesu nie pamiętam, w każdym razie było to w lecie 1933 roku, bodajże w lipcu, a najpóźniej w sierpniu.

Ani wtedy, ani w ciągu dwóch lat następnych nie spotkałem się z żadnym oskarżeniem, czy choćby cieniem posądzenia. Czuli „przyjaciele” wpadli na ten pomysł dopiero po upływie trzydziestu kilku miesięcy, już po moim zerwaniu z komunistami. Tak zawsze było i tak pozostało po dziś dzień. Gdy ktoś odchodzi od komunizmu, natychmiast staje się szpiclem i prowokatorem. Względny ideowy i moralny *nie mają prawa* wchodzić w grę.

Legenda męczeńska

Również pewne sukcesy literackie, odniesione w owym okresie, przypisano memu „odstępstwu”. „Ukoronowaniem działalności Łobodowskiego — napisał Mrozowski po latach — było przyznanie mu przez Polską Akademię Literatury Nagrody Młodych za tom „Demonom nocy”. Ma to znaczyć, że dla osobistej kariery i zysków finansowych odszedłem od komunizmu i w kalkulacji nie pomyliłem się, bo zaraz dostałem nagrodę Akademii. Godzi się przypomnieć, że po raz pierwszy zgłoszono

mnie do Nagrody Młodych o rok wcześniej, w styczniu 1936, a więc już po ogłoszeniu „Smutnych porachunków”. Mimo to przepadłem na rzecz Światopółka Karpińskiego.

Mojej kandydatury bronili najmocniej Kaden-Bandrowski, Irzykowski, Nałkowska i Rzymowski; przeciwstawiali się Szaniawski, Kleiner, Berent, Zieliński. Zestawienie tych nazwisk mówi samo za siebie. Konserwatyści byli przeciw i ostatecznie położyli kandydaturę, popieraną przez pisarzy bardziej zbliżonych do lewicy. Nagrodę w roku następnym otrzymałem po prostu dlatego, że zmienił się skład osobowy: do Akademii weszli w międzyczasie Wierzyński i Goetel. Zresztą główny kontrkandydat z roku 1937-go, Tadeusz Breza, nie mógł się utrzymać ze względu na nazbyt, powiedzmy — „gide'owską, czy też „corydonową” tendencję jego „Adama Grywałda”.

Najlepsze recenzje z tomu „Rozmowa z ojczyzną”, wydanego na wiosnę 1935, miałem przed publicznym aktem „odstępstwa”, gdy nikt jeszcze o powzięcie takiej decyzji mnie nie podejrzewał. Sebyła w „Pionie” uznał „Rozmowę” za najlepszą książkę poetycką roku, pochlebnie pisał Zawodziński w „Wiadomościach” i inni. Krytyka literacka w Polsce przedwojennej powodowała się na ogół sprawdzianami artystycznymi i politycznej „taryfy ulgowej” nie stosowała.

Trzeba jednak w ogóle zakwestionować tezę, według której odejście od skrajnej lewicy z miejsca decydowało o karierze. Powstała cała legenda „męczeńska” o pisarzach lewicowych, gorliwie podtrzymywana w Polsce dzisiejszej, a niekiedy, jak przy okazji śmierci Broniewskiego, i na emigracji. Legenda o straszliwym terrorze sanacyjnym, prześladowającym pisarzy lewicowych. Konfiskaty, procesy, szykany, więzienia... a w konsekwencji nędra, głód, męczeństwo.

Rzeczywistość nie wyglądała tak groźnie. Jeżeli ten i ów lądował w więzieniu z wyroku, to za udowodnione należenie do nielegalnej Partii Komunistycznej, a nie za wyczyny pisarskie. Na to nie było rady. Ale i tak w wielu wypadkach udawało się zagrożonych ratować. Wieniawa rozbijał się o Broniewskiego, Wandurski i Stande mogli wyjechać zagranicę dzięki wstawiennictwu i doraźnej pomocy Związku Pisarzy, Leona Pasternaka wyciągnęła z Berezy Maria Dąbrowska. Że niejednego lewicowca klepał biedę? Zgoda, ale również żyło w niedostatku wielu literatów dalekich od wszelkiego radykalizmu.

Mógłbym podać długi spis komunistów, którym doskonale powodziło się na różnych ciepłych i synekurkach. Wspominałem uprzednio o Emilu Breiterze, który prowadził moją sprawę kasacyjną w Sądzie Najwyższym. Przypominam sobie dobrze, że gdy

Breiter dowiedział się, iż przewodniczy Leon Supiński, zatarł ręce z radością i powiedział: „Sprawa wygrana! Supiński jej nie puści.” Otóż w rok później, już po likwidacji najgrubszych awantur, tenże Breiter, dowiedziawszy się, że jestem w Warszawie zaprosił mnie do siebie i zagadnął, czy przyjąłbym stypendium z ministerstwa. Na mój negatywny gest uśmiechnął się ironicznie: „Niechże pan nie będzie taki nieprzejednany. Nie warto!” Wysunął szufladę, wyjął arkusz zadrukowany maszynowym pismem: „Może pan rzuci okiem” — zaproponował kpiącym tonem. Rzuciłem okiem i zdębiałem. Wśród kilkudziesięciu nazwisk stypendystów znalazłem niemal *in corpore* późniejszych redaktorów i współpracowników „Lewara”, z Elżunią Szemplińską na czele. Taki to był ten sanacyjny terror w stosunku do lewicowych pisarzy!

W Polsce międzywojnia nie brakowało lewicowego snobizmu, który może najsilniej przejawiał się na terenie literacko-artystycznym. Tradycyjnie liberalny, wcale liczny odłam inteligencji brzydził się wszelką prawicowością, widząc w niej nietolerancyjną reakcję, natomiast do przerostów lewicowych ustosunkowywał się z przyjaznym pobłażaniem. Młodemu, początkującemu pisarzowi po prostu nie wypadało nie być radykałem. Chyba, że jawnie i zdecydowanie palił mosty, stając pod sztandarem narodowym, jak to uczynił Gałczyński, idąc do Stanisława Piaśkiego. Co prawda „zielony Konstanty” miał już wtedy mocną pozycję literacką, a zresztą jego groźnych zapowiedzi „nocy długich noży” prawie nikt nie brał poważnie.

Jeden Nowaczyński mógł sobie pozwolić na pisanie prawą ręką w „Myśli Narodowej”, a lewą — w żydowsko-masońskich „Wiadomościach Literackich”, ale co wolno było wojewodzie pamfletu, nie uchodziło zwykłym „smrodem”, ledwie zaczynającym wybijać się na powierzchnię. Lewicowość była w literaturze owych lat glejtem i niejako świadectwem dobrego prowadzenia się. Kto odchodził, i do tego z trzaskiem, w atmosferze skandalu, musiał liczyć się z tym, że jeśli tu i ówdzie znajdzie jawnych przyjaciół, narobi sobie znacznie więcej ukrytych wrogów.

Wkrótce po moich głośnych artykułach, zrywających z komunizmem, młody, ruchliwy lwowianin, Andrzej Kruczkowski (nie mylić z Leonem!), napisał do „Wiadomości Literackich” artykuł pt. „Casus Łobodowski”. Wywołał niebyle jakie zgorzenie twierdzeniem, iż gwałtowne zerwanie z lewicą „wymagało odwagi”. Była w tym sformułowaniu pewna racja, jak zresztą rychło miałem się przekonać na własnej skórze.

Wśród wielu polskich siucht istniała także siuchta lewicowa, przejawiająca się w sposób nieraz najbardziej niespodziewa-

ny. Może ktoś lepiej zorientowany ode mnie, napisze przy jakiejś okazji o działalności Koła Polonistów na Uniwersytecie Warszawskim, wcale sprawnie inspirowanym przez komunistów. Na przykład, towarzyszu profesor Stefan Żółkiewski mógłby sporo na ten temat opowiedzieć, gdyby zechciał. Takich inspiracji było więcej i na pewnych odcinkach miały one wpływ poważny, nieraz decydujący.

Powyższe uwagi mogą wzbudzić niedowierzanie. Jako? Przecież wszystko szło w ostatnich przedwojennych latach „na prawo”. Ozonowa sanacja kokietowała młodą endecję w radykalnym wydaniu; Rydz-Śmigły zjawiał się na korporanckich komerszach; Adama Doboszyńskiego sąd potraktował wyjątkowo łagodnie za „zajazd myślenicki”; Jerzy Pietrkiewicz został redaktorem literackim „Polski Zbrojnej”; pod pretekstem walki z komunistyczną infiltracją usiłowano opanować Związek Nauczycielstwa Polskiego, i tak dalej i tak dalej.

Co innego jednak oficjalna powierzchnia, a co innego powszednie życie, uzależnione od tysiąca osobistych i zawodowych powiązań, gdzie noga nogę wspiera i ręka rękę myje. W codziennych stosunkach literackich klucze do otwierania większości drzwi pozostawały nadal pod kontrolą liberałów i lewicowców. Jak zazwyczaj w Polsce, system ten szwankował, był anarchiczny, ale istniał i dawał o sobie znać często w najbardziej zaskakujący sposób. Umiejętnie stosowana plotka stanowiła jeden z chwytów ulubionych, choć nie jedynych.

W lutym 1937-go, już po Nagrodzie Młodych, otrzymałem zaproszenie na obiad w znanym klubie przy ulicy Pierackiego. Gospodarzem był pułkownik Koc, starsze pokolenie literackie reprezentowali Goetel i Wierzyński, młodsze — wspomniany już Andrzej Kruczkowski i ja; poza tym przyszedł architekt Bohdan Pniewski, malarz Rafał Malczewski, aktor Stefan Jaracz. Były jeszcze dwie albo trzy osoby, z których zapamiętałem wice-ministra Spraw Wewnętrznych, Paciorkowskiego. Przy dobrym jedzeniu i jeszcze lepszych wódkach toczyła się nieprzymuszona, swobodna i *nieobowiązująca* rozmowa, która pod koniec skreśliła na tematy ideowo-polityczne. Jak się zdaje, Kocowi zależało na orientowaniu się w opiniach tego dość kapryśnie dobrane go towarzysza. Gdy nazajutrz ktoś zapytał Jaracza, jakie kwestie były przy obiedzie roztrząsane, ten rozłożył szerokie dłonie i odpowiedział zachrypniętym głosem: „Z punktu widzenia aktorskiego żadnej kwestii nie było”.

*Po tygodniu nawet do Lublina zdążyła dotrzeć wiadomość, że wstąpiłem do Ozonu i zostałem mianowany przez Koca członkiem komisji do spraw literackich, z pensją miesięczną, według

jednych — pięćsetzłotową, według drugich — dochodzącą do tysiąca. Na zaprzeczenie reagowano sarkastycznym chichotem. Gdy w jesieni tegoż roku przyjąłem propozycję wojewody Józefowskiego i pojechałem do Łucka redagować tygodnik „Wołyń”, rozległy się głosy triumfu: „A nie mówiliśmy! Robi na całego sanacyjną karierę”. To że Józefowski był wówczas celem skoncentrowanych ataków, w czym brylowały czynniki wojskowe, że jechałem na placówkę z góry straconą, której upadek był tylko kwestią czasu, nikogo nie obchodziło.

W końcu stycznia 1940 roku, w emigracyjnym Paryżu, miałem dłuższą rozmowę z profesorem Stanisławem Kotem, świeżo upieczonym ministrem w rządzie Sikorskiego. „Pan był ściśle związany z sanacją”. „Na czym pan profesor to opiera?” „No, jakże! Taka była w *demokratycznych* kołach powszechna o panu opinia. Bywał pan na obiadach u Koca, współpracował z Józefowskim...”

Ale wróćmy do legendy. Na liście „męczenników wolności” znalazły się na honorowym miejscu Wanda Wasilewska i Janina Broniewska, rozwiedziona żona poety. Było to w roku 1937-ym. Chodzi o aferę „Płomyka”, o słynną sprawę sądową, wytoczoną krakowskiemu „IKC-owi” przez Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego i wreszcie o strajk okupacyjny w lokalu Wydziału Wydawniczego Związku, zorganizowany przez wymienione panie. Wiele pisano na temat tych wydarzeń, przeważnie niedokładnie i tendencyjnie; Wacław Mrozowski w „Cyganerii” poświęca im bitych siedemnaście stron.

Z wydawnictwami Związku współpracowało wielu pisarzy, nic więc dziwnego, że cała afera wywołała żywe poruszenie także w środowisku literackim. W telegraficznym skrócie wypadki rozwinęły się następująco. W marcu 1936-go roku ukazał się numer „Płomyka”, pisma przeznaczonego dla starszych dzieci, poświęcony w całości Sowietom. Wybuchła prawdziwa burza, szereg pism, z IKC-em na czele, rozpoczął wielką kampanię przeciw Związkowi, oskarżając go o propagandę pro-bolszewicką. Zarząd energicznie bronił się na łamach „Głosu Nauczycielskiego”, a gdy kampania nie ustawała, przeciwnie rozszerzała się, zaskarżył redakcję IKC-a przed sądem o oszczerstwo. Proces zapowiadał się sensacyjnie, a skończył się całkowitą porażką Zarządu: sąd uniewinnił oskarżonych, przyznając tym samym rację ich zarzutom.

Niekorzystny wynik procesu pociągnął natychmiastowe skutki. Przewodniczący Wydziału Wydawniczego i redaktor „Płomyka”, Stanisław Machowski, musiał ustąpić, zaszło sporo innych zmian personalnych, zaś po kilku miesiącach, rzekomo

za jakieś niedokładności gospodarki finansowej, Związek otrzymał kuratora w osobie śląskiego nauczyciela i działacza, Pawła Musiała. To właśnie wtedy zaczął się ów strajk okupacyjny, zakończony usunięciem Wasilewskiej i Broniewskiej z wydawnictw Związku.

Gdy po dwudziestu ośmiu latach odświeżam w pamięci szczegóły tej afery, którą śledziłem z bliska, zdaje sobie dokładnie sprawę, że sowiecki numer „Płomyka” należy wyodrębnić, potraktować go osobno, nie mieszając z generalnym atakiem na Związek Nauczycielstwa, idącym jednocześnie z kilku stron. Bo „Płomyk” był tylko pretekstem i to bardzo zręcznie wybranym.

Nie ulega wątpliwości, że rząd ówczesny chciał położyć rękę na Związku i szukał dogodnej okazji. Nauczycielstwo w swojej masie dalekie było od pewnych tendencji, ożywiających koła rządowe. Komuniści zawsze twierdzą, że Polska przedwojenna szła szybkim krokiem ku faszyzacji. Faszyzacja — to przesada, ale niewątpliwie zwolennicy trzymania „za mordę” coraz częściej dochodzili do głosu.

ZNP cieszył się opinią organizacji potężnej i z natury rzeczy posiadającej duże wpływy w społeczeństwie. Przeciętny nauczyciel szkoły średniej był liberałem. Nauczyciele szkół powszechnych wywodzili się głównie ze wsi, więc ich związki z ruchem ludowym w najróżniejszych postaciach były oczywiste. Nie brakowało zdecydowanych radykałów. Zdarzali się komuniści, ale wersja mówiąca o skomunizowaniu szerokich rzesz nauczycielskich w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiadała rzeczywistości. Stanowiła chwyt demagogiczny i nieuczciwy.

Zdarzało się przecież, że tu i ówdzie, ten i ów nauczyciel uwikłał się w kontakty komunistyczne. Sporo hałasu narobił wielki proces lubelski, w którym rola głównej bohaterki przypadła córce miejscowego kuratora szkolnego, Lewickiego. Młoda Lewicka nie była nauczycielką, jej ojciec nie miał nic wspólnego z robotą nielegalną, ale od czego „dobra wola” dziennikarzy pewnego pokroju. Ciesząc się błogosławieństwem z góry, propaganda antynauczycielska starała się odpowiednio urabiać opinię publiczną.

Jak powiedziałem, zakwestionowany numer „Płomyka” stanowił dogodny pretekst. Zarząd Związku popełnił zasadniczy błąd, usiłując bronić także i tej pozycji, straconej od początku. Bo „obiektywna wymowa” tego numeru — że użyję typowo marksistowskiego zwrotu — była prosowiecka i prokomunistyczna. Pod pozorem informowania o dzieciach sowieckich, w swoisty sposób dobrane teksty stwarzały niemal idealny obraz życia w Rosji. Weźmy jako przykład wiersz niemłodego już wówczas

poety, Stanisława Maykowskiego, o amerykańskich traktorach. Nikt uczciwy nie posądzał Maykowskiego o prokomunizm; o naiwność polityczną posądzić go było wcale nie trudno.

Uczeń polski czytał i dowiadywał się, że w Sowietach bywało ciężko, nie zawsze zdarzał się urodzaj, nieraz do wsi zaglądał głód, ale teraz przybyły traktory i wszystko natychmiast zmieniło się na lepsze. Ze zdjęć, ilustrujących numer, patrzyły roześmiane twarzyczki sytych, schludnie ubranych dzieci, komentarze informowały, jak bardzo władza sowiecka dba o szkoły, o wysoki poziom nauki, a zwłaszcza o rozbudzenie zainteresowań artystycznych. Poza tym numer kładł duży nacisk na rzekomo swobodną rozbudowę życia narodowego w republikach nie rosyjskich. Jako całosć stanowił ponad wszelką wątpliwość propagandę prosowiecką.

Rozmawiałem w owym czasie z młodą nauczycielką z Wołynia, pracującą we wsi dość silnie skomunizowanej. Chodziło o swoisty, tak zwany „nacjał-komunizm” rozwijający się pod hasłem: „Haj żywe wilna Ukraina pid rukoju bat'ki Stalina!” „Proszę pana, ja dzieciom opowiadam, że w Sowietach nędza, terror i prześladowanie mniejszości narodowych, a tu przychodzi taki numer! Jak ja teraz wyglądam?!”

Zarząd mógł i miał prawo odciąć się od numeru i rzucić z siebie odpowiedzialność. Wystarczyło oświadczyć, że winę ponosi parę osób z Wydziału Wydawniczego i wyciągnąć wobec nich konsekwencje. Takie posunięcie pomieszałoby szyki atakującym. Ale prezes ZNP, Kolanko, wziął na kiel i postanowił bronić się na całym froncie, żyrując bez zastrzeżeń dotychczasową politykę wydawniczą. Toteż wyniki były opłakane.

Kto redagował ów nieszczęsny sowiecki numer? Formalnie — Machowski. Nieformalnie — maczała w nim ręce Wasilewska. Była ona typową wtyczką partyjną i co do jej roli nie połapano się ani wtedy, ani później, chociaż Wasilewska zachowywała się niekiedy bardzo nieostrożnie. Wystąpiła jako świadek obrony w głośnym procesie wileńskim grupy „Po Prostu”. W pewnej chwili wypłynęła sprawa różnych kwot wpłacanych na fundusz wydawniczy tego pisma. Wasilewska nie bardzo pamiętała ile tego było i w jakim czasie. Gdyby prokurator zorientował się i przycisnął świadka, wyszłoby na jaw, że sumy były o wiele za duże, jak na możliwości publicystki, zarabiającej piórem. Oczywiście, chodziło o pieniądze z MOPR-u, przekazywane „Po prostu” za pośrednictwem Wasilewskiej*).

Legenda „męczeńska” sprawiła, że na tle afery ZNP Wa-

*) Pisał tym dość szczegółowo Jerzy Putrament w I-ym tomie swoich wspomnień, pt. „Pół wieku”.

silewska zyskała sobie sławę „niezlomnej bojowniczkii o wolność” i ofiary sanacyjnego terroru. Zaś narzucony Związkowi kurator, ów mysłowicki nauczyciel, Paweł Musiał, na domiar złego mający koneksje z O.N.R.-em, stał się symbolem czarnej reakcji, administracyjnego zamordyzmu i faszyzujących prohitlerowskich tendencji. Co prawda, Musiał źle się czuł w roli kuratora i wkrótce ustąpił z niemiłego, stanowiska ale i tak w opinii demokratycznej był już pogrążony.

Przyszła wrzesień 1939-go roku, klęska i okupacja. Różne „symbole” uległy konfrontacji z rzeczywistością. W tym samym mniej więcej czasie, gdy Gestapo — usłusznie spełniając prośbę NKWD — transportowało do Lwowa meble z warszawskiego mieszkania towarzyszek Wasilewskiej, Paweł Musiał został ścięty na rynku katowickim toporem hitlerowskiego kata. Historia jest wielką ironistką i lubi wprowadzać takie niespodziewane poprawki.

Powszechny brak orientacji co do techniki pracy komunistycznej ułatwiał niezmiennie kamuflowanie się. Znałem marksistów dobrze urządzonych w radio, pisujących recenzje literackie do konserwatywnych dzienników, cieszących się poparciem „samego” Kadena. To osobny i wielce malowniczy temat. Kiedyś w Lublinie przejezdny działacz z Warszawy proponował mi kontakt z osobnikiem prowadzącym robotę na Uniwersytecie Katolickim. Przychodzę na punkt i ze zdumienia rozdziwiam głowę. Autentyczny barwiarz w dekle z korporacji „Hetmania”. Od razu połapał się, uśmiechnął, dotknął dłonią dekla. „Tak wygodniej. Wiedzie... jest się poza podejrzeniem”.

Wanda Wasilewska była poza podejrzeniem, bo przecież córka Leona, bo socjalistka, bo współpracowniczka pepesowskiego „Robotnika”. Jakub Hoffman napisał kiedyś w „Kulturze”, że Wasilewska należała prawdopodobnie do MORP-u, ale nie do partii. To nieporozumienie. MORP był przybudówką partyjną i obowiązywała w nim taka sama dyscyplina jak w partii. Granice często zacierały się. Kto zaczynał od niebieskiego bloczku wielkości pudełka od zapalek, z czasem przechodził do poważniejszej roboty. Sądy Rzeczypospolitej stały na słusznym stanowisku, że praca w MORP-ze jest równoznaczna z należeniem do partii.

Krótką a malowniczą dygresją, dobrze uwypuklającą metody komunistycznego kamuflażu. W parę miesięcy po osadzeniu mnie w hiszpańskim więzieniu w Figueras przybyło tam dwóch cudzoziemców: Węgier i sudecki Niemiec, z austriackim obywatelstwem. Obydwaj marksiści; Węgier — członek partii komunistycznej, zresztą o pewnych ciągotkach trockistowskich. Minęło kilka tygodni. Do dyrektora więzienia zgłasza się bra-

ciszek z pobliskiego klasztoru, z koszem wyładowanym specjami: biały chleb, kiełbasa, sery, owoce. Katalońscy mnisi podkarmiający marksistów? A cóż to za heca?!

O aresztowaniu naszej pary dowiedział się były sekretarz osobisty pewnego arcykatolickiego polityka jednego z krajów Europy Środkowej. Napisał do nuncjusza w Madrycie, którego dobrze znał z czasów swego sekretarzowania. Nuncjusz do przeora najbliższego od Figueras klasztoru, polecając jego względem parę przyjaciół. Odtąd kosze z wiktuałami przychodziły regularnie dwa razy na tydzień, co sobie zresztą chwaliłem, bo i mnie się z tego dostawało to i owo. Pozostaje tylko wyjaśnić, że ów sekretarz, mający duże chody wśród kleru katolickiego, był podobnie jak Węgier członkiem partii komunistycznej. O protekcji nuncjusza dowiedział się, naturalnie, kapelan więzienia, i będąc święcie przekonany, że chodzi o dwóch sztandarowych katolików, z miejsca popędził ich do spowiedzi. Nieliczni wtajemniczeni w mechanizm tej zwariowanej historii mieli okazję do niebywałej uciechy.

Koniec „wspólnego pokoju”

Poza mną, lokatorzy „wspólnego pokoju” tylko objali się o skrajne środowiska lewicowe, ale nie dali się wciągnąć głębiej. Najradykałniejszy był Domiński, jednak wyniesiony z Lublina kult Piłsudskiego nie pozwolił mu stoczyć się ku komunizmowi. Po trosze działał wpływ Czechowicza, który marksizmu nie atakował zasadniczo — kłuł go ironicznymi szpileczkami, co na młodych czyniło większe wrażenie niż gwałtowne przeciwstawienie się. Moje odejście w rok później również zrobiło swoje. W międzyczasie „wspólny pokój” rozleciał się.

Nigdy zresztą nie miał żadnych szans dłuższego przetrwania. Mieszkalem w nim z krótkimi przerwami tylko do jesieni, gdy w związku z wydaniem „Dźwigarów” wróciłem do Lublina. Ale ilekroć wpadałem do Warszawy na tydzień, dwa, miałem swój tapczan do dyspozycji. Rozalia dostawała wtedy w łapę dychę, albo i więcej, zaś wiecznie „waletujący” Mrozowski szedł spać na podłogę. W lecie doszłusował Domiński, który zarabiał zbyt mało, by zdobyć się na samodzielny pokój. Potem skład lokatorów ciągle się zmieniał. Wyprowadził się Piętaś, poszukujący większego spokoju do pracy. Na krótko sprowadził się malarz i grafik Miklaszewski, czasem zostawał na noc Artur Rzeczyca, znacznie później zjawił się Wacław Iwaniuk. Michalski i Domiński przenieśli się do sąsiedniej kamienicy. Mieli tam o wiele wygodniej: dwa pokoiki, jakaś łazienka, wysoki parter,

więc w razie czego można było po zamknięciu bramy wyskoczyć na ulicę przez okno i wejść z powrotem po wyrzuconym sznurze, aż wreszcie dozorca, reprezentacyjny warszawski *cieć*, spostrzegł się i urządził piekielną awanturę. W tej „fili” wspólnego pokoju zatrzymywałem się parokrotnie, chociaż gospodyni krzywo patrzyła na gości.

Był rok 1935. Wyglądało, że całe towarzystwo zaczyna się powoli statkować i zdobywać miejsce w literaturze. Piętaś był po debiucie, przygotowywał do druku nowy tom wierszy, Michalski również miał gotowy spory zbiór, „Spotkanie z brzozą”, który ukazał się już po jego śmierci. Nawet Domiński odgrażał się że wkrótce zadebiutuje, ale ciągle odkładał i tak się to ciągnęło przez dalsze trzy lata. Z czego ci poeci żyli? Czy rzeczywiście cierpieli skrajną nędzę i głodowali?

Sytuacja finansowa nie była taka straszna, jakby to wyglądało z wielu wspomnień i sprawozdań. Zdarzały się miesiące, gdy „wspólni lokatorzy” wyciągali razem grubo ponad pięćset złotych, co przy odrobinie zmysłu praktycznego powinno było wystarczyć. Rozalia zawsze chętnie służyła garnkami i patelnią, w „Dołku”, na rogu Tamki i Solca, można było opchać się za głupie 60 groszy. Ani „mama”, ani jej córeczka Celinka nie oszczędzały na nieśmiertelnej zupie pomidorowej, rzeczywiście znakomitej. Na stół wjeżdżała wielka waza, wystarczało na dwa głębokie talerze na każdego, wolno było umizgnąć się o repetę, chleba też nam nie wydzielano.

Nawet wódka, jeśli się ją piło na miejscu, w pokoju, nie nadwierała zbytnio budżetu. Ale za często zdarzały się szaleństwa, wyprawy do śródmieścia, które kosztowały za drogo. Po drugiej butelce liryczni poeci tracili poczucie rzeczywistości. No, co tam, jeszcze półsztofa, no, jeszcze po porcji zrazików, a tu przysiadły się fordanserki, niegrzecznie byłoby odmówić, a tu znowu kolejka koniaku i czarna kawa, albo znowu Staś Piętaś w chwili powszechnego roztargnienia zamówił butelkę wina. „Ja myślałem — sumitował się z niewinną miną, — że będzie „Złota Reneta”, a oni zaraz francuskie wino przynoszą...” I tak jednej nocy potrafiło pęknąć sto pięćdziesiąt, dwieście złotych. A nazajutrz zęby na półkę. Potem nazywało się, że młodzi pisarze nie mogą utrzymać się w bezlitosnej stolicy.

Ale nie tylko to. Niektórym wydawało się, że aby wyżyć, wystarczy pisać poezję. Przyjechał ze Lwowa Stanisław Rogowski, młody, zdolny liryk, trochę po linii leśmianowskiej i bardzo dziwił się, że honorariami za wiersze nie jest w stanie opłacić nawet komornego. Na Dobrej 9, także usiłowały kwitnąć identyczne złudzenia i szybko zwiędły. Możliwości stałego zarobkowania istniały, ale w prozie: dziennikarka, reportaż, kry-

tyka literacka, wreszcie radio. Najkonsekwentniej zachował się Domiński — od razu uznał, że tylko współpraca z jakimś dziennikiem może mu dać podstawy finansowe. Znalazł je później w „Kurierze Porannym”.

Wiele czasopism literackich w ogóle nie płaciło. Ale były i takie, które płaciły dobrze. W „złotym” okresie „Pionu” (1933—34), gdy redaktorem był Tadeusz Święcicki, a sekretarzem redakcji Stefan Flukowski, za nieco dłuższy wiersz otrzymywało się 50-60 zł.; za artykuł na całą kolumnę w „Wiadomościach Literackich” dostawałem 150 złotych, a więc na pokrycie zasadniczych całomiesięcznych wydatków. Po dziś dzień przetrwała plotka o skrajnej ekskluzywności najważniejszych czasopism. To nie była prawda. Każdy utalentowany pisarz, jeśli chciał i potrafił pracować, prędzej czy później otwierał sobie drogę do rzekomo „nieprzystępnych” redakcji.

Oczywista, istniały idiosynkrazje, ale gdzie i kiedy ich nie było? W wielu wypadkach można je było przewyciężyć, nie uszczuplając swobody wypowiedzi, ani przekonań. W ostatnich latach przed wojną byłem stałym współpracownikiem „Myśli Polskiej”, do której zbliżyła mnie wspólna postawa wobec zagadnień wschodnich, a jednocześnie stale drukowałem u Grydzewskiego. Jeśli ktoś znał dwa-trzy języki obce, nieźle dorabiał przekładami. Na wiosnę 1936-go roku, na zamówienie Instytutu Ukraińskiego w Warszawie przełożyłem sporo wierszy do polskiej antologii Tarasa Szewczenki (75-lecie śmierci). W ciągu dwóch miesięcy zarobiłem na tym około ośmiuset złotych. Kto jednak poza poezję liryczną nie wychodził, musiał klepać biedę, chyba że miał oparcie w rodzinie.

Domiński zaczął nieźle zarabiać dziennikarką od 1936-go; Piętaśowi poprawiło się na dobre dopiero po otrzymaniu Nagrody Młodych (styczeń 1938); Bronek wtedy już nie żył, skończył samobójstwem w lipcu 1935-go. Któż z nas mógł przypuszczać, że po dwudziestu kilku latach Stanisław Piętaś również popełni samobójstwo!

(D. c. n.)

Józef ŁOBODOWSKI

Kontrpartner

Powinniśmy byli zaprzyjaźnić się dwadzieścia pięć lat temu. Byliśmy rówieśnikami, obaj w tym szczenięcym wieku, kiedy każde zjawisko ciekawi, kiedy każda nowość ma swój niewysłowny urok, wszystko jest do osiągnięcia, świat cały stoi otworem.

Nasz świat sprowadzał się do samolotów, żaglówek i motocykli — wystarczał nam w zupełności i pochłaniał nas obu bez reszty. Godzinami całymi mogliśmy rozprawiać o profilach skrzydeł, o zaletach górnego rozrządu zaworów, o wyższości masztu Marconiego. Nasze zainteresowania nie były wyłącznie teoretyczne. Obaj posiadaliśmy własne żagłówki, obaj mieliśmy motocykle i obaj lataliśmy. Ja w lotnictwie wojskowym, Kurt w Aeroklubie Gdańskim. Obaj stawaliśmy do wszystkich, dostępnych dla nas zawodów, na których Kurt z reguły zajmował lepsze miejsce niż ja.

Nie dlatego żeby miał lepszy sprzęt, lub był sprawniejszy. Moja B.S.A. nie była gorsza od jego B.M.W., a żagłówka moja pochodziła z gdańskich warsztatów von Grabla, których sława była ustalona wzdłuż południowego brzegu Bałtyku.

Kurt zwyciężał, gdyż był znacznie staranniejszy i zawsze lepiej przygotowany. W późne, sobotnie popołudnia, gdy ja, mając już dość całodziennego grzebania się w motorze lub oskrobywania kadłubu żagłówek, wybierałem się na dansing do Jastarni, Kurt rzucał za mną żartobliwie:

„Jakosch to bendze — *nich wahr?*” — i pracował do późnej nocy.

Ale nazajutrz, w dniu zawodów, Kurtowi nigdy nie zaoliwiał się świece, nie pękały wanty, nie zacinął się mieczowy kil tuż przed mielizną. Nie zazdrościłem mu. Przyznawałem, że człowiek który rezygnuje ze słuchania upojnych tang i trzymania w ramionach pięknych kobiet — zasługuje na rekompensatę w postaci pierwszego miejsca na zawodach. Na urządzanych po zawodach

przyjęciach szczerze mu zawsze gratulowałem i bez zawiści piłem jego zdrowie. Towarzystwo — poza zawodami — nie spotykaliśmy się nigdzie. Kurt żył w swoim własnym świecie. Z nami, oficerami morskiego lotnictwa, stykał się wyłącznie na gruncie sportowym, traktując nas zawsze bardzo grzecznie i bardzo *par distance*. Do swego domu nigdy nikogo z nas nie zapraszał, ku szczeremu naszemu żalowi, gdyż miał bardzo piękną siostrę. Wyczuwało się, że uważa nas za nieproszonych przybyszów, którzy wśród takich jak on autochtonów nie mogą mieć pełnych praw — i którzy sami powinni to rozumieć.

Gdy rozmawiał ze mną, zawsze starał się przerzucić na język polski, przypuszczam, że chodziło mu o praktykę w używaniu polskiego — tak samo zresztą, jak mnie chodziło o praktykę w niemieckim. Kończyło się zazwyczaj na tym, że gdy on mówił do mnie po polsku — ja mówiłem po niemiecku.

Któregoś dnia, zirytowała mnie jakaś mniej pochlebna uwaga Kurta. Postanowiłem oświecić go, że i my również posiadamy pewne prawa do brzegów Bałtyku. Pożyczyłem mu „Wiatr od Morza”. Zwrócił mi książkę po paru tygodniach. Był szczerze zachwycony. Podobał mu się zwłaszcza rozdział o łodzi podwodnej. Mówił:

„To piękny rys charakteru autora, że oddał słuszną cześć niemieckim marynarzom. Poza tym książka zaczyna się zbyt późno. Szkoda że autor nie zaciekał się dziejami tej ziemi przed przybyciem tu świętego Alberta”.

Odpowiedziałem, że w historii mało jest śladów tego, co działo się na tej ziemi przed przybyciem przez Polskę chrztu i przed przybyciem świętego Wojciecha.

Kurt postanowił oświecić mnie i otrzymałem piękną, grubą książkę, pełną kolorowych rysunków, map, wykresów i naukowych odsyłaczy. Autor, profesor doktor Gräbner, (może Grübner, już nie pamiętam) dowodził na podstawie ściśle naukowych danych, że na ziemiach pomiędzy Wisłą a Wołą zamieszkiwały szczepy germańskie. Germanowie zajmowali się głównie rolnictwem i posiadali wysoką kulturę. Świadczą o niej liczne wykopaliska. Dopiero w piątym wieku po Chrystusie ludy mongolskie nacisnęły na żyjących na wschód od Wołgi Słowian, którzy naciskani przez Mongołów ruszyli na zachód, wypierając w swym pochodzie rolnicze szczepy germańskie aż poza Odrę. Jest postannictwem wielkiego narodu niemieckiego odzyskać utraczone ziemie i przywrócić im zniszczoną przez Słowian wysoką kulturę. Ostatni rozdział był dla mnie (wówczas) mało zrozumiały. Traktował o „długo-głowej” rasie nordyckiej, której dziejową misją jest panowanie nad rasami niższymi.

Na zapytanie Kurta, co sądzę o tezach autora, odpowiedziałem że jeśli nawet profesor doktor Gräbner ma rację i na ziemiach pomiędzy Wisłą a Wołą naprawdę mieszkali kiedyś Germanowie, to dziś należy to już do historii i nie trzeba przypuszczać, by Słowianie zechcieli dobrowolnie powrócić za Wołę.

Wobec tego otrzymałem jeszcze jedną książkę. Była to po-

wieść „Parthenau”. Autor Max Rene Hesse opisywał wojnę pomiędzy Niemcami z jednej, a Polską i Czechosłowacją z drugiej strony. Oczywiście zwycięstwo odnoszą Niemcy. Po zwycięstwie — ale lepiej oddam głos autorowi:

„Przed wszystkim nastąpi odtransportowanie na Syberię całej, wziętej do niewoli polskiej i czeskiej armii. Istnieją tajne układy, zawarte z Rosją jeszcze przed wybuchem wojny. Nasi organizatorzy stworzyli dokładnie przemyślaną władzę dyktatorską dla Polski i dla Czech. Każdy jeńiec otrzyma rozkaz, by zabrał ze sobą całą swoją rodzinę. Każda rosyjska wieś, aż po granice Mongolii, otrzyma jedną rodzinę polską lub czeską. Rodziny robotnicze rozmieścimy po syberyjskich miastach. W czternaście dni po zakończeniu wojny wszystkie rodziny polskie i czeskie będą już w podróży. Nigdy nie powrócą. Ale tego oczywiście nikt z nich nie będzie wiedział. Pusty kraj zatrzymamy dla siebie. Aby być wielkim narodem potrzebujemy przestrzeni” (1).

Tej książki już nie zdążyłem z Kurtem omówić. Któregoś dnia wybraliśmy się motocyklami do Wejherowa. Było po deszczu i asfalt był mokry i śliski. Jadący przede mną Kurt zaczął brać wiraż na zbyt dużej szybkości. Rozpędzony motocykl oderwał się od twardej nawierzchni szosy, przeskoczył rów i skoziłkował w kartoflisku. Dywizjonową sanitarką odwiozłem Kurta do naszej Izby Chorych, gdzie nasz doktor nałożył mu opatrunek i pozwolił odwiedzić go do domu. Jak już wspominałem, stosunki z Kurtem ograniczały się wyłącznie do życia sportowego i nigdy nie byłem w jego domu. Rozglądałem się ciekawie po dużym hallu, którego ściany zdobiły liczne głowy dzików i jeleni. Siostra Kurta, mimo że przeraził ją widok leżącego na noszach brata, nie straciła zimnej krwi i grzecznie poprosiła mnie bym nie odjeżdżał, lecz czekał aż położy Kurta do łóżka i przyjdzie mi podziękować za opiekę nad bratem i wysłuchać szczegółów wypadku.

Zaprowadzono mnie do pokoju, który zapewne był biblioteką, lub też gabinetem ojca Kurta, o którym wiedziałem tylko tyle, że zginął, jako major, w pierwszej wojnie światowej.

Ze ścian patrzyły na mnie portrety umundurowanych mężczyzn. Jacyś landsknechci z wojny trzydziestoletniej, jacyś strojni w koronki kawalerzgardzi. Nigdy nie ciekawiła mnie ta epoka i mało o niej wiedziałem. Ale od razu rozpoznałem mundur oficera pułku pomorskich grenadierów króla Fryderyka Wielkiego. Jeszcze lepiej znane mi były mundury armii pruskiej z epoki Napoleońskiej. Było ich kilka. Potem parę portretów oficerów w mundurach pomorskich grenadierów z epoletami znaczącymi inicjałami Fryderyka Wilhelma. Wreszcie kilka portretów w mundurach feld-grau ostatniej wojny. W oszklonych gablotkach, na aksamitnych poduszkach, spoczywały order i krzyż, prawdo-

(1) Ciekawe, że książka Hesse'go „Parthenau”, wydana w 1931 r. i ujawniająca zamiary Niemców wobec Polski i Czech, była w Polsce zupełnie nieznaną. Przynajmniej nigdy nie słyszałem, by była w polskiej prasie omawiana.

podobnie odznaczenia zdobyte przez sportretowanych przodków Kurta.

Zrozumiałem. Kurt był potomkiem starej, wojskowej rodziny.

Po tym wypadku motocyklowym Kurt wycofał się — na okres rekonwalescencji — z życia sportowego. Przestaliśmy się widywać. Latem Kurt wyjechał do Bawarii na jakiś obóz. Miał to być kurs szybowcowy, ale po powrocie Kurt opowiadał głównie o lotach w szyku i na akrobację. Nie trudno się było domyślić, że Kurt — który był pilotem Aeroklubu Gdańskiego (niemieckiego, bo był i polski) — przeszedł przez kurs pilota myśliwskiego.

Jesienią zostałem przeniesiony do Warszawy i Kurt znikł z mojego horyzontu.

Spotkaliśmy się dopiero parę lat temu — w Montrealu. Bez chwili wahania uściśnałem wyciągniętą ku mnie rękę. Może głównie dlatego, że w klapie marynarki Kurt miał znaczek byłego lotnika Luftwaffe.

W czasie ostatniej wojny żołnierz niemiecki splamił swój mundur popełniając wiele haniebnych, okrutnych czynów. Ale te straszliwe czyny były popełniane tam, w dole, na ziemi. W powietrzu utrzymały się rycerskie tradycje. Walka była bezwzględna, nieustępliwa, na śmierć, ale na ogół była czysta. A jeśli chodzi o bombardowania cywilnej ludności — to bombardowania Hamburga, Berlina i Drezna wyrównywały rachunek za Warszawę i Coventry.

Bez chwili wahania uściśnałem rękę Kurta.

Byłoby przesadą twierdzić, że zostaliśmy przyjaciółmi. Ale szukaliśmy swego towarzystwa i chętnie ze sobą rozmawiali. Z odległości czterech tysięcy mil i z perspektywy dwudziestu pięciu lat wiele spraw zmienia swoje oblicze. Obaj — Kurt i ja — jesteśmy Europejczykami wychowanymi w tej samej kulturze. Obaj używamy tej samej skali ocen. Dopiero tu zrozumieliśmy, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Jak inaczej reagujemy my — a inaczej otaczający nas ludzie. Jak obaj odcinamy się od tego obcego nam świata.

Czar kraju naszej młodości stanowi potężną więź. W promieniu setek mil jesteśmy jedyni, którzy mogą rozmawiać o Gdańskiej zatoce, o łańcach zbóż pomiędzy Rzućcem a Celbowem, o Tucholskiej puszczy. Tylko ze sobą możemy mówić o mistycznej atmosferze murów kościoła Panny Marii, o romantycznym uroku starych domów przy ulicy Długiej. O tych niezapomnianych porankach gdy mknęliśmy wzdłuż uśpionej Halballee, wśród pachnących bzów i jaśminów. Miasto jeszcze spało, tylko od Neufahrwasser niósł się głos okrętowych syren. O wstęgach asfaltowych dróg przecinających Kaszubską Szwajcarię, o jeziorach lśniących jak brylanty wpięte w zielony aksamit.

Coraz mniej ważne jest, że co Kurt nazywa Danzig — ja nazywam Gdańsk, że co Kurt nazywa Langfuhr — ja nazywam Wrzeszcz.

Wojny nie wspominaliśmy przez długi czas. Aż któregoś dnia, w jakimś ilustrowanym piśmie, zobaczyliśmy fotografię Me-109.

„To był samolot” — westchnął Kurt.

Nie mogłem nie stanąć na pozycji:

„Nie lepszy od Mosquito”.

I potoczyły się wspomnienia. Bardzo zresztą do siebie podobne.

Obaj byliśmy w dywizjonie dalekiego fotorozpoznania i obaj „opiekowaliśmy się” portami. Mieliśmy wspólną, głęboką awersję do Północnego Morza i Norwegii i obaj czuliśmy żywy zachwyt dla całego obszaru Śródziemnomorza. Codzienny tryb życia w eskadrach foto-rozpoznania był bardzo zbliżony i po obu stronach frontu mieliśmy ten sam dowcip, że skoro zarówno Królewskie Lotnictwo jak i Luftwaffe potrafi sfotografować każdy obiekt na którym mu zależy — zapłaciwszy odpowiednią cenę w straconych maszynach i załogach — o ileż byłoby prościej fotografować nad własnym terenem, by potem wymienić te zdjęcia na międzynarodowej giełdzie foto-rozpoznania.

Tak jak podobne było nasze życie w czasie wojny — tak podobnie ułożyły się nasze losy powojenne. Posłuszni prawu swoich krajów poszliśmy obaj na wojnę, po to, by po wojnie nie mieć prawa powrotu do swojej ojczyzny. W następstwie nowej wędrówki ludów znaleźliśmy się aż w Kanadzie.

Jeśli chodzi o zmiany fizyczne to dalekie, wielogodzinne loty na dużych wysokościach i związana z tym konieczność oddychania przy pomocy aparatów tlenowych, pozostawiły nam obu spalone płuca. To może potwierdzić proste prześwietlenie Roentgena. Trudniej jest określić zmiany psychiczne. Wojna zachwiała wiarę Kurta w możliwość przywrócenia w granice Wielkich Niemiec obszarów pomiędzy Wisłą a Wołgą. Również zmienił zdanie odnośnie zalet przesiedlania ludności, zwłaszcza, że jego matka i siostra zginęły ostatniego dnia wojny, na ewakuującym ich z Gdańska okręcie.

Jeśli chodzi o mnie, to teraz, gdy bliżej poznałem Kurta, strzelanie do niego nie sprawiłoby mi już żadnej przyjemności. Jeśli znaleziono drogę porozumienia się nad Renem — nie widzę przyczyn, by nie można było uczynić tego nad Odrą.

Bolesław POMIAN

Wiersze

N O C

*ten co opisuje noc jak
by dotykał fantomu
myli się jeśli widzi ją
jako pływający plankton
zalewający usta*

*myli się również ten kto ją
odczuwa jako las rzeczy
przez które trzeba przedrzeć się
zanim tryśnie lampa tukowa
w rozchwianej bramie*

*również porównanie nocy
do wizji ślepca od urodzenia
nie ma sensu gdyż noc
jest to kość odarta z mięsa
po ataku lotniczym*

*najbardziej jednak myli się ten
kto sądzi że noc udziela rozgrzeszenia*

W I E R S Z O K O N I A C H D R E W N I A N Y C H

*poprawiałem jego maść glansując
szuwaksem połysk kory skóry*

*drewnianej. każdego dnia
miał piękniejszy bok.*

*dobrze mu było w tajni
zacisznej w pokoju
obok sypialni rodziców.*

*uczyłem i sztuczek cwanych
galopu albo jak z truchtu
przejsć w elastyczny krok
wojskowej promenady. nic
się nie uskarżał na brak
trocin w boku choć
tartaki w beskidzie pracowały na
pełną parę i mogłem mu
wsypać do jelit trochę
tego antycznego rzazu.*

*na głos trąbki wyprowadziłem wierchowca
na szosę z kierunkiem na bytom
również inni swe konie lipowe
wiedli ciasno przy uździe.
szczękał oreż
przecuciem entuzjastycznej szarzy.
konie się rwały drewniane
na sznurkach do dzielnej roboty,
trudno je było utrzymać.
przypasawszy szablę i
lancę przytroczywszy do
boku rumaka, krzyknąłem — naprzód
chłopczy!*

*przejechały czołgi
po nas, chrzęszcząc gąsienicami
kilka sztukasów górą.*

*trocin zostało na szosie gliwickiej
i trochę drewnianych spierzchłych
gówienek po koniach drewnianych*

GHOST-TOWN REVISITED

*w samotności domu jest miejsce
obrysowane klinem płomyka*

*gdzie grzeje nogi stół
domownika
myszy*

*rupieciarnia ciem kryje się
trochę dalej gdzie nie można
pogrzebaczem podpalić nawet
echa dzwoniącej iskry*

*tak jakby ktoś tu przed myszą
władał państwem drobnego szczegółu —
szpulą taśm do nagrywania plam świetlnych
dla przyszłych pokoleń stołu*

*wabi ten dom w samym
środku wiosny szczególnie
gdy pajęczyna puszcza nowe listki
i zakwita w niej uduszona mucha*

Jan LESZCZA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Archiwum polityczne

Gramsci i Togliatti

Kiedy długi korowód komunistów włoskich (wśród których przeważały kobiety, na przemian zmagające różaniec i podnoszące zaciśnięte pięści do góry w rewolucyjnym pozdrowieniu, sympatyków komunistycznych, przedstawicieli rządu i stronnictw, delegatów zagranicznych (nie zabrakło wśród nich oczywiście wysłanników z Warszawy, którzy w ten sposób chcieli widocznie podziękować Zmarłemu za złożenie podpisu pod wyrokiem śmierci na KPP) i zwykłych gapiów przesuwali się przed katafalkiem z trumną Togliattiego w siedzibie partii na Via Botteghe Oscure (w pobliżu Ghiesa Gesu, gdzie pochowany jest Sant Ignazio di Loyola), hołd wymagany od żałobników był podwójny: za okrytą czerwonym aksamitem trumną wznosił się namiot, również z czerwonego aksamitu i ze złotymi frędzlami, osłaniający marmurową niszę z popiersiem Gramsciego. Jeśli przepisy cmentarza akatolickiego na Testaccio na to pozwolą, a komuniści włoscy zdecydują się na kremację swego Wodza, mimo ryzyka na jakie podobny akt może ich narazić w szeregach nowoczesnych posiadaczek różańca i legitymacji partyjnej, urna z popiołami Togliattiego spocznie obok urny z popiołami Gramsciego, w bliskim sąsiedztwie grobów Shelley'a i Keatsa. Jako uczeń i najwierniejszy *sodalis gramscianus* występuje Togliatti we wszystkich niemal nekrologach oficjalnych. Intelktualiści (jak zwykle w takich wypadkach) nie dali się zostawić w tyle. Znakomita pisarka Elsa Morante, autorka *Kłamstwa i magii* oraz *Wyspy Artura*, pisze:

„Twarz Togliattiego przypominała mi twarz Gramsciego; i wyrażała jego kulturę, jego grzeczność, samowiedzę człowieka który rozumie jak wielką odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto swoje siły poświęca sprawie innych ludzi”.

Z odtworzonego niżej epizodu zobaczymy, że mit tak miły sercom funkcjonariuszy partyjnego zakładu pogrzebowego

i płaczek z pomocniczej konfraternii pisarskiej jest kłamstwem politycznym i czarną magią literacką.



Epizod miał miejsce w roku 1926; po raz pierwszy został ujawniony w roku 1938. Ujawnił go w Paryżu Angelo Tasca, wówczas już ex-komunista, niegdyś jeden z założycieli (wraz z Gramscim i Terracinim) *Ordine Nuovo* w Turynie i „żyrant” zgłoszenia Togliattiego do partii, w latach 1924-1929 członek reprezentacji włoskiej w Kominternie. Ujawnienie spotkało się z gwałtowną odprawą Togliattiego: były towarzysz i mentor partyjny nie zasługiwał naturalnie na wiarę jako „renegat” i „oszczerca”. Dziś, po częściowym przynajmniej otwarciu ust i archiwów przez XX i XXII Zjazd, „renegaci” i „oszczercy” odzyskali prawo do brania na serio ich rewelacji. Tasca, zmarły w Paryżu w roku 1960, nie doczekał się potwierdzenia swej prawdomówności ze strony Togliattiego. Togliatti zdążył jeszcze przed własną śmiercią wystawić mu to świadectwo (jakkolwiek z komentarzem łagodzącym ostrość całej sprawy) na łamach tygodnika partyjnego *Rinascita* z 30 maja br.

Rzecz wymaga krótkiego wprowadzenia. Na początku roku 1926 Togliatti został wysłany do Moskwy jako stały łącznik między PCI (*Partito Comunista Italiano*) i WKP(b). Ośrodek partyjny pozostał we Włoszech: sterował nim, jako bezsporny przywódca, Antonio Gramsci, człowiek o wybitnej inteligencji, niezależności i prawości wewnętrznej. W Moskwie koalicja Stalin-Bucharin zabierała się do rozgromienia opozycji kierowanej przez grupę Zinowiew-Trockij-Kamieniew.

W przededniu XV konferencji WKP(b) w Moskwie Gramsci, odcięty w Rzymie od ścisłych informacji o przebiegu wypadków, postanowił wysłać list do Togliattiego z nakazem podania go do wiadomości „towarzyszy radzieckich”. Pisał w nim m.in. co następuje:

„Sytuacja wewnętrzna w naszej bratniej partii ZSRR wydaje nam się odmienna i znacznie groźniejsza niż podczas poprzednich dyskusji, gdyż dziś jesteśmy świadkami pogłębiania się rozłamu w centralnej grupie leninowskiej, która była zawsze kierowniczym jądrem partii i Międzynarodówki”.

I dalej:

„Ostrość obecnego kryzysu i groźba otwartego lub potencjalnego rozłamu wstrzymuje proces rozwoju naszych partii, jeszcze raz oddala dzień triumfu organicznej jedności światowej partii robotniczej. Towarzysze z WKP(b), w ciągu minionych dziewięciu lat historii świata byliście siłą napędową i organizacyjną ruchów rewolucyjnych we wszystkich krajach kuli ziemskiej. Lecz dzisiaj to właśnie wy niszczyacie wasze własne dzieło, poniżacie i unicestwiamy kierowniczą funkcję jaką partia komunistyczna ZSRR zdobyła sobie dzięki Leninowi”.

Togliatti, w komentarzu na łamach *Rinascita*, nie przeczy autentyczności dokumentu. Nie dopisuje mu jednak pamięć, gdy chodzi o ustalenie czy i jak wywiązał się z poruczonej mu przez Gramsciego roli oddawcy listu. Oto jego słowa:

„List Gramsciego zawierał aprobatę linii większości, ale niektóre jego twierdzenia mogłyby być źle zrozumiane, a zatem przynieść szkodę sprawie. W każdym razie przekazałem list Bucharinowi, który był wtedy przedstawicielem WKP(b) w Egzekutywie Międzynarodówki i naturalnie sekretarzem Międzynarodówki. Myślę że Bucharin zapoznał z treścią listu Politbiuro partii bolszewickiej”.

Słowo „myślę” jest tu dowodem ostrożności, a może nawet zabiegiem asekuracyjnym. W samej rzeczy Tasca zapewniał w roku 1938, że list Gramsciego nie został nigdy doręczony właściwym adresatom. W odpowiedzi Togliattiego na list Gramsciego nie ma również żadnej wzmianki o tym, że dramatyczne ostrzeżenie przywódcy PCI dotarło do rąk członków Politbiura i Centralnego Komitetu WKP(b).

W odpowiedzi Togliattiego czytamy natomiast:

„Otóż niezależnie od pytania czy ma sens mieszać się do obecnej dyskusji rosyjskiej, i to przypisując część winy także Komitetowi Centralnemu, niezależnie od faktu że takie stanowisko musi się obrócić na *wyłączną* korzyść opozycji, czy można twierdzić że część winy ponosi Komitet Centralny? Nie wydaje mi się. Mają słuszość partie zagraniczne przyglądając się z niepokojem zaostrzaniu się kryzysu w rosyjskiej partii komunistycznej, mają słuszość usiłując w miarę swych możliwości przeciwdziałać temu zjawisku. Jest jednak pewne, że kiedy się odczuwa zgodę na linię KC, najlepszym sposobem dopomożenia w zażegnaniu kryzysu jest wyrazić własne poparcie dla tej linii bez żadnych ale. Gdyby opozycja rosyjska nie mogła była liczyć na poparcie niektórych grup opozycyjnych lub całych partii w Międzynarodówce, nie zachowywały się tak jak się zachowały po XIV zjeździe. Doświadczenie uczy, że opozycja wykorzystuje najmniejsze wahania w opinii nawet tych grup i partii, które aprobują linię KC. Oto kilka uwag na przód. Ale są one, jak sądzę, fundamentalne. Daj mi znać co o tym myślisz”.

W świetle odpowiedzi Togliattiego więcej niż prawdopodobne jest to, co twierdził Tasca: że Togliatti pokazał najpierw list Gramsciego Bucharinowi; że Bucharin odradził mu przekazanie go adresatom; i że Togliatti tej rady usłuchał.

Jaki był wynik rozmowy Togliatti-Bucharin? Głos ma Togliatti:

„Sekretarz Międzynarodówki postanowił wysłać do Włoch jednego z jej członków w celach lepszego poinformowania biura politycznego partii włoskiej o tym jak się rozwinęła sytuacja. Misję otrzymał Jules Humbert Droz (komunista, a obecnie eks-komunista, szwajcarski — przyp. G.H.G.), który wywiązał się z powierzzonego mu zadania, uczestnicząc w zebraniu naszego biura politycznego w okolicach Genui. Z zebrania tego wyłoniła się pełna jednomyślność towarzyszy włoskich i przywódców bolszewickich.

Na zebraniu miał być obecny Antonio Gramsci, który nie mógł się poruszać po Włoszech bez deptającej mu po piętach eskorty policji. W Genui nie powiodła mu się próba uwolnienia się od tej eskorty i zmylenia śladów. Gdyby był przyszedł na zebranie wyspałby całe biuro polityczne. Wołał więc wrócić do Rzymu, zebraniu przewodniczył towarzysz Scoccimarro”.

Mówiąc bardzo ogólnie, jest to wersja co najmniej niejasna i podejrzana. Uczucie sceptycyzmu pogłębia jeszcze pytanie: jaki byłby wynik zebrania z *udziałem* Gramsciego?, na które sam Togliatti odpowiada pośrednio:

„Gramsci otrzymał mój list (cytowany wyżej — przyp. G.H.G.) z rąk urzędnika przedstawicielstwa sowieckiego w Rzymie. Prawdopodobnie przeczytał go pośpiesznie w siedzibie tego przedstawicielstwa (gdzie mu go doręczono), i odpisał natychmiast krótko, *nie przyjmując mojej argumentacji* (podkr. G.H.G.). Otrzymałem tę odpowiedź, której nie mógł jednak widzieć żaden z pozostałych towarzyszy z naszego biura politycznego. Nie została ona dotąd odnaleziona w naszych archiwach”.

Wkrótce potem „eskorta policji” wyszła z cienia i aresztowała Gramsciego. Jego uczeń i najwierniejszy *sodalis* nie miał więcej potrzeby toczyć korespondencyjnych bojów z upartym Mistrzem.



Musiałby zapewne toczyć takie boje do 27 kwietnia 1937 roku. W tym dniu Gramsci, aresztowany 8 listopada 1926 roku, zmarł niemal natychmiast po zwolnieniu z więzienia. Kto zna jego pisma (zwłaszcza piękne *Lettere dal carcere*), nie może mieć wątpliwości że „dezynwoltura” polityczna Togliattiego znalazłaby w nim bezlitosnego i nieustępliwego przeciwnika.

W roku 1931 Hitler ruszył do ataku. Moskwa, przeciwna „jednolitemu frontowi” niemieckiemu, powtarzała dzień w dzień aż do znudzenia że „socjalfaszyści są w słowach socjalistami, a w rzeczywistości hitlerowcami i faszystami”.

Świadkiem oskarżenia przeciw ówczesnemu Togliattiemu jest Deutscher. Zaproszony przez redakcję tygodnika rzymskiego *L'Espresso* do napisania artykułu o Togliattim, ostrzega on galanteryjnie że będzie musiał naruszyć maksymę *de mortuis nil nisi bene*, po czym opowiada:

„Należałem wtedy do grupy tych nielicznych komunistów, którzy próbowali wytrącić Egzekutywę Kominternu z jej ultraradykalnego bezruchu w obliczu ataku hitlerowskiego. W artykułach i memoriałach wysyłanych do Centrali Kominternu w Moskwie nalegałszy na utworzenie jednolitego frontu obu partii robotniczych i na porzucenie szkodliwej formuły „socjalfaszystów”. Przewidywałem że zwycięski Hitler zdławi zarówno partię socjaldemokratyczną jak partię komunistyczną, dowodziliśmy że wspólne niebezpieczeństwo które zagraża nam wszystkim usprawiedliwia w pełni zmontowanie jednolitego frontu. Powoływałem się na doświadczenie faszystów włoskiego, na zabójstwo Matteottiego i zniszczenie z woli Mussoliniego całego włoskiego ruchu robotniczego. Matteotti — pytaliśmy — był

także socjalfaszystą? Byliśmy przekonani że terror Mussoliniego jest dziecinną zabawką w porównaniu z morzem krwi, jakie Hitler przygotowuje dla naszych towarzyszy i dla socjaldemokratów. Mieliśmy nadzieję że w Egzekutywie Kominternu co najmniej jeden człowiek zrozumie nasze argumenty: towarzysz Ercoli (pseudonim Togliattiego — przyp. G.H.G.). Któż lepiej niż on powinien był widzieć szaleństwo polityki Kominternu? Z pewnością — myśleliśmy — Ercoli nie zgodzi się na przyjęcie zasady, że faszyzm i demokracja burżuazyjna są jednym i tym samym. Musiał on przecież wiedzieć, że socjaldemokraci we Włoszech i w innych krajach, cokolwiek by się sądziło o ich błędach, ułomnościach a nawet zbrodniach, nie mogą być traktowani jak faszyci i nie są tak traktowani przez sam faszyzm. Jakież tedy było nasze rozczarowanie gdy stało się jasne że Ercoli, choć o tym wszystkim wiedział, podporządkował się karnie i bez szemrania dyrektywom Kominternu. Na zebraniach Egzekutywy i w prasie komunistycznej wysmiewał on i piętnował tych członków partii, którzy wciąż upierali się przy różnicy między faszyzmem i demokracją burżuazyjną, którzy wciąż odmawiali atakowania „socjal-faszystów” lub nawoływali wręcz do wspólnego z nimi działania. Nie dziwiłiśmy się słysząc podobne rzeczy z ust Thaelmanna, topornego przywódcy niemieckiej partii komunistycznej, Kuusinen, fińskiej marionetki Stalina, albo Manuilewskiego, kukły którą Stalin odkomenderował do Kominternu. Ale Ercoli, którego znaliśmy jako zażyłego przyjaciela Gramsciego i który w ubiegłych latach usiłował nam uprzytomnić tragiczną naukę płynącą z doświadczenia włoskiego, jak mógł Ercoli popierać politykę która musiała doprowadzić nieuchronnie do katastrofy komunizmu niemieckiego, a nawet europejskiego? Przyjaciele w Moskwie oświecili nas że Ercoli zachowywał się tak z otwartymi oczami i w pełni świadomości katastrofy ociekającej Komintern, gdyż stał się całkowicie bezwolnym cieniem Stalina i nie odważył się na nic co mogłoby osłabić jego pozycję osobistą w hierarchii Kominternu. W naszych oczach zatem Ercoli był jednym z głównych winowajców kapitulacji i klęski komunizmu i całego niemieckiego ruchu robotniczego w roku 1933”.

W tym samym numerze *L'Espresso* Nenni ujmując rzecz krócej, ale w analogicznym duchu:

„Najważniejsze różnice zdań między mną a Togliattim w latach 1923-1934 dotyczyły stalinowskiej teorii socjalfaszyzmu, którą my socjaliści odrzucaliśmy i która w Niemczech była niewątpliwie jednym z czynników ułatwiających Hitlerowi zwycięstwo nad partiami robotniczymi”.

Tak nieprzejednany wobec „socjalfaszystów”, uczeń i *socialis* Gramsciego miał czulsze serce dla faszystów. W numerze ósmym (sierpień 1936) wychodzącego w Paryżu miesięcznika komunistycznego *Stato Operaio* ukazał się *Apel do faszystów*, napisany i podpisany przez Togliattiego. Kilka fragmentów tego osobliwego dokumentu zasługuje na przytoczenie.

„Tylko braterska jedność narodu włoskiego, osiągnięta w drodze podległości faszystów i nie faszystów, zdoła obalić władzę rekinów w naszym kraju, zdoła wyrwać obietnice (sic!) które przez wiele lat czyniono masom ludowym i których nie dotrzymano... Program faszystowski z roku 1919 nie został zrealizowany. Ludu włoski! Faszyci ze starej gwardii!

Młodzi faszyci! My komuniści podpisujemy się pod programem faszystowskim z roku 1919, który jest programem pokoju, wolności, obrony interesów robotniczych, i zwracamy się do was ze słowami: Walczmy ramię w ramię o urzeczywistnienie tego programu!... Faszyci ze starej gwardii! Młodzi faszyci! Oświadczamy że jesteśmy gotowi walczyć razem z wami i z całym narodem włoskim o realizację programu faszystowskiego z roku 1919, i o wszystkie żądania które wyrażają bezpośredni interes robotników i ludu włoskiego. Gotowi jesteśmy walczyć razem z każdym, kto naprawdę chce walczyć przeciw zgrai pasożytów wykrwawiającej i uciskającej cały naród... Do ciebie, robotniku faszystowski! Podajemy ci rękę, robotniku faszystowski, gdyż wraz z tobą chcemy zbudować Włochy pracy i pokoju. Podajemy ci rękę gdyż jesteśmy, tak jak ty, synami ludu, jesteśmy twoimi braćmi, mamy takie same interesy i takich samych wrogów. Podajemy ci rękę, gdyż razem z tobą chcemy dać siłę, wolność i szczęście naszej pięknej ojczyźnie... Do ciebie, robotniku katolicki! My, komuniści, podajemy ci rękę robotniku katolicki, gdyż razem z tobą chcemy walczyć o większą sprawiedliwość, o pokój między ludźmi, o wolność. Papież Pius XI zaatakował ostro w encyklice *Quadragesimo Anno* potęgę gospodarczą, która skupiła się w rękach małej grupki ludzi, władającej kredytem i wydającej go (sic!) według własnego widzimisię, dzierżącej w rękach życie narodów. Przeciw tej potędze, by ją obalić, chcemy połączyć się z tobą”.

O teorii „socjalfaszyzmu” i spowinowaconej z nim „demokracji burżuazyjnej” zapomniał też Togliatti, gdy po dwudziestu blisko latach wygnania dotknął stopą ziemi ojczystej na uwolnionym przez Aliantów skrawku południowych Włoch. Croce notuje w swoim *Diario* pod datą 2 kwietnia 1944 roku:

„Dziś lekkie polepszenie, które pozwoliło mi napisać krótki szkic o estetyce Winckelmanna. Ale ledwie go skończyłem, zjawił się Morelli by mnie zawiadomić o nagłej zmianie sceny politycznej: przybyły z Rosji komunisty włoski Ercoli-Togliatti zebrał komunistów i wezwał ich oraz inne partie polityczne do współpracy z rządem marszałka Badoglio, przechodząc do porządku dziennego nad kwestią abdykacji króla... Jest to na pewno złoczyńcy cios wymierzony przez Związek Sowiecki Anglikom i Amerykanom, gdyż pod pretekstem wzmożenia wysiłku wojennego przeciw Niemcom wprowadza komunistów do rządu, czyniąc z nich inicjatorów nowej polityki nad głowami innych partii politycznych i przeciw innym partiom politycznym, które będą teraz zmuszone pójść w ich ślady. Togliattiego nie wprawi naturalnie w zakłopotanie fakt, że jeszcze niedawno jego towarzysze (krajowi — przyp. G.H.G.) protestowali wraz z socjalistami i Partią Czynu (radikalne ugrupowanie inteligentne — przyp. G.H.G.) przeciw Churchillowi, domagali się abdykacji króla, wyłączenia z gry całej dynastii sabaudzkiej, republiki!”.

Nie wprawił go istotnie w zakłopotanie.

W roku 1947, po ukazaniu się *Listów z więzienia* Gramsciego Croce zrecenzował je na kartach *La Critica*. Zakończenie recenzji brzmi tak:

„Niech mi wolno będzie zauważyć bez zamiaru urażenia kogokolwiek

że dzisiejsi włoscy intelektualiści komunistyczni zbyt się oddalają od przykładu Gramsciego, od jego poszukiwania prawdy gdziekolwiek się znajduje, od jego troski o ścisłość i obiektywizm, od delikatności i tklivosti jego uczuć, od jego prostolinijnego i pełnego godności stylu, i mogliby się wiele od niego nauczyć, podczas gdy my, czytając go, czerpiemy pociechę z tego poczucia braterstwa ludzkiego które, jeśli milknie wśród sporów politycznych, odzyskuje głos w poezji i w dziełach myśli, gdy tylko duch się oczyszcza i wstępuje na wyżyny, jak się to zdarzało Gramsciemu. Przed laty doradzałem młodym komunistom neapolitańskim, uzbrojonym w katechizm filozoficzny Stalina, by podnieśli wzrok ku wystawionym w Neapolu pomnikom Tomasza z Akwinu, Giordana Bruno, Tomasza Campanelli, Giambattisty Vico i innych naszych wielkich myślicieli, i by spróbowali, jeśli potrafią, dźwignąć doktrynę komunistyczną na ten poziom i powiązać ją z tą tradycją. Teraz jednak wskazuję nie marmurowe pomniki, lecz człowieka którego wielu z nich znało osobiście, i którego pamięć powinna być w nich żywa dzięki czemuś więcej niż pusty dźwięk nazwiska i nadużywanie go w polemice uprawianej w złej wierze".

Uczeń i *sodalis* Gramsciego znał dobrze wymienionych przez Crocego filozofów, cytował z pamięci długie szeregi tercyn Dantego, uchodził za człowieka o rozległej i wszechstronnej kulturze. Ale pod pachą nosił zawsze katechizm filozoficzny Stalina. I narzucił go paru pokoleniom swoich podkomendnych i wychowanków. Czas pokaże, czy i w jakim stopniu zdołają się zeń otrząsnąć.

3 września 1964.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kronika angielska

KTO KOGO Z CZEGO WYOBECOWUJE?

Daniel Bell, który z rozprawie pt. „In Search of Marxist Humanism” — rysuje genealogiczne drzewo alienacji — podkreśla, że w opinii Marksa pierwszy Feuerbach wyłamał się z hegliańskiego abstrakcjonizmu i wskazał źródło „wyobcowania”. Feuerbach określał samego siebie jako Lutra nr 2. Luter nr 1 uderzył w instytucję pośredniczącą pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Feuerbach uderzył w samego Boga. Być wolnym oznacza wyzwać się z religii. Trzeba zdetronizować Boga, a intronizować człowieka.

Lecz w gruncie rzeczy religia jest również abstrakcją. Marks był pierwszym, który związał pojęcie alienacji z konkretną ludzką sytuacją tj. z

pracą i z systemem własności. Na rynku kapitalistycznym praca staje się towarem a człowiek jest przedmiotem używanym, nadużywanym i wyciskiwany przez innych ludzi. Stając się towarem człowiek zatracą swą identyczność i poczucie własnej osobowości. Traci kontrolę zarówno nad procesem pracy jak i nad jej produktami. W sumie człowiek nie jest ani wolny ani szczęśliwy.

Dziś wiemy, że źródeł alienacji jest wiele. Wiemy również, że obalenie systemu kapitalistycznego nie niweczy automatycznie alienacji we wszystkich jej przejawach.

Hegel, Bauer, Feuerbach i Marks — choć różnili się w ocenie źródeł alienacji byli zgodni w poglądzie, że celem człowieka jest osiągnięcie pełnej wolności bo tylko na tej drodze przezwyciężyć można alienację.

W państwach komunistycznych, zgodnie z tezą Feuerbacha — zdetronizowano wprawdzie Boga lecz bynajmniej nie intronizowano człowieka. Intronizowano nieomylną partię. Zmieniono system własności rozkuwając robotnika z kajdan kapitalizmu. Lecz równocześnie ową wolność od kapitalizmu skreślano taką ilością nakazów i zakazów że nikt nie poczuł się wolniejszy.

Jak za wolnego i w pełni rozwijającego swą osobowość może uważać się człowiek wyobcowany z wspólnoty zagadnień doby współczesnej? Słusznie zauważył kiedyś Jonesco, że książki czyta się nie tylko w tym celu by znaleźć odpowiedź na tzw. „dręczące pytania”. Książki czyta się przede wszystkim po to, by poszerzyć zakres problemów i „otwartych kwestii”. Jak można przeżywać i obserwować szybkie przemiany zachodzące we współczesnym świecie jeżeli w danym kraju prasa i periodyki zachodnie nie mają debitu?

Komuniści w wielu wypadkach nie bez słuszności — podkreślają swe zasługi w dziedzinie upowszechnienia oświaty. Lecz w gruncie rzeczy ideałem neo-stalinowców jest kultura jednowymiarowa. Kultura oparta o jedną dogmatycznie pojmowaną filozofię i o jedną dogmatyczną interpretację procesu historycznego.

Wykształcenie i kultura jeżeli nie mają pogłębiać poczucia izolacji — muszą ułatwiać człowiekowi ogarnięcie współczesnego świata w jego różnorodności i rozwoju. Cenzura, ograniczenia w zakupie i dystrybucji zagranicznych książek i czasopism — uniemożliwiają prawidłowy rozwój kultury.

Ktoś porównał socjologów do lekarzy. Człowiek zdrowy nie interesuje się ani medycyną ani lekarzem. Podobnie, gdy dane miasto, wieś, ośrodek przemysłowy — funkcjonują sprawnie i normalnie nikt nie interesuje się socjologami. Lecz w okresach zaburzeń, nieprawidłowości, strajków, wzrostu przestępczości — wzywa się natychmiast socjologów.

Socjologa-marksiście, związanego doktryną, którą reprezentuje — przyrównać można do chińskiego lekarza. W Londynie istnieją instytuty chińskiej, tradycyjnej medycyny, która w niektórych wypadkach poszczycić się może zdumiewającymi rezultatami. Lecz w wielu sprawach chorobowych, które dla zachodniej medycyny nie przedstawiają trudności — chińscy tradycyjni lekarze są bezsilni. W rezultacie w Anglii wolno stosować metody chińskie tylko tym lekarzom, którzy posiadają pełne zachodnie lekaarskie kwalifikacje.

Lord Brain w prezydenckim przemówieniu na tegorocznym posiedzeniu Royal Society, powiedział m.in.: „Jako indywidualne jednostki jesteśmy wszyscy odbiornikami. Jesteśmy zdolni dostarczać wyższym centrom mózgo-

wym informacji. Jakiego typu informacje otrzymuje nasz mózg zależy od nas samych”.

Tylko zachodni uczoney mógł wypowiedzieć powyższą opinię. Czy inteligent mieszkający w Dreźnie czy w Leningradzie może powiedzieć, że materia informacyjny, którym programuje swój mózg zależy od niego?

Komuniści deklamują przy każdej sposobności o pokoju. Deklamują również o internacjonalizmie. Pokój świata zależy w olbrzymiej mierze od typu wykształcenia nowego pokolenia. W tym wypadku nie chodzi o podział na humanistów i technologów, lecz o rzecz niepomernie ważniejszą.

Młodzi ludzie w Ameryce, Rosji czy w Niemczech — poprzez wykształcenie powinni dojść do poglądu, że istotą uniwersalizmu jest pluralizm. Każda ideologia czy system zamknięty są z definicji anty-uniwersalne. Każdy system zamknięty jest potencjalnie agresywny — wyłącza bowiem pogląd, że mogą istnieć obok siebie różne doktryny, ustroje i systemy *relatywnie* słuszne. Tylko przyjmując owo słówko „relatywnie” nie popadamy w sprzeczność. I tego słówka nie użyje nigdy żaden komunista w stosunku do swojego systemu. Przeciwnie — powie, że marksizm-leninizm jest bezwzględnie prawdziwy, a system kapitalistyczny bezwzględnie zły i fałszywy.

Przeciętny młody inteligent w bloku wschodnim nie ma ani tej swobody ani tych możliwości w programowaniu swojego mózgu co jego rówieśnik w Ameryce czy w Anglii. Nie ma tych możliwości ponieważ władcy komunistyczni nie życzą sobie w krajach im podległych kultury uniwersalnej. Nie życzą sobie inteligentów o ewolucyjnym, pluralistycznym poglądzie którzy „kurczenie” się świata w sferze komunikacji i technologii umieliby przetłumaczyć na języka prawdziwego internacjonalizmu tzn. współpracy i tolerancji.

Zmiana systemu własności nie przyniosła rozwiązania problemu alienacji. Postulaty Marksa nie zostały spełnione — ponieważ do tej pory nie powiodło się zbudować socjalizmu w połączeniu z wolnością. Komuniści budują socjalizm nie w połączeniu z wolnością, lecz za ceną likwidacji wolności. W ten sposób socjalizm w bloku wschodnim staje się swoją własną antytezą.

W konsekwencji człowiek nigdzie nie jest bardziej osamotniony i wyobcowany jak w ustroju komunistycznym. Typową reakcją na owo wyobcowanie jest cynizm.

W związku ze znanym kontr-protestem zorganizowanym przez władze partyjne Czesław Miłosz napisał w „Kontynentach” co następuje: „Biedne wystraszone chudzińskie, niektóre po 80-ce — komu by się chciało dać od nich rozumu. Wśród nich szanowany przeze mnie Tadeusz Różewicz, bo i nihilista i humanista. Humanistyczną ręką pisze wiersze, nihilistyczną podpisuje się gdzie wskażą, bo co mu tam. Wszystko razem komedia nie zasługująca na uwagę”.

Nihilizm w tym wydaniu jest odpowiedzią słabych na sytuację absurdalną. Sytuacja jest absurdalna ponieważ jest sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i pozornie nie ma z niej wyjścia. Cynizm tej postawy jest w gruncie rzeczy najczystsza forma alienacji. Ludzie typu Różewicza nie identyfikują się z nikim i z niczym, nie przynależą do nikąd.

Nie wydaje mi się by na dłuższą metę było rzeczą możliwą jedną ręką pisać humanistyczne wiersze, a drugą ręką podpisywać cynicznie co

każe władza. Biblijna parabola o prawicy i lewicy w tej materii z całą pewnością nie ma zastosowania

Lecz po cóż operować eufemizmami. Po co mówić o nihilizmie tam, gdzie mamy do czynienia ze zwykłym oportunizmem. Panowie o których mówimy są nihilistami ilekroć leży to w ich konkretnym interesie. Jutro przestaliby być nihilistami gdyby oportunizm dyktował im zmianę frontu. Nihilizm bywał formą przekonania — oportunizm jest zawsze tylko brakiem charakteru.

PARADOKSY NIEMIECKIE

W lutym 1945 zbombardowano Drezno. Wydaje się, że była to bezsensowna operacja dokonana na żądanie Sowietów. Straty w ludziach były olbrzymie. Wielu pisarzy i znawców przedmiotu podkreślało, że w przepięknym niegdyś Dreźnie zginęło więcej ludzi niż w Hiroszimie.

Niemal przez 20 lat nieszczęsne Drezno stanowiło klasyczny przykład i slogan ilustrujący „brytyjsko-amerykańskie barbarzyństwo”. Propaganda NRD nieznuzenie przypominała światu że palma męczeństwa drugiej wojny światowej należy się komunistycznemu Dreznu, a nie kapitalistycznej Hiroszimie.

Nagle na rozkaz z góry stan męczenników Drezna uległ gwałtownej redukcji. Bürgermeister Drezna oświadczył John Manderowi który w tym roku w lecie odwiedził NRD — że cyfra ofiar w znanym lutowym nalocie w r. 1945 nie przekroczyła 35 tysięcy osób. Ojciec miasta poddał również surowej krytyce książkę Davida Irvinga, który przytacza cyfrę strat kilkakrotnie wyższą od oficjalnych 35 tysięcy.

Zdumiony John Mander zażądał od Bürgermeistra by wyjaśnił tę nagłą zmianę frontu. Cóż się okazało? Według obecnie obowiązującej interpretacji nie należy przekraczać cyfry 35 tysięcy zabitych — ponieważ w przeciwnym wypadku ten i ów Niemiec gotów pomyśleć, że wojna atomowa nie jest tak straszna jak ją malują. Przyjmując, że w Dreźnie zginęło ponad 100 tysięcy ludzi — łatwo dojść do wniosku, że wojna atomowa jest *de facto* mniej groźna od wojny konwencjonalnej ponieważ w Hiroszimie na skutek ataku atomowego zginęło „tylko” 80 tysięcy ludzi. Nie należy robić niczego, co by umniejszało grozę wojny atomowej i Drezno musiało się podporządkować wymogom propagandy w tej materii.

Po drugiej stronie muru Ulbrichta wygląda to nieco inaczej. Wayland Young, rzeczoznawca rozbrojeniowy, który w lecie bieżącego roku odwiedził Stany Zjednoczone, w artykule pt. „The Insoluble Issue” pisze o MLF co następuje: „Wydaje się to wręcz niewiarygodne, lecz amerykańscy zwolennicy tego planu poważnie proponują — by jednostka o sile ognia 100 czy 200 megatonów została zorganizowana bez podjęcia decyzji kto ową siłę ma kontrolować. Sprawa kontroli ma być odstawiona na półkę w nadziei, że z czasem znajdzie się jakieś rozwiązanie. Słyszałem amerykańskich planistów strategicznych, którzy w odniesieniu do tego planu używali określeń „sztuka dla sztuki” lub „pociąg-zabawka” (*a toy train*). Dzieckiem któremu owa zabawka dostarczyć ma rozrywki są oczywiście Niemcy zachodnie”.

Charakter tej „zabawki” zilustrował „Sunday Telegraph”. Tzw. „formuła 67” — zezwalałaby na przekazanie kontroli użycia broni atomowych naczelnemu dowództwu wojsk SACEUR za zgodą państw, które pokrywałyby 67% kosztów utrzymania floty MLF. Obecnie owe 67% mogłyby być pokryte przez Stany Zjednoczone i Niemcy Zachodnie ponieważ tylko te dwa państwa przyjęły projekt bez zastrzeżeń. I tu spoczywa pies z niemieckiego przysłowia.

Oczywiście Wielka Brytania założyła protest. Plan jest daleki od ostatecznego kształtu — niemniej „formuła 67” stanowi dobrą ilustrację potencjalnych możliwości sojuszu amerykańsko-niemieckiego.

W ocenie polityki prez. de Gaulle’a ostrzegam się sztancy lewicowych intelektualistów, dla których każdy generał z definicji jest dyktatorem, faszystą i grabarzem demokracji. De Gaulle jest bezsprzecznie wielkim człowiekiem i utalentowanym politykiem. Niemniej wyrażam obawę, że „de gaullizm” nacjonalizuje Niemców.

Sojusz francusko-niemiecki jest strukturą paradoksalną. Francja ma wspaniałą nadbudowę polityczną — lecz znacznie mniej imponującą bazę gospodarczą. Można zaryzykować pogląd, że Francję charakteryzuje przerosł nadbudowy.

W Niemczech zachodnich sytuacja układu się wręcz odwróciła. W perspektywie ekonomicznej Federalna Republika zajmuje w świecie zachodnim drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych. Nikt nie czyta statystyk i bardzo mało ludzi zdaje sobie z tego sprawę. Lecz tej wspaniałej bazy nie odpowiada nadbudowa. Wprawdzie we wszystkich barakach (i nie tylko barakach) Bundeswehry wiszą mapy przedstawiające ziemie odłączone od Niemiec jako „czasowo znajdujące się pod obcą administracją” — Niemcy zachodnie nie mają żadnej polityki zagranicznej. Mają tylko bogaty program rewizjonistyczny, który stanowi jedyną i groźną nadbudowę mocarstwowej bazy ekonomicznej. Można to ująć jeszcze inaczej. Francja prowadzi w pewnym sensie politykę „na wyróst” — Niemcy natomiast nie spieszą się z przekształceniem swego statusu mocarstwowego w sferze ekonomicznej na status mocarstwowy w sferze politycznej.

Niemiecka myśl polityczna jest paraliżowana problemem zjednoczenia. Zagadnienie zjednoczenia Niemiec nie jest ani polityką agresji ani programem rewizjonistycznym. Lecz Niemcy Zachodnie ów postulat zarówno w sensie moralnym jak i politycznym nie do zaczepienia — dewalują wpisując go na czoło długiej listy rewizjonistycznej. Gdyby Niemcy nie zgłaszali śmiesznych pretensji do granic z 1937 r., a domagali się wyłącznie zjednoczenia dwóch republik niemieckich — wówczas największy wróg Niemiec nie mógłby odmówić im słuszności. Wówczas — lecz dopiero wówczas — sprawa zjednoczenia Niemiec nabrałaby mocy moralnej i szala opinii publicznej w wolnym świecie przechyliłaby się zdecydowanie na korzyść Bonn. Lecz Niemcy sami zacierają różnicę pomiędzy zjednoczeniem a rewizjonizmem — pomiędzy postulatem w pełni usprawiedliwionym a programem terytorialnych rewizji.

Politycy w Bonn nie rozumieją, że zjednoczenie w znacznym procencie jest problemem „wewnętrznej” polityki niemieckiej. Bez uciekania się do przemocy — do której Niemcy odwołać się nie mogą choćby chcieli —

problem zjednoczenia jest do rozwiązania wyłącznie w ramach „wewnętrznej” polityki ogólnoniemieckiej.

Zachodnio-niemiecki tygodnik „Quick” zdobył „tajny dokument” zredagowany przez Wolfganga Schollwera, kierownika biura prasowego FDP. W cytowanym memorandum Schollwer domagał się uznania suwerenności NRD do czasu zjednoczenia, obalenia doktryny Halsteina i zamrożenia zbrojeń po obu stronach muru Ulbrichta. W zamian — sugerował Schollwer — należałoby zażądać zastąpienia Ulbrichta bardziej liberalnym przywódcą, zlikwidowania muru i stopniowej de-stalinizacji NRD.

Memorandum Schollwera zostało odrzucone przez kierownictwo jego własnej partii. Inicjatyw tego rodzaju było kilka i wydaje się, że wyjść z impasu można tylko poprzez cierpliwe negocjacje. Lecz czy Niemcy istotnie chcą wyjść z impasu zjednoczeniowego? Sądzić należy, że gdyby doszło do zjednoczenia na drodze negocjacji przypieczętowanych traktatem pokojowym — wówczas teza o granicach z 1937 r. — zostałaby pogrzebana.

Królewiec (Königsberg) był stolicą Prus Wschodnich, a od roku 1701 miejscem koronacji królów pruskich. Od 1946 r. przemianowano Królewiec na Kaliningrad i stolicę kaliningradzkiej „oblasti”. Rosjanie mogą się kiedyś zgodzić na zjednoczenie czy federację obu republik niemieckich, lecz północne Prusy wschodnie i okręg Kłajpedy można by im wydrzeć tylko siłą.

„Prawda” przedrukowała w przekładzie z japońskiego wypowiedź Mao Tse na temat Europy wschodniej. Mao powiedział socjalistom japońskim, że Rosja zaanektowała część Rumunii i Prusy wschodnie. Inkorporowała część Polski dając Polsce w zamian część Niemiec wschodnich. (Nie ma potrzeby wymieniać innych zdobyczy sowieckich wyliczonych skrupulatnie przez Mao Tse).

Cytowany artykuł „Prawdy” przemilczano zarówno w Polsce jak i w Rumunii. Niewątpliwie stanowi on jednak interesującą lekturę dla czytelnika niemieckiego.

Stanisław Czechanowski w jednej ze swoich korespondencji zaznaczył, że gdyby doszło do zawarcia traktatu handlowego pomiędzy Bonn a Pekinem — Chińczycy (dali do zrozumienia) honorowaliby tęzę niemiecką o przynależności zachodniego Berlina do Republiki Federalnej.

Z wywiadu Mao Tse z socjalistami japońskimi należałoby wnioskować, że Pekin jest zwolennikiem przywrócenia w Europie środkowo-wschodniej granic sprzed września 1939 r. Jeżeli ktoś nasze ziemie zachodnie określa mianem „Niemiec wschodnich” — zajmuje antypolskie, rewizjonistyczne stanowisko.

W mojej książce niemieckiej wydanej w Berlinie w roku 1961 — wyraziłem pogląd, że jeżeli rewizjonizm nie wygaśnie doszczętnie — niezadowolenie z polityki amerykańskiej będzie w Niemczech przybierać na sile. Obecnie do niezadowolenia z polityki amerykańskiej dodać należy ochłodzenie w stosunkach pomiędzy Bonn a Paryżem. De Gaulle, jako wódz heroiczny i polityk o szerokich perspektywach, przemawia do nacjonalistycznej wyobraźni niemieckiej. Równocześnie jednak Francja nie tylko sama nie głosi hasła rewizjonistycznych, lecz jest zdecydowanie przeciwna odbudowie wielkich Niemiec.

U dna przyczyny niezadowolenia niemieckiego są identyczne zarówno w stosunku do Waszyngtonu, jak i w stosunku do Paryża. Ani sojusz

z Francją ani sojusz z Ameryką nie stwarzają możliwości przetłumaczenia mocarstwowego statusu ekonomicznego Niemiec na mocarstwowo polityczny. Symbolem owego statusu są własne bronie atomowe, a programem rewizja granic.

WIEK ŻŁOTY

Ile kosztował funt wołowiny w Krakowie w latach 1815-30? Kiedy po raz pierwszy pojawiły się sardynki? U kogo na obiadach podawano ostrygi? Kto sprowadził do Krakowa majonez?

Czytając „Potop” czy „Ogniem i Mieczem” odnosi się wrażenie, że ówczesni ludzie głównie pili. Sienkiewicz nie zadał sobie trudu przestudiowania kulinarnego problemu epoki. Natomiast w „Panu Tadeuszu” — problemy kulinarne przedstawione są z mistrzostwem, znawstwem i umiłowaniem przedmiotu.

Ostatnio w Krakowie nakładem „Wydawnictwa Literackiego” ukazały się fragmenty pamiętników Sobiesława i Stanisława Mieroszewskich. Pamiętniki przygotowali do druku Maria i Henryk Baryczowie — a Henryk Barycz uzupełnił pamiętniki obszerną, doskonale napisaną uczoną rozprawą.

W ocenie mojego przodka Sobiesława „w całej Europie nie było szerszego zakątką od ówczesnego — pomiędzy rokiem 1815 a 1830 r. — Krakowa. Podatki małe, długów żadnych, budżet regularnie zamykający się superatą”.

W tym rajskim a utraconym Soplicowie „tanieść wiktuałów, towarów i mieszkań była bezprzykładna”. Pan Sobiesław notuje, że za funt wołowiny płacono 5 groszy, a porcja znakomitych kotletów w hotelu Drezdeńskim kosztowała złp. 1, groszy 6.

Lecz na tym nie koniec. „Kraków — z dawien dawna był składem win węgierskich, a że wina te do Krakowa sprowadzane nie opłacały cła, przeto można tu było łatwiej i taniej dostać dobrego wina węgierskiego niż na Węgrzech. Tak samo miała się rzecz z francuskimi winami, które tańsze były w Krakowie aniżeli w Paryżu”.

To jest dosłownie sadyzm wydawać w dzisiejszym Krakowie takie pamiętniki!

Lecz być może ludzie tak mało zarabiali, że 5 groszy za funt wołowiny nie wydawało im się tanio. W handlu u Kaczmarzkiego butelka dobrego szampana kosztowała 11 złp. Lecz przyjmijmy za wskaźnik zamożności wołowinę. Ostatecznie nie wszyscy muszą pić szampana.

„Senatorowie, sędziowie apelacyjni i profesorowie uniwersytetu” — powiada Sobiesław — „pobierali 6000 złp. rocznej pensji”. Innymi słowy ich roczna pensja stanowiła równowartość 120 tysięcy funtów wołowiny. Gdyby „późny wnuk” czyli niżej podpisany chciał swe roczne dochody przemienić w wołowinę — to tu w Londynie nie byłoby jej więcej jak 1000 funtów. Przyjmując wołowinę za wskaźnik przeliczeniowy — senatorowie, sędziowie apelacyjni i profesorowie — zarabiali rocznie około 60 tysięcy funtów szterlingów, co w dzisiejszej Anglii stanowi dosłownie fortunę.

W sumie nie dziwnego, że ówczesni krakowianie jedli i pili na potęgę jakby w przeczuciu, że wiek złoty dobiega kresu. Wszystkiego było w bród pieniędzy nie wyłączając — lecz kunszt kucharski stał nisko. Sobiesław skarży się, że wszystkie obiady były na jedną modłę. „Ryby nie

podawano na ciepło po zupie, ale w środku obiadu na zimno, auszpikiem i różnokolorowymi galaretkami ubraną, na desce obłożonej serwetą. Ryba, jak dzisiaj tak i wówczas była słabą stroną kuchni i obiadów polskich”.

Majonez był nieznan. „Pierwsza wystąpiła z nim pani senatorowa Sobolewska podczas obiadu, który wydała w roku 1830-tym”. Sardynki pojawiły się w Krakowie dopiero w roku 1838, a Potocki wprawił swych biesiadników w podziw — podając ostrygi.

Lecz nie tylko sprawami kulinarnymi zajmowali się zacni moi przodkowie. Pałac Spiski Mieroszewskich i położone na drugim końcu linii CD słynne „Barany” Potockich były głównymi ogniskami życia towarzyskiego i artystycznego krakowskiej socjety doby restauracji. Niemal wszyscy Mieroszewscy pisali. Wydane obecnie pamiętniki stanowią tylko fragment prac historycznych, publicystycznych i ekonomicznych, które wyszły spod ich gęśich piór.

Henryk Barycz pisze, że „wszyscy Mieroszewscy wykazywali niezależność, odwagę cywilną w wypowiadaniu sądów na najbardziej istotne kwestie, np. na sprawę utraty bytu politycznego, rolę klas uprzywilejowanych itd. Ta śmiałość w przeciwstawianiu się opinii publicznej i utartym poglądom były przyczyną niepopularności Mieroszewskich, spowodowała, że mimo dużych uzdolnień nie osiągnęli oni znaczących dostojeństw i godności w życiu politycznym Galicji”.

Czy tylko Galicji?

LONDYŃCZYK

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Sprawy i troski

Nowa emigracja do Francji

Od kilku miesięcy nowa fala przybyszów z Polski osiedla się w departamentach Nord i Pas-de-Calais. Kryzys ekonomiczny i kryzys zatrudnienia skłania władze krajowe do liberalniejszej polityki paszportowej, do udzielania pozwoleń na emigrację zarobkową. W pierwszym rzędzie przyjeżdżają ludzie tak czy inaczej związani z Francją, a więc posiadający tu rodziny, niegdyś tu zamieszkali i repatriowani do Polski w latach 1946-1947. Ale zdarzają się i inni, których związek z tym krajem jest bardziej wątpliwy. Są to na przykład jednostki, które „na wariata” złożyły kilka lat temu podanie o paszport do Francji; — zostały wówczas załatwione odmownie — a teraz niespodziewanie — i gdy o całej sprawie już zapomnieli — dostały nagle pozwolenie na wyjazd. Górników we Francji brak, młodzi nie chcą iść pod ziemię, robotnik arabski i murzyński a nawet portugalski czy hiszpański do tego rodzaju roboty się nie nadaje; w tych warunkach francuskie czynniki oficjalnie chętnie ułatwiają instalację Polaków. Do tej chwili przybyło kilkadziesiąt rodzin. Przyływ trwa i może przynieść dużą falę ludzką.

Warszawskie władze konsularne otaczają całą tę neo-emigrację wielką dyskrecją — wedle tezy oficjalnej w Polsce pracy dla wszystkich jest dosyć, warunki życia i zarobki są takie, iż nikt nie chce emigrować. Ale prawdy oficjalne i tezy propagandowe to jedno, a rzeczywistość to drugie. Spotkany w oświetlonej neonami kafejce jednego z osiedli górniczych — kolonii, jak tam mówią — 40-letni eks-nadzorca rolny z Poznańskiego jest innego zdania. Mówi, że z jego dawnego PGR'u połowa robotników chętnie by „prysnęła” do Francji. Na dorobek. Ludzie chcą „żyć jak się należy”, móc się ubrać, kupić elektryczną pralkę dla kobiety, motocykl albo nawet samochód, pobudować się. Uważa że tu można dobrze się urządzić, forsa leży na ulicy bo tutejsi odwykli od ostrej roboty. Pytam czy w swoim PGRze do ostrego tempa roboty przywykł? Odpowiedź pada gwałtownie:

— Panie, po co ja miałem harować za nic, tu inna sprawa, robi się za franki, ja zarabiam, żona też, bo sprząta u inżynierowej, córka pomaga jednym Holendrom co tu mają sklep. Syn tylko został w Polsce, u siostry, zdał maturę. Posłałem mu wczoraj farmerki, autentyczne amerykańskie (*blue jeans'y*). Chłopak od lat o takich farmerkach marzył. Zdał maturę i teraz na politechnikę pójdzie. Za kilka latek na inżyniera tu przyjedzie.

Rozmówca mój wolał stanowisko robotnika kopalnianego w departamencie Nord od posady nadzorcy (ekonoma?) w PGRze. Pytam go czy ta zmiana pozycji, pewna degradacja społeczna, go nie boli — ostatecznie w Polsce, w tym PGRze, miał już wyrobione stanowisko.

I tym razem odpowiedź jest jasna.

„Konkurencja na terenie kopalni mała, wiele zupełnie ciemnego narodu różnych Arabów, Włochów, czy Portugałów, im to do maszyny nie można nawet dać podejść, bo oni maszynę rozwalą i jeszcze sami się zabiją. Ja na PGRze maszyny rolnicze i traktory obsługiwałem, to i z kopalnianymi maszynami dam sobie radę, prowadzę też ciężarówki — może i to się przyda. Mam więc nadzieję na awans. Tym bardziej że dobrze mi idzie z kadrą kopalnianymi. Na naszej kopalni same młode chłopaki, wszyscy dzieci górników, wśród nich kilku co ojcowie Polacy. Tylko te kadry to ino kreślą plany, albo komenderują, oni tam w czarną robotę nie pójda — no a te *main-d'oeuvre* którymi dysponują, mało co warcą. Trzeba tu Polaków — już do kilku kolegów pisałem, by starali się o przyjazd — robota na nich czeka”. Siedzący obok stary Polski górnik podśmiewa się trochę z entuzjazmu świeżo przybyłego.

„Zobaczy za kilka lat co to kopalnia, co to „silikoza”. Na razie udało mu się wyjątkowo, trafił na dobrą kopalnię, do dobrej ekipy, zaś ale wszystkim tak nie pójdzie — będą płakać poniektórzy, to naród do roboty nie nawykły — jeden fryzjer i jeden dawniejszy milicjant też przyjechali. Co oni będą robić w kopalni: pójda w głąb — szlak ich trafi, zostaną na wierzchu — mało co zarobią. Ten fryzjer to chce z czasem urwać się we fryzjery, ale przecie w tym zawodzie konkurencja wielka, potem nie zna języka, chyba na migi się dogada. Czy też pozwolą mu Francuzi? ma przecie kontrakt z *Charbonnages* — jak rzuci, może *permis de séjour* mu nie odnowią?”.

Kilka kilometrów dalej, w innej ale bliźniaczo podobnej superneonowej kafejce, trafiamy na innego polskiego i kopalnianego emeryta. Przed kielichem czerwonego wina siedzi z zamysłoną miną, na stoliku jak wielka płachta leży rozłożony „*Narodowiec*”, polski dziennik wydawany w północno-francuskiej stolicy Polaków, w Lens. Po przywitaniach pokazuje nam w gazecie fotografię z ceremonii uczczenia poległych żołnierzy polskich, spoczywających na cmentarzu w Auberive. Wspomina dawne czasy. Wychwala hallerczyka, generała Piekarskiego, który uroczystościom przewodniczył. Powoli udaje mi się przerzucić

rozmowę na temat nowych emigrantów. Górnik cytuje wydawany w Paryżu, pod protektorem ambasady, „Tygodnik Polski”.

„Piszą tam że kraj ma już wszystko czego nam, starym emigrantom, zabrakło. Nie mówię — są zmiany: syn brata jest teraz lekarzem, gdzie by tam przed wojnę mógł fornal syna na studia wysłać! Ale czego nie piszą to, że wszyscy młodzi z naszej okolicy, spod Kalisza, tylko marzą, by tu przyjechać. Jest u mnie od 2 lat siostrzenica — stale listy dostaje ze swego miasteczka, by koleżanki czy kolegów zaprosić; wszyscy się do wyjazdu palą. Jakby granicę otwarli, to by tysiące przyjechali”.

Po chwili nadeszła siostrzenica z kraju.

Dziewczyna ma z trzydzieści lat, wygląda zaradnie i energicznie.

— Pani od dawna tutaj? — zapytuje.

— Już osiem miesięcy.

— Jak pani sobie radzi?

— Ano szyję — ciotka klientów mi znalazła — nie można narzekać — matce do Polski paczki posyłam — chyba tam teraz żyje jak królowa — ale się jej należy — całe życie harowała.

— A jak z językiem francuskim?

— A z tym to najgorzej — wszyscy tu mówią po polsku, polski ksiądz i polska kafejka; no ale powoli i tego się nauczę.

— Czy myśli Pani matkę tu sprowadzić?

— Matkę nie, łatwiej ją w Polsce utrzymam, ale kuzynów, dwóch chłopaków i dziewczynę — już złożyli podania — podobno teraz władza daje paszporty na emigrację — wujek jedzie na przyszły tydzień do dyrekcji *Charbonnages* rozmówić się o kontrakt pracy dla chłopaków, jakąś promesę pracy, jak tu mówią, trzeba, by uzyskać zgodę francuską na przyjazd.

— Czy myśli pani tu zostać na stałe?

— Kto tam wie — można tu zarobić więc tu siedzę — ale później chciałabym domek w Polsce zbudować — wrócić do Z; mieszkać z matką.

Wuj górnik śmiejąc się przerwał dziewczynie:

— Ona tak gada, zaś my tu ją jeszcze za męża wydamy. Pełno tu teraz kawalerów, przychodzą tu na pracę te dawne amerykańskie wartowniki, z tych ich kompanii, co teraz się skończyły. Każdy jeden za kobietą się ogląda — póki służyli u Amerykanów to raz tu, raz tam, nie mogli myśleć o ożenku, ale to skończone, no i lata lecą, chcą się ustatkować. Już taki jeden poważny człowiek, dwadzieścia lat za mechanika przy kamionach amerykańskich robił, koło niej się kręci. Jak był małym chłopakiem Niemcy go z Grójca na roboty rolne wywieźli, robił u Bauera, jak przyszli Amerykanie, do nich się przyczepił, no a teraz tu w firmie transportowej.

Panna zarumieniała się. Rozmowa zesłała na inne tory.

Chwalono księdza co pięknie po polsku mówi, mimo że w Nordzie rodzony, mówiono o nowym polskim kościele co ksiądz będzie budował. Górnik, sam niezbyt gorący katolik, przyzna-

wał iż cała polskość wokół księży tu się skupia — gdzie ksiądz tam i organizacje, teatry amatorskie w ogóle polskie życie.

Inaczej potoczyła się moja dyskusja ze studentką z Warszawy — na wakacyjnym pobycie u krewnych w Pas-de-Calais. Studentka będąc polonistką, nie widziała dla siebie możliwości zahaczenia się i pracy we Francji. Chciała jednak za wszelką cenę wyeksportować na kilka lat do Lille lub Paryża, brata, studenta architektury na politechnice. Uważała że chłopak w ciągu krótkiego stosunkowo okresu czasu zarobi na samochód, o którym marzy, odłoży coś na zakup spółdzielczego mieszkania w Warszawie, no i poza tym trochę przetrze się, zobaczy kawałek świata. Entuzjastycznie odniosła się do napływu do Francji nowej fali zarobkowych emigrantów polskich. Była zdania, że trzeba by ułatwiać wyjazdy młodym na trzy-cztery lata. Niech tu się dorobią. Jej zdaniem część ich zarobków powinna być automatycznie przekazywana na zakup spółdzielczego mieszkania w kraju; inaczej przepiją. Pesymistycznie oceniała naszą męską młodzież, dodając że gdyby mogli wyjeżdżać dziewczyny, one by odłożyły więcej. Choć naturalnie dziewczynom trudniej dać sobie radę wśród obcych. Obecna przy rozmowie ciotka studentki pogniewała się na to „wśród obcych”. Miała rację. Zagęszczenie Polaków w departamentach Nord i Pas-de-Calais jest tak wielkie, środowiska polskie tak zgrane i zorganizowane, że przybywające z kraju jednostki znajdują poradę i opiekę. Energetyczni, zmotoryzowani i często młodzi polscy księża spełniają rolę doradców, pośredników wobec władz, często redagują słabo znającym francuski, podania i wypełniają formularze. Dzieci polskie mają własne, też przez księży organizowane, kolonie letnie, jak na przykład ośrodek ks. Lewickiego w Stella-Plage.

Ostatnią ze spotkanych osób był pan Wojciech, który w roku 1946, mając wtedy szesnaście lat, pojechał do Polski, a teraz wrócił do Francji.

Rozmowa odbyła się w mieszkaniu jego ciotki pani Kasi, żony i różeszmianej wdowy.

Pani Kasia na duży stół położyła obrus, postawiła butelkę wódki własnego wyrobu i zagała rozmowę:

— Powiedz no Wojtek panom czemuś tu do nas z tej Polski wrócił?

— Wojtek nie bardzo chciał gadać:

— Co ja mam mówić, jeszcze kto się dowie, że z wami się spotykałem, no i oni bratu paszportu nie dadzą, a on też chciałby tu wrócić.

Ale w końcu rozgadał się.

— Od dawna starałem się o paszport do Francji, teraz nagle mi dali. Takich jak ja wielu: nie to, żeby źle nam w Polsce było, jakoś się żyło, ale jednak tam człowiek nigdy się nie dorobi, tu mają własne auta, a gdzie tam u nas marzyć o kupnie samochodu. Obiecywali, że i w Polsce będą lepiej płacić, a tu nic, żadnej poprawy, no i brak różnych towarów, o mięso też trudno. Żona, dzieci, wszyscy chcą lepiej żyć; jak kuzyni przyjeżdżali z Lille do kraju, widzieliśmy jak ubrani, koszule nylonowe, elektryczne maszynki do golenia, no i zdecydowaliśmy się do Francji jechać, też będziemy to wszystko mieli. Do Polski pojedziemy na wakacje. Jak kto tam z Francji przyjedzie to król, dla niego wszystko taniocza.

Spytałem czy wielu chętnych na wyjazd do Francji:

— W fabryce, w której pracowałem, wielu mówiło, że chciało by jechać; głównie młodzi, kawalerowie. No ale tak tylko mówią, a nawet starań o paszport nie zaczęli, nie wiedzą jak do tego się zabrać. Władza zresztą pewno ich nie puści. My to co innego, tu w Nordzie rodzeni, tu mamy rodzinę.

— Słyszałem że jednak są obecnie pewne ułatwienia dla chcących emigrować — powiedziałem.

— W naszej okolicy dali kilka paszportów, ale jeszcze sporo podań w zawieszeniu, nawet takich ludzi co stąd wrócili w 1946 roku. Mówią co prawda, że teraz mają być ułatwienia, w związku z masą młodych, która w Polsce podраста do wieku roboczego. Choć w Polsce jest roboty a roboty. Tylko zła organizacja, wszędzie same urzędniki, wypisują wagony papierków. Na fabryce, kawałka drutu ani śruby nie dostaniesz bez dwudziestu papierków. A nim nowy hangar postawią to komisji się nazjeżdża, wódki wypiją niemało, radzą całymi dniami. No a jak postawią, to okazuje się, że w złym miejscu, nieporęcznie, źle zbudowany i w ogóle. Żeby tak naród wziął się do kupy, za robotę, zagospodarował fabryki i miasteczka po gospodarstwu, na chłopski rozum, to by inaczej tam wyglądało. W fabrykach produkcja by wzrosła, pobydowałiby dla wszystkich dobre mieszkania, dobre drogi. Wszystkim można by dać roboty i zarobków że aż ho! Ale z tymi ich papierkami, zarządzeniami centrali i urzędnikami, to nikt nie ujedzie. Nieraz z sekretarzem partii o tym mówiłem, ale co on tam wie! Tylko zarządzenie z komitetu wojewódzkiego zna. Mówi, że partia wie co robi, każe pracować, a nie mędrkować, a wszystko będzie w porządku.

— A co to za jeden ten sekretarz partii i skąd pan tak dobrze go zna? Czy sam pan był jakimś działaczem — zapytałem.

— Nie żaden tam ze mnie działacz — tego tam znałem, bo żona moja i jego żona kuzynki. Córki gospodarskie obie. A sekretarz jak sekretarz, dawniej był przy wojsku nawet chyba miał trudności, że żona córka kułaka. W partię to on strasznie wierzy i jej ufa; ale rusków nie kocha. Zna ich, bo on ze Lwowa; nawet mu się mamusia i dwoje małych braciszków zagubiło w Aftaj-

skim kraju. Nigdy śladu po nich nie odnalazł. A szukał, jak przy dywizji Kościuszkowskiej służył. Ale o tym to nawet żonie dopiero po 1956 roku powiedział.

— A jak odniósł się sekretarz do pańskiego projektu wyjazdu zagranicę?

— A zły był, jak osa. Mówił, że w Polsce ciekawe życie, że przyszłość dla moich dzieci, że szkoły dla nich otwarte, no i że w ogóle u nas może i biedniej, ale własny kraj i że jestem jego współgospodarzem a tam będę parobkiem u kapitalistów. A ja z niego się śmiałem, co ze mnie za współgospodarz, nikt o nic mnie nie pyta, a gdy na fabryce człowiek coś wymyśli, coś poradzi, to dyrekcja zaraz woła stul pysk, rób swoje a nie mądrz się. Wszystko ustalone zarządzeniem z centrali. A w miasteczku to samo, powiesz, trzeba naprawić kanalizację bo zasmradza całą okolicę, to odpowiedzą ci, że to sprawa prezydium rady narodowej, a ty się nie miesza.

— A co powiedział gdy dostał pan paszport?

— A no nic, ale jego żona to prosiła, by przysłać halkę nylonową, taką niebieską, bo jej jedna mówiła, że to taka supermoda w Paryżu.



Nie wiemy jeszcze jak rozwinie się ta nowa polska emigracja zarobkowa. Nie wiemy jakie decyzje w tej dziedzinie podjęły czynniki decydujące w Warszawie. Dochodzą nas jednak wiadomości i z Belgii, że tam także przybywa trochę polskiego robotnika. Na teren Paryża coraz liczniej przyjeżdżają polscy architekci, polscy inżynierowie. Wielu z nich zamierza pozostać tu cztery, pięć lat, może na stałe.

Nowa ta emigracja zarobkowa może stać się dla kraju poważnym źródłem dopływu dewiz. Wszak Hiszpania, Włochy, Grecja a nawet Turcja stosunkowo wysoki procent swych wpływów dewizowych zdobywają z przekazów wysyłanych do rodzin przez emigrantów zarobkowych.

Maciej MORAWSKI

Australia - kraj imigracji

Parę dni temu ogłoszono, iż w braku imigrantów z dotychczasowych źródeł, urzędnicy australijskiego Ministerstwa Imigracji rozpoczęli urzędowanie w Kairze (gdzie werbuje się Gre-

ków) oraz w Turcji, gdzie przedmiotem zabiegów mają być Ormianie). Najpoważniejsze dotychczas źródła emigrantów europejskich — Holandia, Niemcy, Włochy i Grecja — zaczynają zawodzić, a gen. Franco odwołał umowę emigracyjną, niedawno dopiero zawartą, w przewidywaniu rozwoju gospodarki hiszpańskiej i grożącego braku sił do pracy.

Mimo więc, iż ilość zgłoszeń na emigrację z Wielkiej Brytanii jest nadszpodziewanie wysoka, władze australijskie stanęły przed poważnym dylematem, skąd wziąć ludzi do zaludnienia tego wielkiego i pustego kontynentu.

Wiadomość o egipskich Grekach i Ormianach jest zresztą znamienna także z innego powodu. Dowodzi ona, iż zniesiono wszelkie nieoficjalne kwoty, proporcje i zastrzeżenia oparte na przesłankach wyznaniowych, narodowościowych czy półrasowych (w granicach rasy białej, jak dotąd), narzucone władzom przez anglo-saskie przesady o wyższości swej rasy i wyznań protestanckich.

Do zakończenia Drugiej Wojny Światowej problem zaludnienia Australii nie istniał — to znaczy istniał w rzeczywistości, ale nie w rozumieniu Australijczyków. Ówczesny Minister Imigracji, Arthur Calwell, miał do pokonania ogólne przesady swych rodaków (odnośnie 'niższych' narodów), oraz szczególne przesady (ze strony Zw. Zawodowych odnośnie ewentualnej konkurencji na rynku pracy) oraz niechęć protestantów wobec katolików. Pierwszy grupowy wyłom dokonany został wobec grupy byłych żołnierzy Polskiej Brygady Karpackiej, która walczyła wraz z Australijczykami w Tobruku.

Obserwator, który śledził ostrożny postęp programu imigracyjnego i reakcje ludności, ma dosyć materiału na napisanie interesującego studium; ale o tym później.

A teraz parę cyfr. W dniu zakończenia wojny Australia liczyła 7,4 miliony ludności, obecnie liczba przekroczyła 11 milionów. A więc wzrost niemal o 50%.

Ilość imigrantów w tym samym okresie przekroczyła 1 i pół miliona, a dzieci urodzonych z rodziców-imigrantów ponad 700.000. Oblicza się, iż przynajmniej 25% dzieci australijskich urodziło się z rodziców-imigrantów.

Spośród imigracji nie-Brytyjskiej Polacy są na piątym miejscu (80.532 do końca ub.r.). Najwięcej przyjechało Włochów, następnie Holendrów, Greków i Niemców.

Oblicza się, iż jedna piąta siły roboczej australijskiej rekrutuje się spośród imigrantów. Jest to najlepszym dowodem, iż odważna i światła polityka imigracyjna położyła trwałe podwaliny pod astronomiczny wzrost gospodarczy tego kraju od zakończenia wojny. Nie tylko bowiem dostarczyła brakujących sił roboczych (i to ludzi pracujących chętnie i dobrze), ale stworzyła nowy i dodatkowy popyt na wyroby przemysłu australijskiego — od domów do aparatów telewizyjnych.

'Nowi Australijczycy' — jak to przez czas pewien nazywano

nowo-przybyłych — szukali uranu, robili stal, kopali tunele w Tasmanii i w okolicy góry Kościuszki, pracowali na kolejach i na poczcie, w fabrykach i na roli, w miastach i miasteczkach. A niedługo trzeba było czekać, aż się pojawili nowo-przybyli inżynierowie, lekarze, dentyści, kreślarze i pracownicy uniwersyteccy. A odsetek dzieci imigrantów, studiujących na uniwersytetach znacznie przekracza odpowiedni odsetek ogólnej liczby ludności.

Wszystko do dokonane zostało z zachowaniem praw świata pracy i przywilejów Zw. Zawodowych, to znaczy, iż pracownik nowo-przybyły zarabiał dokładnie to samo, co jego australijski kolega.

Trzeba było przeżyć te lata w Australii, by uwierzyć w tempo i zasięg zmian w nastawieniu ludności. Wprawdzie od pierwszej chwili wiele było wzruszających dowodów sympatii Australijczyków do nowo-przybyłych, ale istniała dość poważna grupa malkontentów, która ustosunkowała się wrogo (raczej do imigracji niż do poszczególnych imigrantów). Byli to wszelkiego rodzaju rasiści anglosascy, domagający się zachowania wyłączności dla osiedleńców brytyjskich. Ich obłuda wyszła na jaw, gdy zaczęli protestować przeciwko zaliczaniu Maltańczyków do kwoty brytyjskiej, do której oczywiście należeli.

Trudno w krótkiej notatce dziennikarskiej ocenić, co przyczyniło się do tak wielkiego obustronnego sukcesu programu emigracyjnego: nawrócenie malkontentów, brak rąk do pracy, czy wyjątkowy gatunek imigrantów (chyba najmniej to ostatnie, bo imigranci stanowili normalną gromadę ludzką). Podkreślić należy też obustronność sukcesu, gdyż na 100 imigrantów Australii 94 pozostaje w tym kraju ponad 5 lat; oznacza to bardzo stosunkowo niski odsetek osób powracających do krajów pochodzenia.

Zmiana — czy poprawa — nastrojów ogólnych wobec przybyszów z Europy pociągnęła za sobą również zmianę nastawienia poszczególnych grup i zrzeseń. Zaczęły powoli znikać trudności formalne, np. wobec lekarzy, dentyków, weterynarzy (zamiast konieczności odbycia skróconego kursu uniwersyteckiego wprowadzono uproszczone egzaminy, które można zdać niedługo po przyjeździe). Ze zaś zawody inżynierskie były w zasadzie dostępne dla inżynierów o dobrych kwalifikacjach, jedyne — i zrozumiałe — trudności czekają prawników, którzy chcieliby wykonywać swój zawód.

Proporcja nazwisk europejskich na wyższych stanowiskach inteligenckich daleka jest jeszcze od sytuacji w Ameryce, ale kierunek czy nawet rozpęd idą w tym samym kierunku.

O ile w pierwszym okresie masowej imigracji nie zachęcano inteligencji do emigrowania obecnie mówi się w kołach oficjalnych o specjalnym wysiłku celem zachęcenia do przyjazdu osób o kwalifikacjach naukowych, czy zawodowych. Słowem — koło obróciło się o 180 stopni.

Ilość imigrantów ustalana jest corocznie przez rząd na podstawie badań sytuacji gospodarczej kraju. Usiłowania idą w kierunku utrzymania liczby 1% ilości ludności jako corocznego wpływu imigrantów.

Rząd stanął na stanowisku, iż przyrost ludności ok. 2,2% można zaobserwować bez większych wstrząsów. Przyrost naturalny oblicza się na 12%, co na imigrację pozostawia 1%. Naturalnie, cyfry te i całe planowanie jest bardzo elastyczne i może być zmieniane w zależności od stanu rynku pracy w Australii i podaży emigrantów w Europie. W wypadku chwilowych trudności w znalezieniu pracy ruch emigracyjny nie zostaje wstrzymany, ale większy nacisk kładziony jest na emigrację rodzinną (łączenie rodzin, przyjazd narzeczonych itp.).

Rząd australijski finansuje przejazdy dla znacznej ilości imigrantów. Większość imigrantów brytyjskich oraz imigranci z wielu krajów europejskich płaci zaledwie £10 od osoby za przejazd lub przelot. Zapomoga ta jest bezzwrotna. Istnieją również zapomogi zwrotne na sprowadzenie rodzin itp., które otrzymać można od organizacji religijnych, współpracujących z Wysokim Komisarzem do Spraw Uchodźców.

Wszelkie znaki na ziemi i niebie wskazują na dalszy wzrost dobrobytu w Australii. Co parę dni czy tygodni gazety donoszą o odkryciu nowych złóż rudy, bauksytu czy — ostatnio — nawet nafty. Ile jeszcze bogactw oczekuje na swych odkrywców, trudno nawet przewidzieć. Wszystko zatem wskazuje na to, iż władze australijskie dokładać będą wszelkich starań, by utrzymać liczbę nowo-przyjezdnych osiedleńców powyżej 100.000 rocznie. Że zaś kraje, z których dotychczas imigranci przyjeżdżają, nie będą nadal mogły dostarczać wielkich mas ludzkich na emigrację zamorską, nie ulega wątpliwości, iż władze australijskie dołożą wszelkich starań, by znaleźć nowe źródła emigrantów z Europy.

Ryszard KRYGIER

Sprawy gospodarcze

Kredyty Banku Świata

Pierwszy kredyt Banku Świata dla Hiszpanii

W moim ostatnim artykule w numerze lipcowo-sierpniowym „Kultury” pt. „Impresje hiszpańskie” pisałem, że Hiszpania stara się o kredyty od Banku Świata w wysokości stu milionów dolarów na modernizację kolei, i drugich stu milionów dolarów na modernizację portów. *C'est chose faite*. 1 sierpnia 1964 r., przedstawiciele Banku Świata i misja rządu hiszpańskiego podpisali w Waszyngtonie dwie umowy pożyczkowe właśnie na te cele. Kwoty zostały o jedną trzecią obniżone. Hiszpania dostała 65 milionów dolarów na koleje, i 65 milionów dolarów na porty, czyli łącznie 130 milionów dolarów. Udzielanie pożyczki w wysokości niższej od kwoty, żądanej przez kandydata na dłużnika, jest normalnym aktem ostrożności bankierskiej. Kurs emisyjny, warunki spłaty (około 20 lat), oprocentowanie (5%) — to są normalne warunki finansowania przez Bank Świata.

Przed rozpoczęciem rokowań z Hiszpanią Bank Świata wydelegował do Madrytu specjalną misję ekspertów, przeważnie amerykańskich, którzy przez rok badali całą gospodarkę hiszpańską. Bank Świata nie prowadzi — na szczęście! — tajnej dyplomacji. Raport ekspertów Banku Świata o Hiszpanii jest wydrukowany po angielsku w Waszyngtonie, i w tłumaczeniu hiszpańskim w Madrycie, na koszt rządu hiszpańskiego, choć raport ten zawiera wiele przykrych informacji o sytuacji Hiszpanii i wiele krytyk pod adresem hiszpańskiej polityki gospodarczej. Raport ten jest bardzo wyczerpujący. Zajmuje się nie tylko kolejami i portami, ale także stanem dróg, rozwojem przemysłu, sytuacją rolnictwa, budżetem państwowym, polityką płac i cen etc. Raport jest chłodny, obiektywny, ale stanowczy. Nie ogranicza się do ogólników. Kawa na łąwę. Ekspersi raz po raz powiadają: to robi się źle, to robi się błędnie, trzeba tutaj reform, tam radykalnej zmiany.

Artykuł dyskusyjny. Red.

Koleje i porty

Eksperci Banku Świata doszli do wniosku, że stan kolei i portów hiszpańskich jest rozpaczliwy i że te dwa działy wymagają inwestycji na sumę miliarda dolarów każdy, razem dwa miliardy dolarów (to znaczy ekwiwalent dwóch miliardów dolarów, bo oczywiście nie całe te wydatki muszą być dokonane w dolarach: dolar występuje tutaj, jak i wszędzie na Zachodzie, tylko jako jednostka miary, *unité de compte*). Zaznaczę, że raport ten znam w brzmieniu hiszpańskim, dostarczonym mi przez hiszpańskie ministerstwo informacji: nie mówię po hiszpańsku, ale znam język ten na tyle, że czytam swobodnie gazety i teksty ekonomiczne.

Raport wychodzi z założenia, że koleje i porty stanowią główne elementy transportu w Hiszpanii, a transport jest wszędzie kością pacierzową ekspansji. Bez nowoczesnego transportu gospodarka musi być średniowieczna, naturalna. Transport musi w każdym rozumnym planie gospodarczym zajmować priorytet numer Jeden, przed uprzemysłowieniem, i, oczywiście, przed rolnictwem.

130 milionów i 2 miliardy

Na pierwszy rzut oka można zawołać: jakaż dysproporcja zachodzi między sumą 130 milionów dolarów pożyczonych przez *World Bank* a sumą dwóch miliardów dolarów, którą tenże Bank uważa za konieczne minimum dla postawienia kolei i portów hiszpańskich na nogi. Zgorszenie to byłoby błędne.

Bank Świata wychodzi z założenia, że realizacja tego minimalnego programu musi potrwać dziesięć lat. Innymi słowy, co roku Hiszpania powinna inwestować sto milionów dolarów w swe porty i sto milionów dolarów w swe koleje.

Otóż obecna pożyczka banku świata jest wyraźnie przeznaczona na finansowanie inwestycji w tych dwóch działach tylko na okres DWÓCH lat: w 1964 i w 1965 roku. Całość inwestycji portowych i kolejowych, preliminowanych na te dwa lata, ma więc wynieść, według ekspertów 400 milionów dolarów (po dwieście na każdy dział). Bank daje 130 milionów dolarów. Resztę, czyli 270 milionów dolarów, tj. dwie trzecie przewidzianych inwestycji Hiszpania ma zdobyć z własnych zasobów. Z jakich? Z budżetu, albo też z emisji pożyczek państwowych, względnie bonów skarbowych na rynku wewnętrznym.

Tak więc pożyczka Banku Świata jest związana z wyraźnym warunkiem: sama Hiszpania też będzie musiała zrobić wysiłek, będzie musiała zmobilizować własne środki i wydać ekwiwalent 270 milionów dolarów na swoje koleje i swoje porty. Oznacza to, oczywiście, że nie będzie mogła tych sum przeznaczyć na zbrojenia, na podnoszenie pensji urzędniczych etc.; będzie musiała, u siebie w domu, dusić konsumpcję a zwiększać inwestycje.

To jest ten „dyktat” zagranicznego kapitału, który komuniści

przedstawiają, jako straszaka. Otóż mogą być wypadki, gdy kredytodawca nadużywa swej przewagi i narzuca dłużnikowi warunki dla niego szkodliwe. Im bardziej tajne są klauzule umów pożyczkowych, tym bardziej o nadużycia wierzyciela łatwiej. Najłatwiej jest o nie przy pożyczkach zbrojeniowych. Pod pozorem udzielania kredytów na zbrojenia dochodzą często do skutku najgorsze machlojki: dłużnik nie dostaje gotówki, ale tylko sprzęt; sprzęt ten jest stale liczony za drogo, po cenach paskarskich, często jest lichy, zwykle jest przestarzały; do tego dochodzą najrozmaitsze warunki tajne, które wszystkie doprowadzają się do subsydiów i łapówek dla pewnych firm, państwowych czy prywatnych, państwa wierzycielskiego. Pożyczki „zbrojeniowe”, któreśmy przed wojną otrzymywali we Francji, były z całą pewnością gorsze nie tylko od pożyczki stabilizacyjnej (jedynej rozumnej i celowej), ale były też gorsze od pożyczki Dillonskiej i nawet Kreugerowskiej. Polsce te pożyczki zbrojeniowe dały sprzęt lichy i przestarzały, który tylko stwarzał u nas iluzję nieistniejącego potencjału wojskowego, obciążały nasz i tak katastrofalny bilans płatniczy, a wreszcie szkodziły samej Francji. Można przypuszczać, że z kredytów sowieckich dla Polski, a i w ogóle dla rosyjskich satelitów, sowieckie kredyty na zbrojenia są najdroższe, najbardziej lichwiarskie i w ostatecznym bilansie najbardziej szkodliwe. Polska nie ma dzisiaj nowoczesnego sprzętu wojskowego: jeżeli, nie daj Boże, sprzęt ten będzie kiedyś wystawiony na próbę ogniową, to okaże się jeszcze dużo bardziej przestarzały, niż sprzęt, któryśmy mieli w 1939 roku.

Otóż kredyty Banku Świata nigdy nie służą zbrojeniom, nigdy nie służą budowaniu przemysłów zbrojeniowych, a poza tym ich udzielenie, ich cele, ich zużytkowanie są JAWNE, a więc „dyktaty” Banku Świata są wynikiem rozważań czysto ekonomicznych, a nie „imperializmu”. Przykład kredytów dla Hiszpanii potwierdza tezę, że warunki kredytów *World Bank* leżą w interesie przede wszystkim samego dłużnika.

Dlaczego tylko jedna trzecia?

Dla zwięzłości obejrzymy przez lupę tylko kredyt na koleje. Według raportu ekspertów Banku Świata inwestycje kolejowe powinny polegać w najpierwszym rzędzie na modernizacji torów. Są one tak stare, tak zniszczone, że pociągi mogą rozwijać tylko minimalne szybkości. Stąd potrzeba anormalnie licznego taboru, i osobowego, i kolejowego. W drugim rzędzie trzeba nowych lokomotyw. Eksperti żądają wyrzucenia wszystkich parowozów na złom. Są jednak przeciwni elektryfikacji, którą rząd hiszpański zapoczątkował koło Barcelony, na linii Madryt-Irun, na linii Madryt-Kordoba i na niektórych odcinkach dokoła Bilbao i Oviedo. Prace elektryfikacyjne są za drogie na kraj tak biedny. Hiszpania, wciąż zdaniem ekspertów Banku, powinna

przestawić się na Diesle, nie tylko torpedy (*Michelines, Autorails*), ale na lokomotywy Diesel, które dzisiaj są już dość mocne, by móc ciągnąć wielkie zestawy wagonów osobowych i towarowych. Na trzecim miejscu eksperci wymieniają sygnalizację, która musi być automatyczna: budki dróżników, przedstawiających ręcznie zwrotnice, podnoszących semaforzy zgrzytającym lewarem, muszą zniknąć, a samych dróżników trzeba spensjonować. W dalszej kolejności trzeba odnowić cały tabor osobowy i towarowy, a wreszcie przebudować wszystkie dworce i instalacje dworcowe. Natomiast eksperci kategorię odrzucają budowę nowych linii kolejowych, radzą zamykać linie lokalne, lub wąskotorowe, i zastępować je liniami autobusowymi.

Otóż niektóre z tych prac i inwestycji wymagają dewiz, inne nie. Weźmijmy tory. Staromodny system, dobrze nam znany sprzed wojny, kiedy to można było wszędzie, nie tylko w Polsce, oglądać tysiące robotników, zaopatrzonych w łopaty, rzucających żwir na tory kolejowe, musi być oczywiście, odstawiony do lamusa. Nawet w Hiszpanii już gdzieś widać maszynowe odnawianie torów, przy pomocy maszyn sprowadzonych z Niemiec. Jedna maszyna zrywa szyny i podkłady, druga układa nowy nasyp, trzecia nasyp ten żwiruje, czwarta układa betonowe (już nie drewniane) podkłady, wreszcie piąta ustawia na tych betonowych podkładach nowe szyny. W ten sposób budowa nowych torów — bo to nie jest remont, to jest zupełna, radykalna przebudowa — odbywa się bez porównania szybciej, i zatrudnia o wiele, wiele mniej robotników: co prawda ich kwalifikacje muszą być dużo wyższe, trzeba majstrów, techników, wielokrotnie więcej inżynierów, trzeba fachowców dla konserwacji maszyn, z natury rzeczy skomplikowanych i szalenie kosztownych.

Otóż tych maszyn do budowy torów Hiszpania nie wyrabia, a budowa fabryk takich maszyn na terenie Hiszpanii nie miałaby cienia sensu. Więc te maszyny Hiszpania musi zakupić zagranicą, w Niemczech albo w Ameryce, albo we Francji, albo od biedy w Anglii. I na ten cel trzeba mieć dewizy. Podobnie Hiszpania nie ma dzisiaj fabryk lokomotyw Diesel, i znowu jest wielkim pytaniem, czy budowa fabryki takich lokomotyw mogłaby się opłacić. To nie jest kwestia „uprzemysłowienia”, ani też „prestżu narodowego”, ale zwykłej kalkulacji. Sam rynek hiszpański byłby dla fabrykacji lokomotyw Diesel za mały, a czy Hiszpania ma dane by być eksporterem taboru kolejowego? Rzecz wymaga przynajmniej gruntownego zbadania. Na razie Bank Świata woli, by Hiszpania zakupywała Diesle i elektrolokomotywy zagranicą.

Inaczej wygląda sprawa sygnalizacji. Jeden z największych i najbardziej dynamicznych niemieckich koncernów elektrotechnicznych, Siemens, dawniej zdomowiony w Berlinie Wschodnim, dzisiaj w Monachium, założył niedawno spółkę w Hiszpanii pod nazwą „Siemens-España”: spółka ta ma przewagę kapitałów niemieckich, ale również poważny udział kapitałów hiszpańskich.

Siemens od dawna specjalizuje się w telefonach, transmisji, kałach, sygnałach świetlnych: więc Siemens-España może się doskonale podjąć automatyzacji sygnalizacji na kolejach hiszpańskich (Siemens monachijski zautomatyzował telefony w Buenos Aires kosztem stu milionów dolarów). I wówczas już dewiz na ten interes nie potrzeba. Sygnalizację kolei Hiszpania będzie mogła sfinansować samymi pezetami. Także i tabor kolejowy można budować w samej Hiszpanii. Wielka firma lokomotyw i wagonów, Alsthom w Belfort, już otworzyła filię w Barcelonie, i potrafi dostarczyć, znowuż za pezety, wszystkich potrzebnych wagonów, a m.in. tak koniecznych dla Hiszpanii „Transfez”. Transfeza oznacza wagon towarowy, który można przenieść z podwozia hiszpańskiego, a więc o szerokości 164 cm., na podwozie zachodnio-europejskie o szerokości 144 cm. Różnica wynosi 20 cm i wynika z różnicy szerokości torów hiszpańskich i zachodnio-europejskich. Notabene różnica między tymi torami europejskimi, a rosyjskimi wynosi tylko 8 cm.: hiszpańskie tory kolejowe są najszersze na świecie. W Irunie i w Port Bou istnieją urządzenia, które umożliwiają przeniesienie wagonu „Transfeza” z osi hiszpańskiej na zachodnio-europejskie podwozie, a więc nie trzeba już na granicy przeładowywać całego towaru. A zatem wagony Transfeza — przeważnie chłodnie na owoce — są konieczne dla potaniania eksportu hiszpańskiego do Europy, i zwłaszcza do Francji, pozwalają Hiszpanom sprzedawać taniej, obrót na granicy jest dużo szybszy, bo odpada przeładunek etc. Te wagony Transfeza buduje dzisiaj dla Hiszpanii Francja, ale syndykat fabryk francuskich otwiera niebawem filię w Hiszpanii. Znowuż kwestia dewizowa odpadnie.

Przebudowa torów, nawet przy pomocy maszyn niemieckich, wymaga robotników, majstrów, techników, inżynierów etc. To są również wydatki w pezetach. Więc pokrycie jednej trzeciej potrzebnych inwestycji pożyczką zagraniczną powinno zupełnie wystarczyć. Pokrycie wydatków pezetowych dewizami zagranicznymi miałyby skutki inflacyjne, byłoby szkodliwe, nie mówiąc już o tym, że psychologicznie byłoby ujemne: widzimy na przykładzie krajów murzyńskich, jak bardzo je zdemoralizowało przekonanie, że Zachód ma obowiązek je utrzymywać, a oni sami mogą bawić się w ambasady, urzędy, przewroty i nic nie inwestować.

Wieloletnia operacja

Pożyczka Banku Świata ma jeszcze jedną ogromną zaletę. Przed wojną dominował wszędzie typ pożyczki JEDNORAZOWEJ. Dostaliśmy pożyczkę stabilizacyjną, ale co potem? Potem nie było nia dłużnika mało co warte. Francja, np. udzieliła Hiszpanii pożyczek ogólnych państw europejskich, Francji przede wszystkim, są właśnie operacjami jednorazowymi, i dlatego są z punktu widze-

nia dłużnika małe co warte. Francja, np. udzieliła Hiszpanii pożyczki 150 milionów dolarów, Meksykowi 50 milionów dolarów, Turcji i Persji po 20 milionów dol. Są to kwoty dość niewielkie, które szybko zostaną wydane. A co potem? Potem nic. Hiszpania, Meksyk, Turcja, Iran etc. nie mają żadnych konkretnych obietnic, że Francja będzie dalej finansować jakiś program, jakieś inwestycje. A przecie dzisiaj pożyczki inwestycyjne muszą być stałym, obfitym *strumieniem*, a nie jednorazowym gejerem. Inaczej ich celowość jest wysoce wątpliwa.

Inaczej z operacjami Banku Świata. Waga obecnych pożyczek dla Hiszpanii polega przede wszystkim na tym, że się one na tej kwocie 130 milionów dolarów NIE kończą. Umowy obejmują cały program inwestycji kolejowych i portowych, obliczony na sumę 2 miliardów dolarów i na 10 lat. Obecny zastrzyk ogranicza się do dwóch lat — w praktyce do 18 miesięcy. Bank Świata wyraźnie moralnie zobowiązał się do dalszego alimentowania inwestycji kolejowych i portowych w Hiszpanii także po 31 grudnia 1965 roku. Oczywiście, gdyby Hiszpanie nie trzymali się wskazówek Banku Świata, gdyby nie finansowali inwestycji wspólnie uzgodnionych, ale wydawali użyte im środki na co innego, np. na finansowanie zbrojeń czy przemysłu zbrojeniowego, to moralne zobowiązanie Banku do dalszej pomocy odpadłoby. Ale jeżeli Hiszpanie wypełnią swe zobowiązania lojalnie, to Bank będzie również lojalny, i Hiszpanie mogą liczyć, że na 1 stycznia 1966 nowa transza 130 milionów dolarów, może nawet nieco większa, będzie postawiona im do dyspozycji. Mogą więc planować na dłuższą metę. Mogą rachować na efekty nie tylko w roku przyszłym, ale także za 8 czy 10 lat.

Gdyby Bank Świata chciał od razu, z miejsca, wypłacić Hiszpanii obiecaną na przestrzeni 10 lat 650 milionów dolarów, zamiast udzielić tej sumy w pięciu transzach dwuletnich, to taka procedura miałaby liczne skutki ujemne. Bank straciłby wszelką możność nacisku na Hiszpanię, by ściśle trzymała się swych obietnic i planów. Zmobilizowanie tak dużej sumy mogłoby wywołać poważne perturbacje na rynkach finansowych i zaburzenia w kursach dewiz. Hiszpanie musieliby od pierwszej chwili płacić odsetki za całość sumy, której przecie nie mogliby wydać w ciągu roku: a tak zaczynają płacić procenty dopiero w miarę, jak zaczynają uzyskane kwoty wydawać. Wreszcie przy zbyt wysokich kredytach i zbyt silnym dopływie dewiz, trzeba się zawsze obawiać objawów inflacyjnych w kraju dłużniczym. Rozłożenie więc tej transakcji kredytowej na 10 lat i na 5 transz leży w interesie samej Hiszpanii. Jeżeli się rozwodzę nad rzeczami tak prostymi, to czynię to ze względów pedagogicznych: nie tylko Polak w kraju, ale także przeciętny polski dziennikarz czy polityk na emigracji nie ma najmniejszego wyobrażenia o najprostszych regułach polityki ekonomicznej, baje od rzeczy o „socjalizmie” i „kapitalizmie”, a z elementarnej ekonomii, skarbowości czy nauki o pieniądzu i kredycie zasługuje na pałkę. I co się po-

tem dziwić, że każdy artykuł o sprawach gospodarczych w polskiej prasie wywołuje wszędzie uśmiechy politowania?

Co się stanie za półtora roku?

Za półtora roku klienci Anglii i Francji nie będą wiedzieli co robić, do kogo się zwracać, od czego dalsze ich kredytowane ich przez rządy francuski czy angielski będzie zależeć. Ale Hiszpania będzie już automatycznie, zapewne latem czy jesienią przyszłego roku, rokować z Bankiem Świata o dalszą transzę pożyczki. Co więcej, precedensy pozwalają przypuszczać, że, zachęcony obecnym doświadczeniem, Bank Świata zainteresuje się rozszerzeniem swych kredytów także na inne działy. Raport Banku Świata podkreślił jaskrawo konieczność poważnych inwestycji drogowych: utrzymywania i reperacji dróg istniejących (to w pierwszym rzędzie), oraz zbudowania wielkiej magistralii, być może nawet autostrady, od granicy francuskiej od Port-Bou aż do Malagi i Costa del Sol, wzdłuż całego hiszpańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego. Tę magistralę Bank uważa za konieczną dla rozwoju turystyki zagranicznej, w szczególności zimowej, gospodarczo bardzo ważnej, bo hotelarz, restaurator etc. mają wówczas już nie interesy sezonowe, ale plus minus całoroczne; ta magistrala byłaby także bardzo ważna dla eksportu owoców i jarzyn, które jeszcze przez lata będą stanowić kość pa-cierzową eksportu hiszpańskiego.

Raport banku podkreśla także absolutną konieczność irygacji. Powierzchnia Hiszpanii wynosi przeszło 50 milionów ha: z tego 60%, to są absolutne nieużytki, na których nic nie rośnie. Chciałbym widzieć, jakby wyglądała Polska, gdybyśmy mieli podobny procent nieużytków! Susza i brak wody dają się odczuwać w całym kraju, więc zbiory z ha są wszędzie dużo, dużo niższe od francuskich. Żadna reforma rolna na to nie pomoże, mówienie o niej jest czystą demagogią. Latyfundia — to są przeważnie właśnie te nieużytki, których nikt nie chce, i do których się tylko dopłaca: tam gdzie gleba jest urodzajna, jak zwłaszcza w Huerta walenckiej (la Huerta de Valencia, dosłownie sad Waleński), działki są małe, i trzeba by je łączyć, albo *via wykup*, albo *via kooperatywy*. Zresztą właśnie w tej Huerta walenckiej, najbardziej urodzajnej części Hiszpanii, istnieją już od prawieków kooperatywy wodne, które dzielą między chłopów wodę kanałów i źródeł. Ustrój i organizacja tych kooperatyw datują się często aż z średniowiecza, istnieją specjalne trybunały dla rozstrzygania sporów. Spory te zresztą są okazją do popisów legendarnego temperamentu hiszpańskiego: nie ma roku, by w czasie kłótni o wodę nie padały trupy i nie dochodziło do bójek, a nawet zamieszek. Winnice, gaje pomarańczowe i cytrynowe są za małe, a nie za duże. Wieś hiszpańska jest przeludniona, znacznie bardziej niż we Francji, gdzie jednak rząd też dąży do zmniejszenia liczby zatrudnionych na roli.

Otóż jest rzeczą możliwą a nawet prawdopodobną, że za rok-półtora Bank Świata udzieli Hiszpanii dalszych kredytów na nowe działy, a mianowicie na budowę dróg i na nawodnienie, na irygację. Być może te nowe kwoty pożyczkowe będą równie duże co kredyty na koleje i porty, i zapewne pociągną za sobą analogiczne zobowiązania Hiszpanii uzupełnienia kredytów zagranicznych odpowiednim wysiłkiem z budżetu.

Polityka kredytowa Banku Świata

W przeciwieństwie do planu Marshalla, Bank zawsze udzielał pożyczek *zwrotnych*, więc póki plan Marshalla funkcjonował pełną parą, póty oczywiście zakres działania Banku był niewielki. Ale już koło roku 1953 Amerykanie powiedzieli: „dosyć tej manny z nieba” i zamknęli kran pożyczek bezzwrotnych w Europie, albo ściślej przymknęli ten kran. Więc kraje europejskie zaczęły się zwracać o pomoc do Banku Świata. W kolejce do jego okienek stanęły nawet Francja i Anglia, ale dzisiaj oba te państwa, Francja zwłaszcza, prawie wszystkie swe długie wobec Banku Świata spłaciły. Największe dawki kredytów Bank udzielił w Europie Włochom i Austrii. W obu krajach kredyty te poszły głównie na hydroelektrownie, w drugim rządzie na elektryfikację kolei. I tak, właśnie za pieniądze Banku Świata, Austria zbudowała ogromne tamy i elektrownie wodne na Dunaju oraz Kaprun, na drodze z Zell-am-See do Grossglockner. Tak potrzebna elektryfikacja magistrali Salzburg-Wiedeń i Tarvisio-Wiedeń przez Semmering została także sfinansowana przez Bank Świata. Postawienie Austrii i Włoch na nogi, podniesienie ich stopy życiowej do poziomu zachodnio-europejskiego, rozwój turystyki do tych dwóch krajów, odbudowa ich zasobów dewizowych — to wszystko jest w dużej mierze dziełem i zasługą Banku Świata.

Poczynając gdzieś od 1958 roku Bank Świata przestał faworyzować Zachodnią Europę, a poświęcił się głównie krajom pozaeuropejskim, przede wszystkim Ameryce Łacińskiej, a w ostatnich latach Azji. Od kilku lat rok rocznie największym klientem Banku są Indie. Duże sumy otrzymały także Egipt, Persja etc. Pożyczki dla Hiszpanii oznaczają odrodzenie zainteresowania Europą.

Bank Świata początkowo starał się pomagać wszystkim po trosze. Ale w ostatnich latach coraz wyraźniej koncentruje się na krajach uważanych za kluczowe (Indie, Brazylia). Żyjemy w epoce, gdy rozmiary stają się same przez się magnesem. Wielkie koncerny wypierają małe firmy. Wielkie kredyty są uważane za bardziej pożądane, niż duża ilość drobnych pożyczek. Bank Świata idzie za tym powszechnym pędem. Zamiast czterdziestu operacji kredytowych, woli dziesięć ale na większą skalę. Bank Świata uważa, że małe zastrzyki, małe operacje nie dają poważniejszych rezultatów. Woli więc zajmować się krajami większymi, niż małymi.

Dla nas specjalnie interesujące są rezultaty pożyczek Banku Świata dla Jugosławii. O ile się orientuję, są one wybitnie mało zachęcające: stopa życiowa w Jugosławii podnosi się notorycznie mniej i wolniej, niż w jakimkolwiek innym kraju, zwanym „kapitalistycznym”. W Jugosławii, tak samo jak w krajach arabskich, kredyty Banku Świata nie zostały zużyte zgodnie z ich przeznaczeniem, nie towarzyszył im też odpowiedni wysiłek finansowy ze strony samych państw zainteresowanych. Jugosławia i państwa arabskie nadal poświęcają nadmierne sumy na zbrojenia, na prestiżową politykę zagraniczną, na rozbudowę przemysłów, których widoki rentowności przedstawiają się bardzo słabo. Bank Świata jest wyraźnie zniechęcony do kontynuowania operacji z Jugosławią i krajami arabskimi, a także murzyńskimi.

Jak Bank Świata mobilizuje swe środki?

Bank Świata udziela rok rocznie pożyczek na blisko miliard dolarów. Początkowo te środki pochodziły wyłącznie z Ameryki, to znaczy ze Stanów Zjednoczonych. Nie tylko dlatego, że poza bankami amerykańskimi żadne inne nie były w stanie kupować obligacji i bonów Banku Świata. Dłużnik ma też w tej sprawie coś do gadania. 10 lat temu każdy kandydat na dłużnika chciał mieć tylko dolary, i nie chciał słyszeć o innej walucie. Dziś jeszcze liczba walut, które dłużnicy chcą akceptować, jest ściśle ograniczona. Na sto kilkadziesiąt walut istniejących na świecie, ogromna większość, może nawet 90%, uchodzi za śmieć, za bezwartościowy papier. Nasser udziela Ben Belli pożyczki: co to oznacza? Oznacza to, że Ben Bella może zakupić w Egipcie niektóre towary, wyznaczone przez Nassera, i po cenie przez niego ustalonej; bo funt egipski jest niewymienialny, a innych dewiz Nasser nie posiada. To samo się odnosi do wszystkich krajów bloku sowieckiego. Wyobraźmy sobie, że Bank Świata pożycza od Nassera pieniądze. Nasser każe bankowi egipskiemu zakupić biletów Banku Świata na, dajmy na to, 10 milionów funtów egipskich. Co się dzieje? Bank Świata proponuje kandydatom na dłużnika te funty Nassera, np. Hiszpanii. Oczywiście Hiszpanie odpowiedzą: co to za kpiny? Tak samo odpowie Ben Bella i wszyscy inni. Bank Świata musi operować tylko walutami wymienialnymi, o stałym kursie, poszukiwanymi na rynku międzynarodowym.

10 lat temu taką walutą był tylko dolar, frank szwajcarski, i w pewnym stopniu, bardzo skromnym, funt angielski. Dzisiaj rola funta ang. jeszcze spadła, ale natomiast pojawiły się nowe waluty pełnoprawne: frank francuski, frank belgijski, gulden holenderski, lira włoska i marka niemiecka.

Więc z tego wynika, że Bank Świata już nie musi swych środków zdobywać wyłącznie na rynku amerykańskim, może też pukać do innych banków. Np., udzielając kredytu Hiszpanii, może Hiszpanów zapytać: jakich chcecie dewiz? I jest arcypraw-

dopodobne, że Hiszpanie odpowiedzą: dolarów mamy na razie dość, wolimy marki niemieckie i franki francuskie, bo właśnie w tych dwóch krajach zamierzamy kupić maszyny dla budowania torów, wagony, Diesle, czy dźwigi portowe.

W tej sytuacji Bank Świata może emitować swe obligacje nie tylko w dolarach, ale i we frankach lub w markach niemieckich i sprzedawać je bezpośrednio zainteresowanym bankom w Paryżu czy w Frankfurtu. Są to operacje technicznie szalenie skomplikowane, ale sens ekonomiczny jest jasny: dawniej tylko Ameryka udzielała kredytów inwestycyjnych via Bank Świata, dzisiaj tych kredytów udzielają także inne kraje. Francja i Anglia zakupują bardzo mało obligacji Banku Świata, bo wolą, ze względów prestiżowych, koncentrować swą uwagę na własnych planach pomocy dla zagranicy: zwłaszcza Francja hołduje tej zasadzie, i stąd jej transakcje z Bankiem Świata są minimalne. Ale Niemcy i w mniejszym stopniu Szwajcaria kupują obligacje Banku Świata, to znaczy udzielają kredytów inwestycyjnych nie bezpośrednio, a via Bank.

Bank ma własne środki, a mianowicie ma rezerwy w postaci już spłaconych przez dłużników kredytów. Te rezerwy wynoszą już dzisiaj przeszło 500 milionów dolarów. Ale to oczywiście nie wystarcza. Bank musi więc stale mobilizować coraz to nowe środki.

Korzyści dla wierzyciela z pośrednictwa Banku Świata

Korzyści dla wierzycieli są oczywiste, nawet jaskrawe. Przy pożyczkach poszczególnych państw (np. Anglii czy Francji) zmiana relacji politycznych (np. dekolonizacja) zwykle pociąga za sobą niepłacenie długów. Dłużnicy, nawet najgorsi, jak np. Egipt, są znacznie ostrożniejsi z ociąganiem się w płaceniu zobowiązań wobec Banku Świata, bo wiedzą, że w ten sposób zamykają sobie drzwi do dalszych kredytów. Procent niespłaconych na termin pożyczek Banku Świata jest znikomy. Wierzyciele Banku Świata, a więc posiadacze jego obligacji, czy to rządy, czy banki, czy poważne instytucje, np. fundacje etc., ponoszą znacznie mniejsze ryzyko polityczne, mniejsze ryzyko walutowe. Ich sytuację można porównać z sytuacją nabywców akcji *Investment Trust*ów. Nabywca akcji dobrego międzynarodowego *Investment Trust*u z siedzibą w Nowym Yorku, Genewie, Londynie, Paryżu, Frankfurtu w gruncie rzeczy gra na giełdzie za pośrednictwem instytucji bardziej od niego doświadczonej, bardziej ostrożnej, rozporządzającej dużo większymi kapitałami, instytucji, która ROZKŁADA ryzyko. Akcje *Investment Trust*ów nigdy nie skoczą w górę równie zawrotnie, jak akcje niektórych firm prywatnych: ale też jest dużo mniej szans że spadną na łeb na szyję. Wierzyciel może więcej zarobić pożyczając szeikom arabskim czy spekulantom naftowym; ale może też dużo więcej stracić.

Gdy rządy czy Banki emisyjne kupują obligacje Banku

Świata, ich sytuacja jest też lepsza. Gdy występują bezpośrednio jako wierzyciele, kraje dłużnicze są zawsze skłonne posądzać je o podejrzaną cele polityczne, o lichwiarstwo, o ingerencję etc. Gdy dłużnik zaciąga pożyczkę w Banku Świata, wszystkie te momenty odpadają. Dłużnik często nawet nie wie, czy kredyt mu udzielony pochodzi z kapitałów amerykańskich, szwajcarskich czy niemieckich. I ta okoliczność nie odgrywa zresztą żadnej roli.

Korzyści dłużnika

Korzyści dłużnika są jeszcze o wiele większe. Zamiast długich wywodów, wolę przytoczyć konkretny przykład, będzie bardziej wymowny.

W paryskim „Le Monde” z daty 7 sierpnia 1964, czytam następującą notatkę: „Trzy firmy francuskie (nazwy) zawiadamiają, że podpisały umowę z rządem Meksyku, na mocy której firmy te zbudują cukrownię, która będzie mogła przerabiać 4 tysiące ton trzciny cukrowej dziennie. Cukrownia ta, która będzie zbudowana w Tuxtepec, w stanie Oaxaca, zacznie funkcjonować w końcu 1966 roku i będzie mogła produkować 60 do 70 tysięcy ton cukru rocznie. Kontrakt ten, na sumę 45 milionów franków... zostanie sfinansowany w ramach umowy finansowej francusko-meksykańskiej, która przewiduje udzielenie 275 milionów franków kredytu przez Francję Meksykowi... itd.”.

Co wynika z tej notatki? Że trzy firmy francuskie mają ochotę zbudować cukrownię w Meksyku. Że koszty tej operacji wypłaci trzem firmom francuskim rząd francuski w ramach pożyczki, udzielonej przez tenże rząd Meksykowi. Kto decyduje, czy koszty budowy tej cukrowni w kwocie 45 milionów (na ogólną sumę kredytu 275 miln., czyli plus minus na jedną szóstą całości) są właściwe, czy też wydate? Nie wiadomo. Kto decyduje, że warto aż jedną szóstą pożyczki zagranicznej przeznaczyć na budowę tylko jednego obiektu, i że tym obiektem ma być właśnie cukrownia? Nie wiadomo. Kto ustalił, że w Meksyku warto i należy rozwijać przemysł cukrowniczy? Zapewne, dzisiaj wobec bojkotu Kuby, cukrownie w Meksyku mogą liczyć na zbyt swej produkcji. Ale gdy stosunki na Kubie się zmieniają, ta sytuacja może ulec gwałtownej rewizji. Jaki jest więc cel i sens tej transakcji? Dlaczego ma ona być pomyślna dla ekonomii meksykańskiej? Czy później cała ta sprawa nie będzie okazją do gorzkich skarg ze strony Meksyku, że został oszukany, że kapitał zagraniczny Meksyk ograł etc.?

W porównaniu z tymi metodami korzyści pożyczek Banku Świata są jaskrawe i oczywiste. Bank Świata nie zajmuje się wynajdywaniem fabryk, które mają Hiszpanii dostarczyć Dieslów czy dźwigów portowych. Bank Świata zajmuje się DZIAŁAMI gospodarki hiszpańskiej czy indyjskiej, ale nie poszczególnymi fabrykami czy przemysłami. Bank Świata koncentruje swą uwa-

gę na działach publicznych i podstawowych, na gospodarce państwowej; powiada, że trzeba inwestować w koleje, w elektryfikację kraju, w porty, w rolnictwo, w drogi, w urządzenia turystyczne, ale nikomu nie powiada: tutaj zbuduj cukrownię, a tu nowe Mościce. Bank Świata myśli kategoriami ekonomicznymi, a nie kategoriami firm, dostaw, zamówień. To jest domena dla kredytów prywatnych. Gdy chodzi o wielką międzynarodową politykę finansową, lepiej wszystkie *indywidualne* transakcje i umowy całkowiec pominąć. *De minimis non curat praetor*.

Jeżeli pożyczka francuska dla Meksyku okaże się instrumentem rozwoju, i ekspansji dla tego kraju, to będzie to szczęśliwy przypadek. Jeżeli pożyczki Banku Świata nie dają spodziewanych rezultatów, to jest to już wina rządu pożyczkobiorcy.

Wnioski natury ogólnej

Przejdźmy więc teraz do wniosków. Nasuwa się ich cały szereg. Zaczniemy od najbardziej ogólnych.

Trzeba więc przede wszystkim powiedzieć, że znaczenie pożyczek zagranicznych było w 19-ym wieku i aż do 1939 roku przesadzone. Podstawą ekspansji i dobrobytu nie jest kredyt zagraniczny, z którego trzeba zawsze korzystać z umiarem. Najważniejszym dźwigniem dobrobytu jest dobra polityka gospodarcza, unikanie inflacji i deflacji, stałość cen, stałość waluty, umiarkowane wydatki wojskowe i polityczne, pokojowa polityka zagraniczna, utrzymanie miary w konsumpcji, pęd do inwestycji i oszczędności pieniężnych. By być precyzyjnym: kraje takie jak Egipt i dzisiejsza Algieria nie mogą mieć dobrej polityki gospodarczej, bo ich polityka zagraniczna jest na wyrost i jest zbyt kosztowna. Indie, a właściwie cała Azja, cała Afryka i cała Południowa Ameryka nie mogą poważnie podnieść stopy życiowej, póki ich ludność oddaje się równie obłąkanemu jak dotychczas wyścigowi kołysek. Gdy ludność wzrasta rocznie o 3% (podkreślam procent a nie pro mille) stopa życiowa może w najlepszym razie pozostawać na tym samym poziomie: w praktyce przeważnie spada.

W polityce ekonomicznej decydującą rolę odgrywa kwestia zrównoważenia bilansu płatniczego. Ten problem jest zawsze najtrudniejszy. Kraje o nadwyżce w bilansie płatniczym, jak Stany, Szwajcaria, Niemcy, do pewnego stopnia Francja, dzisiaj także Hiszpania, Austria, normalnie Włochy, Holandia i Belgia, może także Skandynawia mają tylko przejściowe trudności. Kraje o strukturalnym deficycie bilansu płatniczego stoją zawsze wobec widma kryzysu i muszą stale tańczyć na linie. Odnosi się to tak samo do Wielkiej Brytanii, jak do całego *Tiers-Monde'u*, jak, oczywiście, do całego bloku sowieckiego. Z socjalizmem czy bez socjalizmu Polska musi zbilansować swe wpływy i wydatki dewizowe, albo żebrać, albo dziadować. *Quantum non datur*. Dzisiaj i żebrze, i bieduje.

Dla zapchania dziur w bilansie płatniczym początkowa pomoc Międzynarodowego Funduszu Monetarnego oraz Banku Świata jest konieczna. Skuteczność tej pomocy jest udowodniona w chwili, gdy ta pomoc przestaje być potrzebna. Tak stało się z Szóstką, tak dzieje się teraz z Austrią, tak, mam nadzieję, będzie za jakieś 10 lat z Hiszpanią. Ilu lat będzie potrzeba zanim Polska zrównoważy swój bilans płatniczy, nikt dzisiaj powiedzieć nie potrafi. Należy przypuszczać, że Polska będzie bardzo długo klientem wierzycieli zagranicznych. Skoro tak będzie, trzeba z całego serca sobie życzyć, by tymi wierzycielami Polski były w przyszłości M.F.M., oraz Bank Świata, a nie „przyjaciele” z Komekonu, czy nawet w Zachodniej Europie.

Bilans płatniczy zależy w pierwszym rzędzie od bilansu handlowego, w drugim od bilansu usług, dzisiaj specjalnie od turystyki, a w trzecim miejscu od dopływu kapitałów zagranicznych. Ten ostatni nigdy nie jest ideałem. Zawsze lepiej mieć nadmiar kapitałów niż ich brak. Lepiej w moim przekonaniu ściągać turystów, lepiej pogodzić się z masową emigracją, niż ciągle liczyć na pożyczki. Jednym z najpewniejszych środków uniezależnienia się od konieczności pożyczania zagranicą jest umiar w płodzeniu dzieci. Jeżeli się chce mieć dużo dzieci, zabrania się emigracji, uniemożliwia dopływ kapitału zagranicznego, wydaje duże środki na zbrojenia, prowadzi się buńczuczną i ryzykowną politykę zagraniczną, robi się radykalne i nierentowne reformy, rozbudowuje się przemysł, nie myśląc o ich rentowności, to wynikiem tych wszystkich pomyłek może być tylko dekapitalizacja i bardzo niska stopa życiowa. Kto tego nie widzi, ten jest ślepy.

Elementy kwantytatywne w międzynarodowych operacjach finansowych

Warunki techniczne zmuszają gospodarkę do koncentracji, to znaczy firmy muszą być coraz większe, rynki muszą być coraz większe, inwestycje muszą być coraz większe i kredyty muszą być coraz większe. Drobne operacje kredytowe mogą odrzucać zyski poszczególnym bankierom, a częściej aferzystom, ale dla krajów są bez znaczenia, są często szkodliwą. Tak samo jednorazowe operacje kredytowe nie mają większego sensu. Tak samo jak handel zagraniczny nie jest jednorazową transakcją, lecz STRUMIENIEM wymiany handlowej, obliczonym na lata, tak i operacje kredytowe nie są jednorazowym zastrzykiem, ale długofalowym strumieniem kapitałów, płynącym z jednej części świata do drugiej. By strumień ten był naprawdę duży i długotrwały, wierzyciel musi być potężny, i dłużnik nie może być pigmejem.

Ostatnie lata dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że tylko Stany Zjednoczone są dostatecznie wielkie, dostatecznie bogate, dostatecznie potężne, by być samodzielnym, indywidualnym wierzycielem i pożyczkodawcą. Francja, Anglia są na to za małe. Ich kredyty są za szczupłe, zanadto krótkoterminowe. Anglia już

nie jest w stanie finansować Indyj, właściwie zrzuciła ten wielki ciężar na Stany Zjednoczone. Pożyczki francuskie są tak drobne, że w końcu okażą się stratą dla niej samej, a u dłużników pozostawia tylko uczucie zawodu. Co może pomóc Turcji czy Iranowi 20 czy 25 milionów dolarów? Jakże znaczenie dla Meksyku może mieć pożyczka 50 milionów dolarów? — Tak samo jakież sens ma obecna pożyczka Holandii dla Indonezji w kwocie 30 milionów dolarów? Tym bardziej gdy nie ma żadnej gwarancji, że po inicjalnym kredycie przyjdą dalsze. W praktyce, po zjedzeniu pierwszego kredytu Francji, Anglii czy Holandii, dłużnikowi nie pozostaje nic innego jak zwrócenie się po dalsze transze do władz amerykańskich, albo do Banku Świata.

Bank Wspólnego Rynku

Wspólny Rynek ma, na mocy Traktatu Rzymskiego, instytucję kredytową, mianowicie Bank Inwestycyjny, o kapitale 100 milionów dolarów. Ale zadania tego banku są ograniczone do operacji wewnątrz samego Rynku: w praktyce Bank ten udziela pożyczek Włochom ze środków pieniężnych i kapitałowych pozostałych pięciu (bogatszych) członków. Zresztą działalność tego banku zawiodła, nawet w skali wspólnorynkowej; jego kredyty są szczupłe. Dwie dalsze organizacje Szóstki, Wspólnota Węgla i Stali oraz Euratom, też udzielają drobnych kredytów na budowę mieszkań dla górników, na readaptację górników, dotkniętych bezrobociem, na badania i reaktory atomowe etc. Ale wszystko razem jest to bardzo niewiele. Tłumaczy się to zresztą bardzo prosto: szaloną koniunkturą wewnątrz Wspólnego Rynku, i faktem, że jako całość ma on wysoce dodatni bilans płatniczy, więc pożyczać tak bardzo nie ma komu. Poza tym Ameryka, Anglia, Szwajcaria rzuciły się z ofertami kredytów i inwestycji we Wspólnym Rynku, co roku dopływ kapitałów z zewnątrz wyraża się cyfrą dwóch czy trzech miliardów dolarów, więc w tych warunkach także Włochom bardziej się opłaca ściągać tańsze kapitały z Ameryki i ze Szwajcarii, niż kołatać u swych partnerów.

Ale Wspólny Rynek powinienby utworzyć instytucje finansowe dla operacji zewnętrznych i tych instytucji powinno być co najmniej dwie: jedna dla udzielania kredytów państwom poza-europejskim, a druga dla finansowania państw europejskich, ale nie należących do Rynku. Na razie rządy Szóstki udzielają pewnych kredytów krajom afrykańskim, które podpisały umowę w Yaoundé, i związały się dość luźno z Szóstką: są to w zasadzie eks-kolonie francuskie plus Kongo eks-belgijskie. Byłoby dużo lepiej całą pomoc Szóstki skoncentrować pod flagą jakiegoś banku, niż przeprowadzać te operacje przez agencję rządową. I oczywiście trzeba by działalności tego banku nie ograniczyć do tych kilkuset milionów dolarów, które Szóstka, jako całość, udziela tym krajom, ale także włączyć pomoc indywidualnych państw Szóstki, z Francją na czele. Póki de Gaulle sam się nie

przekona, że tylko w ten sposób może się obronić przed szantażem afrykańskich ekstremistów, póty ten projekt nie ujrzy światła dziennego.

Jeszcze ważniejszy byłby wspólny Bank Szóstki dla udzielania pomocy państwom europejskim, nie należącym do Wspólnego Rynku. Chodziłoby o pomoc i kredyty dla Hiszpanii, Portugalii, Grecji, Turcji, Malty, Cypru, Irlandii, Islandii, Finlandii, może nawet Austrii, ewent. także Jugosławii i dla innych krajów dzisiejszej sowieckiej strefy wpływów. Myślę, że jeszcze lepiej byłoby z góry założyć trzeci Bank Szóstki, który by właśnie koncentrował operacje finansowe z całym komunistycznym Wschodem, wymagającym innych metod, niż kraje o normalnym ustroju gospodarczym.

Tak skoncentrowana pomoc mogłaby być dużo bardziej skuteczna. Byłaby znacznie większa, byłaby bardziej sprawna, bardziej ciągła, nie urywałaby się co roku, czy nawet po paru miesiącach. Kredyty te stałyby się niezależne od rządów, od firm, od ambasad, można by wówczas tę pomoc powiązać z polityką handlową, a nawet z wywieraniem nacisku na kredytobiorców; i tak można by powiedzieć i Turcji, i Grecji, i Makariosowi: „ani grosza nie dostaniecie, póki nie dacie spokoju tym breweriom na Cyprze”, i takie postawienie sprawy miałoby dużo więcej efektu, niż dzisiejsze oddzielne interwencje Anglii czy Francji. Wspólny Rynek ma już (częściowo) wspólną taryfę celną zewnętrzną, próbuje swych sił we wspólnej polityce agrarnej, koniunkturalnej, komunikacyjnej, więc będzie musiał prędzej lub później wynaleźć formy dla wspólnej polityki kredytowej wobec reszty świata. I tę politykę kredytową trzeba będzie uzgodnić z polityką imigracyjną, handlową, inwestycyjną. Jeżeli Francja i Niemcy będą otwierać filie fabryk samochodów w Hiszpanii a Anglia w Portugalii, to w końcu doprowadzą do kryzysu w przemyśle samochodowym, którego się wszyscy boją. Państwa europejskie porobiły najgorsze doświadczenia z rywalizacjami Wielkich Mocarstw, i trudno się dziwić, że odnoszą się do ich kredytów podejrzliwie. Egipcjanie i Algierczycy boją się Anglii i Francji, Grecy się boją Włochów, inni się boją Niemców etc. Więc gdy wszystkie te państwa będą występować pod wspólnym szyldem, obaw będzie mniej, i skutki będą lepsze.

Bardzo się cieszę, gdy moi koledzy walczą o wolność myśli w Polsce, czy o wolność religijną, czy o wolność prasy etc. Ale trzeba tak samo walczyć o wolność gospodarczą, która jest warunkiem wszystkich innych swobód. Nie uważam za wykluczone, że na tym terenie może uda się jakieś ustępstwa od Sowietów wydebić: w każdym razie wydaje mi się to bardziej prawdopodobne, niż zmuszenie ich, by się uderzyli w piersi za Katiń czy uznali niepodległość Ukrainy. Przyparciu do muru wewnętrznymi kłopotami, może Rosjanie pogodzą się z myślą, by M.F.M., Bank Świata, czy może nawet jakiś Bank Szóstki udzielał kredytów sowieckim „satelitom” w Środkowej Europie. Jestem przekonany, że kredyty samej Francji, czy samej Anglii czy sa-

mych Niemiec nic absolutnie ani nam, ani nikomu innemu nie dadzą: nie doprowadzą do zwiększonych obrotów handlowych, nie podniosą wydatnie stopy życiowej ludności tych krajów etc. Tylko pomoc bądź całego wolnego świata, reprezentowanego przez M.F.M. i Bank Świata, bądź przynajmniej całej Szóstki, może mieć wydatne skutki gospodarcze: a skutki gospodarcze czasami (nie zawsze), pociągają także skutki polityczne.

Ale nie wystarczy, by kandydaci na wierzycieli wystąpili pod wspólną flagą. Polska, Czechy, Węgry, Rumunia są oddzielnie zbyt małymi obiektami dla polityki finansowej i kredytowej, zakreślonej na wielką skalę. Poszczególne państwa naszego regionu mogą oddzielnie otrzymać tylko grosze na odczepnego. Dopiero kiedy wobec dużego wierzyciela wystąpi *duży* dłużnik mogą rozpocząć się rozmowy serio, interesy serio.

Które państwa powinnyby się zgrupować z myślą o wspólnym wystąpieniu wobec międzynarodowych instytucji kredytowych? Sądzę, że cztery: Polska, Czechosłowacja, Węgry i Rumunia. Niemcy Wschodnie trzeba wyeliminować z tej grupy, bo NRF nigdy się nie zgodzi na udzielanie kredytów przez Zachód tej fikcji Niemiec, a ani Bank Międzynarodowy, ani MFM, ani Szóstka nie będą nigdy mogły nad vetem NRF przejść do porządku dziennego. Jugosławię i Bułgarię najlepiej zostawić ich własnemu losowi. A gospodarczo wymienione przeze mnie cztery kraje posiadają pewne wspólne cechy: mają dane na rozwój przemysłowy, mają pewne tradycje przemysłowe, nie tylko rolnicze, mają pewne kadry, a kadry są dzisiaj pierwszym i najważniejszym warunkiem rozwoju gospodarczego. Udzielenie kredytów tym czterem krajom na rozbudowę transportu i stabilizację ich walut mogłoby stać się aktem polityki gospodarczej, a nie tylko datkiem jałmużny. Lubimy mówić o stu milionach ludzi ujarzmionych za Żelazną Kurtyną. Lepiej mówić o 70 milionach, a operować jednostką bardziej zwartą, bardziej zbliżoną do dzisiejszych realiów.

Gdyby rządy tych czterech państw uzyskały placet Rosji na rozmowy z MFM, Bankiem Świata i Szóstką, Rosja mogłaby mniej się obawiać powstań narodowych w czterech stolicach tego regionu. To bardzo dużo. Taka „wielka Finlandia” w środkowej Europie, sterująca ostrożnie ku neutralności (z konieczności, tak jak i neutralność finlandzka, prorosyjskiej), mogłaby stać się interesującą dla wielu rządów i wpływowych kół na Zachodzie, w każdym razie bardziej niż skłócone nacjonalistyczne państwka, robiące z granic fetysze, i operujące rykiem, groźbami i demagogią.

W. A. ZBYSZEWSKI

Wolna Trybuna

Między Niemcami a Rosją

Oklepanym jest frazes, że byt Polski zależy od jej stosunków z dwoma sąsiednimi mocarstwami — Niemcami i Rosją. Ale trudno nie powtarzać tego frazesu, skoro Polacy bezspornego faktu uznać nie chcą, bo... obydwu swoich sąsiadów nie lubią. Wprawdzie Niemcy obcą wolą zostali przedzieleni murem, jak barykadą, na dwie rzekomo wrogie sobie części, a Rosja przykucnęła pod imponującym kryptonimem Związku Sowieckiego. Te zawiłe manewry nie pozbawiają jednak ani na jotę niezmienną prawdy zawartej w tym frazesie.

Publicystyka polska na emigracji skąpo korzysta z bezcennego przywileju słowa i pióra dla przemyślenia i przedyskutowania tego kapitalnego polskiego dylematu. Są, oczywiście, wyjątki. Należą do nich m.in. periodyczne przeglądy polityczne Juliusza Mieroszewskiego w „Kulturze”. Od czasu do czasu zamieszcza redaktor w dziale politycznym artykuły zaopatrzone dopiskiem „dyskusyjny”. Ten precedens zachęcił mnie do podjęcia — za zgodą redaktora — równoległej dyskusji z niektórymi тезami Mieroszewskiego w jego przeglądzie politycznym w dwóchsetnym jubileuszowym numerze „Kultury”. Naturalnie, muszę przy tym potrącić o obowiązujące kanony emigracyjne, stanowiące w sumie „żelazny” dekalog polityczny polskiej emigracji.

Koncepcja Mieroszewskiego nie trzyma się, jak i poprzednie jego wypowiedzi, politycznej konwencji emigracyjnej (co na plus mu od razu zapisać należy) i — w wielkim skrócie — polega na tym, że Polska może odzyskać status niepodległego państwa przez spełnienie się następujących warunków: 1) spacyfikowanie Niemiec i międzynarodowe uznanie polsko-niemieckiej granicy na Odrze i Nysie; 2) usunięcie kompleksu lęku Związku Sowieckiego i państw satelickich przed Niemcami; 3) uniezależnienie się państw satelickich od Związku Sowieckiego wobec zbędności protekcji sowieckiej przed Niemcami; 4) europeizację Rosji, czyli wejście jej do „koncertu” państw europejskich.

Rzeczpospolita przedrozbiorowa była państwem wielonarodowym, mającym cechy imperium, tworzonych przez warstwy podówczas kierownicze za pomocą związków dobrowolnych, w przeciwieństwie do imperium moskiewskiego tworzonych za pomocą podbojów. Absolutna władza okazała się lepszym środkiem budowy imperium w wiekach XVII i XVIII, niż demokracja szlachecka. Polska po I wojnie światowej była Rzeczpospolitą już tylko z nazwy, lecz nie z ducha.

Józef Piłsudski usiłował w przebiegu formowania się II Rzeczpospolitej tchnąć w nią ducha dawnej Rzeczpospolitej. Nie znalazł dla swej idei zrozumienia i poparcia ani w swoim narodzie ani w pobratymczych. Od chwili niepowodzenia wyprawy kijowskiej 1920 roku koło historii obróciło się w innym kierunku. Pokój ryski z 1921 roku był zawierany już w imię innej koncepcji. Nazwał go prof. Marian Zdziechowski, jeden z najlepszych znawców ducha Rosji, „zbrodnią ryską”, a jak go oceniał Piłsudski to słyszałem bezpośrednio z jego ust którejś nocy jesiennej 1923 roku, w mieszkaniu Witolda Abramowicza w Wilnie. Polityka administracji polskiej w województwach wschodnich powoływała się na Piłsudskiego, ale działała po myśli Dmowskiego. Traktat ryski pozostawił w rękach Moskwy wszystkie atuty do prowadzenia gry antypolskiej za pomocą manipulowania sprawą białoruską i ukraińską. Wojna 1939 roku pozwoliła Moskwie wygrać te atuty, a układy naszych „sojuszników” w Teheranie i Jałcie ze Stalinem położyły kres II Rzeczpospolitej.

Ameryka w Europie

Od owej chwili Stany Zjednoczone wchodzą na polityczną scenę europejską jako aktor grający jedną z dwóch głównych ról. Mieroszewski, wraz z większością Polaków na uchodźstwie i — jak się zdaje — w kraju, przypisuje i teraz Ameryce rolę decydującego czynnika o takim czy innym układzie rzeczy w Europie. („Stany Zjednoczone — pisze — są władne stworzyć warunki polityczne, które kraje satelickie pchnęłyby na drogę niezależności”). W latach 1944-1955 leżało to, być może, w granicach ich możliwości. Ale w roku 1964 nawet sen. Goldwater, jeżeli zostanie prezydentem, wykonanie swojej niedawnej zapowiedzi odroczy zapewne do „lepszego czasu”.

Stany Zjednoczone będą niewątpliwie nadal poważnym współautorem regulowania spraw europejskich, do czego upoważnia ich chociażby zaangażowanie się w obronie Zachodniej Europy, ale nie wyłącznym i nie ostatecznym (co Mieroszewski też przyznaje w nrze 201-202 „Kultury”). Hegemonia Ameryki istnieje tylko w dziedzinie nuklearnej, która może być środkiem presji w stosunku do przeciwnika, lecz nie w stosunku do sojusznika.

Zawieszenie „zimnej wojny” mogłoby nastąpić przez porozumienie Ameryki bezpośrednio z Moskwą w sposób zadawalający

dla Niemieckiej Republiki Federalnej. W ostatnich miesiącach życia prezydenta Kennedy'ego świat był bliższy tego niż jest dziś. Zakończenie „zimnej wojny” mieści się implicite lepiej w skrócie de Gaulle'a „Europa od Atlantyku do Uralu”. Autor tej koncepcji nigdy jej publicznie nie wyłożył, nie leży to bowiem w metodzie jego działania. Ale uważna i inteligentna analiza jego czynów i słów, uzupełniona zapewne echami jego prywatnych półsłówek, pozwoliła Aleksandrowi Kawałkowskiemu zestawić jej główne elementy i stworzyć logiczną i realną całość — jeżeli nie autentyczną, to mającą wielką dozę prawdopodobieństwa.

Odkąd idea scałkowania Europy wypełniła poprzednie *vacuum* polityczne po tej stronie muru berlińskiego, wszelkie projekty rozwiązań problemów europejskich będą musiały być uzgodnione pomiędzy Ameryką a Europą. Z punktu widzenia polskiego konieczność porozumienia Ameryki choćby tylko z państwami Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej jest zwrotem pomyślnym, zmniejsza bowiem szanse nowej Jałty.

Amerykański parasol nuklearny jest niezbędny dla Europy, a szczególnie dla Niemiec. Ale 12 dywizji niemieckich najnowocześniejszych uzbrojonych stanowi trzon sił zbrojnych NATO w środku Europy. Londyński „Times” w depeszy swego korespondenta z Bonn (nr z 17.VII.64) zacytował z przemówienia ambasadora amerykańskiego w Bad Tutzingu na akademii ewangelickiej m.in. następujący *passus*: „Ci Niemcy którzy pytają co nas może obchodzić daleki Vietnam nie zdają sobie sprawy z tego, że Niemcy są, według wszelkich oznak, drugą z kolei potęgą w wolnym świecie”. Zależność jest więc wzajemna i w tym układzie sił żadna ze stron sprzymierzonych nie będzie prowokować drugiej. Ameryka nie poweźmie decyzji dotyczących Niemiec bez zgody NRF, a Niemcy nie będą domagały się broni atomowej bez zgody Ameryki.

Ten problem nuklearny jest zresztą jałowy. Prędzej czy później każde państwo wielkoprzemysłowe będzie mogło sprawić sobie broń nuklearną — jeżeli zechce. Niemcy nie robią tego, bo nie chcą zadzierać ze swoimi sojusznikami o to co im w tej chwili nie jest potrzebne. Ale złudzeniem byłoby sądzić, że można jakieś silne i uprzemysłowione państwo wziąć na stałe pod amerykańską lub międzynarodową kuratelę nuklearną! To są bardzo szkodliwe złudzenia.

Odra i Nysa

Nas obchodzi przede wszystkim problem granicy na Odrze i Nysie. W psychologii politycznej każdego Polaka cały kompleks polsko-niemiecki zaczyna się i kończy na tym problemie, odczuwanym nie politycznie, lecz całą siłą polskiego emocjonalizmu. Czego możemy spodziewać się w tej sprawie od Ameryki?

W zgodzie z tymi nastrojami polskimi, Mieroszewski woła o niezwłoczne uznanie tej granicy przez Amerykę i przez Niemcy

Zachodnie. Ktokolwiek na świecie wie o istnieniu Polski, wie również o problemie granicznym polsko-niemieckim oraz o tym, że stanowisko narodu polskiego jest w tej sprawie jednolite i bezkompromisowe. Ale tego jeszcze za mało, aby osiągnąć ten kardynalny punkt postulatów polskich. Wymusić na Niemcach przyjęcia tego żądania nie możemy. Zresztą, uznanie wymuszone na silniejszym partnerze nie wiele byłoby warte. Trzeba więc działać takimi środkami, które mogą doprowadzić do tego celu. Otóż, moim zdaniem, grupa rządząca w Warszawie i przeciwstawiająca się jej emigracja polityczna zgodnie, choć bez porozumienia, działają w sposób, który *nie prowadzi* do tego celu.

Przyjrzyjmy się temu problemowi spokojnie, *sine ira et studio*.

Przesunięcie się polskiego terytorium etnicznego na Odrę i Nysę jest faktem w granicach politycznego myślenia nieodwracalnym. Obalić ten stan rzeczy mogłyby tylko: albo zwycięska dla Niemiec wojna z ZSSR i, oczywiście, z „PRL”; albo układ pomiędzy Moskwą a Bonn w rodzaju umowy Ribbentrop — Mołotow z roku 1939; albo bezpośrednia umowa komunistów polskich pod naciskiem Moskwy z Ulbrichtem lub zjednoczonymi Niemcami. Żadna z tych hipotez nie ma dziś najmniejszych cech prawdopodobieństwa.

Będąc więc *beatus possidens*, strona polska powinna dążyć do rozładowania wzajemnych z Niemcami nastrojów nieprzyjaźni i nieufności, próbując przez kontakty osobiste i dyskusje stworzyć warunki do przyszłego porozumienia na podstawie *status quo*. Niedawna przeszłość — okupacja niemiecka lat 1939-1945 — pozostawiła wprawdzie niezatarte ślady w pokoleniu, które było jej ofiarą. Ale szanując i podziеляjąc te uczucia, nie można dopuścić aby tylko one kształtowały politykę polską.

Grupa rządząca Polską wyolbrzymia straszak niemiecki i podsycia obawy przed nim z powodów dobrze znanych. Nikt zresztą nie może negować istnienia potencjalnego niebezpieczeństwa ze strony jakichś przyszłych niewiadomych Niemiec. Ale czy unikanie wszelkich kontaktów oraz rozmów z Niemcami zmniejszy szanse pojawienia się tego niebezpieczeństwa? Czy uczyni obecne Niemcy zachodnie bardziej skłonnymi do uznania granicy na Odrze i Nysie i wyrównania wszelkich innych rozrachunków? Czy nie robi to wrażenia, że każde zetknięcie się z Niemcem skończyć się musi kapitulacją Polaka wobec argumentów niemieckich?

Na tle tej psychozy powstał dziwaczny dogmat, polegający na tym, że każdy Polak poczynając od polityka a kończąc na turyście, będąc zagabnięty przez Niemca na temat granicy polsko-niemieckiej, powinien z miejsca zapytać go czy uznaje granicę na Odrze i Nysie i, w razie odpowiedzi negatywnej lub niezdecydowanej, przerwać z nim rozmowę — na każdy temat! Nie wierzyłem w branie na serio tego dogmatu, dopóki nie usłyszałem na własne uszy potwierdzenia z ust czołowego polityka emigracyj-

nego i paru innych osób politycznie jemu bliskich. Ależ to jest przykład czystej wody *metapolityki*, czyli bujania w obłokach w polityce! Jeżeli chcemy uzyskać uznanie, to taka metoda prowadzi do czegoś wręcz przeciwnego. Ultimatum stawiane *a priori* przez każdego Polaka każdemu Niemcowi przy każdej okazji jest najskuteczniejszym sposobem do spowodowania jego odrzucenia nawet przez tych, którzy skłonni byli w swobodnej dyskusji zgodzić się z argumentami polskimi. Czyli jest to nieświadome werbowanie wśród Niemców przeciwników uznania obecnych granic.

Te same w zasadzie argumenty mają zastosowanie do oficjalnych pertraktacji stron zainteresowanych (których zresztą emigracja prowadzić nie będzie). „Oxford English Dictionary” daje następującą definicję dyplomacji: *Diplomacy is the management of international relations by negotiation: the method by which these relations are adjusted and managed by ambassadors and envoys; the business or art of the diplomatist*”.

Dobra dyplomacja państwa słabszego polega m.in. na tym, aby w takiej żywotnej sprawie, jak sprawa granicy z Niemcami, wytworzyć nastroje przychylne wśród czynników międzynarodowych i opinii publicznej, a przez to nie dopuścić do arbitra, których smak poznała Polska wielokrotnie — podczas rozbiorów, w XVIII wieku, a w układzie Ribbentrop-Mołotow i w układach teherańskich i jałtańskich w XX wieku.

Najmniej skutecznym środkiem jest nieustanne, podniecone domaganie się czegoś, co jest w danej chwili nierealne. Na konferencji niemiecko-amerykańskiej w Wiesbaden w roku 1963, profesor historii wschodniej Europy na uniwersytecie Indiana, prof. dr Fritz Epstein powiedział w swoim odczycie m.in., że w oczach Ameryki granica na Odrze i Nysie jest granicą *de facto*, mimo braku prawnego uznania. „W ogólnym przekonaniu ta granica nie może już być zmieniona, chyba przez przymoc. Jednakże oficjalnego uznania tej granicy przez Stany Zjednoczone nie należy się spodziewać”. Wyżej już pisałem, że bez zgody samych Niemiec Ameryka nie zrobi kroku dotyczącego ich żywotnych interesów. Przy tym, nie trzeba zapominać, że istnieje wzajemne poróżnienie mocarstw zachodnich z jednej strony a NRF z drugiej, podpisane w Londynie 3 października 1954 roku, mocą którego NRF zobowiązuje się do nie odwoływania się do siły i do pokojowego załatwiania wszelkich kwestii spornych z innymi państwami, w zamian za co mocarstwa zachodnie przyjmują NRF do NATO i oświadczają, że ostateczne określenie (*final determination*) granic niemieckich musi być odłożone do uregulowania spraw całych Niemiec w drodze swobodnych dyskusji z ich byłymi przeciwnikami. Trudno oczekiwać, aby jakkolwiek rząd niemiecki, mając taki dokument w kieszeni, podejmował inicjatywę uznania tej granicy, ryzykując przegraną w najbliższych wyborach głosami kilku milionów wysiedleńców i uchodźców niemieckich ze Wschodu. Argument, który się często słyszy,

że taki akt politycznej ekspiacji rozładowałby uczucia wrogości i nieufności narodu polskiego, jest zupełnie nieprzekonywujący. Polityk nie dokonywuje aktów, choćby najszlachetniejszych, ale dla niego nie niezbędnych, kosztem utraty władzy w swoim kraju. Odmiana uczuć Polaków, znajdujących się pod nieustannym ciśnieniem propagandy rządzącej nimi grupy komunistów, też jest bardzo wątpliwa.

Dopóki trwa proces integracji Europy zachodniej — choćby tylko integracji gospodarczej — żadna groźba nie wisi nad Odrą i Nysą. NRF jako prosperujący członek Paktu Atlantycznego (NATO), Rady Zachodniej Europy, Wspólnoty Węgla i Stali, „Euratomu” i — co najważniejsze — Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG); jako państwo na małej przestrzeni, związane sojuszem z Francją, w której imieniu prezydent de Gaulle zadeklarował szlachetność i niezmienną granicę na Odrze i Nysie; bardzo dbające o swoją demokratyczność i dobre imię w świecie po hitlerowskiej hańbie — jest niebezpieczeństwem bez porównania mniejszym niż Związek Sowiecki, państwo o ambicjach i tradycjach imperialnych, w swoich decyzjach z nikim nie liczące się i mające wypróbowane metody asymilacji innych narodów, a przy tym posługujące się totalną i rewolucyjną doktryną komunistyczną.

Kardynalnym punktem polskiego programu politycznego powinno być *wyłączenie się z bloku sowieckiego przy każdej sposobności, która się po temu nadarzy, i stopniowe włączenie się do jednoczącej się gospodarczo i politycznie Europy*. Jakież dwanaście lat temu mogło się to wydawać mrzonką. Dziś nią bynajmniej nie jest. Powrót Polski do Europy nie może nastąpić bez uprzedniego lub jednoczesnego uregulowania kompleksu spraw polsko-niemieckich. Wymagać to będzie od ludzi, którym to zadanie przypadnie w udziale, talentu, zręczności i rozwagi — cnót w ciągu dwudziestolecia kuso reprezentowanych pośród przedstawicieli improwizowanej z natury rzeczy dyplomacji polskiej.

O granicy zadecyduje wtedy polski atut posiadania na obecnych ziemiach zachodnich niewątpliwej większości polskiej, wrosniętej mocno w teren, oraz naturalne prawo każdego narodu do wyrównania szkód i strat za stwierdzony zamiar jego wyniszczenia. Mimo wszystko co można powiedzieć pozytywnego o dzisiejszych Niemczech, nie przekreśli to faktu, że Hitler doszedł do władzy i rządził przez 12 lat z woli większości narodu niemieckiego.

Jeżeli nie popełnimy grubych błędów, nasze racje będą musiały być uznane za słuszne a status terytorialny na ich podstawie istniejący od roku 1945 za fakt nieodwracalny. Zanim to nastąpi czas gra na zachodzie na naszą korzyść, a granicy na Odrze i Nysie nic obecnie nie zagraża. Oczywiście, nikt nie zaprzeczy temu, że inicjatywa niemiecka w sprawie uznania tej granicy znacznie złagodziłaby nieunikniony bieg rzeczy.

Mity i straszaki

Tempo biegu rzeczy w świecie jest zdumiewająco szybkie. Jednych to fascynuje, innych wpędza w stan dezorientacji, bezradności i strachu. Może to kiedyś doprowadzić do tego, że i fizyczna i mentalna struktura człowieka nie wytrzyma ciężaru dzieła, które sam stworzył. Dziś człowiek jeszcze panuje nad rozpętaną materią, lecz słabsze jednostki odpadają.

Wśród każdej zapewne emigracji zauważyć się daje — a wśród polskiej na pewno — zjawisko, które nazwać by można *opóźnionym myśleniem*. Często, słuchając przemówień i dyskusji, wydaje mi się, że oglądamy i oceniamy rzeczywistość oczami z lat 1945 albo i wcześniej.

Spóźnieni optymiści wciąż liczą na wszechpotężny w ich mniemaniu „Zachód”, a opóźnionym pesymistom wydaje się, że, przeciwnie, panowanie sowieckie nad wschodem Europy jest długotrwałe i nawet w perspektywie wielu dziesiątków lat nieusuwalne. Polacy muszą przeto z tym się pogodzić, a wobec niebezpieczeństwa niemieckiego rewizjonizmu wyżyć się nawet takich manier, które by mogły wzbudzić nieufność „starszego brata” moskiewskiego. Nastroje tego rodzaju nurtują wśród niemałej części emigracji, choć rzadko są otwarcie wypowiedzane. Emigracja jest przy tym zniechęcona obojętnością owego mitycznego „Zachodu” do sprawy polskiej i immobilizmem swoich uznanych przywódców, jest więc łatwiejsza na odbiór głosów płynących z innych stacji nadawczych.

Do października 1956 naturalna i zrozumiała tęsknota za ojczyzną krzyżowała się z negacją panującego tam systemu. Od jesieni roku 1956 względny liberalizm w tzw. PRL i wymiana wizyt pomiędzy emigrantami a krajowcami zaciera ostre różnice w stosunku emigranta do tego systemu i do jego obiektów — przeciętnych obywateli, którzy z pracy na niższych tego systemu szczeblach żyją i, oczywiście, z nim, jako z niezastąpionym pracodawcą się liczą. „Kajający się” list dziesiątka profesorów polskich sprzed paru miesięcy jest najlepszą tego ilustracją.

Przyszłość Polski zależy w największej mierze od rozwoju stosunków w świecie, ale na ten rozwój — w tym lub innym kierunku — oddziałują silnie ludzie nawet bardzo od nas dalecy. Bardzo słuszną uwagę robi na ten temat Walther Kolmar w swej książce „Communism and Colonialism” (str. 137), omówionej przez Mieroszewskiego w nrze 199 „Kultury”:

„Przed ludzkością stoi wielka alternatywa. Albo nacjonalizm afrozjatycki ideologicznie wkroczy na teren Związku Sowieckiego i spowoduje jego dekolonizację, albo komunizm zburzy ten nacjonalizm ideologicznie i politycznie i tym samym uratuje sowiecki kolonializm”.

Jest w tym wiele prawdy. Ale niemniejszą jest prawdą, że od wewnętrznej dynamiki narodów przymusowo trzymany w mniejszej lub większej podległości — kulturalnej i politycznej — los ich samych i imperium sowieckiego zależy najwięcej.

Kruchości wewnętrznej imperium sowieckiego nie ochronią ani zdobycze techniczne ani pociski nuklearne i wszelkie inne apokaliptyczne bronie współczesne, straszne na odległość, ale obosieczne obok własnego domu ich posiadacza. Bardzo słusznie pisze Mieroszewski, że piętą Achilleśa sowieckiego imperium jest jego charakter kolonialny. Kolonie sowieckie nie są za morzami, lecz oplatają metropolię bezpośrednio wieńcem z trzech stron. Zaciskająca to kolonialne imperium obręcz może obluźniać się stopniowo lub pęknąć nagle pod działaniem sił wewnętrznych lub zewnętrznych, czy też obydwu naraz. Proces tego obluźniania się jest już rozpoczęty w państwach satelickich i w każdym z nich w różnym stopniu zaawansowany. „PRL” która przed 8 laty proces ten jednocześnie z Węgrami rozpoczęła, jest dzisiaj, zdaje się, na szarym końcu. Przyczyną tego odpadania jest większa jej zależność od Moskwy wskutek szeregu przyczyn, m.in. wyolbrzymionego przez samych komunistów polskich straszaka niemieckiego.

Mieroszewski należy do tego pokolenia dwudziestolecia, dla którego Rosja, jej język i historia były bardziej egzotyczne niż Ameryka lub kraje Bliskiego Wschodu. Tylko nieznajomość ducha Rosji, tego co prof. Marian Zdziechowski nazwał *maksymalizmem duszy rosyjskiej*, mogła podyktować taki frazes jak „rozładowanie wschodnio-europejskiego i rosyjskiego historycznego kompleksu lęku w stosunku do Niemiec”. Ta ahistoryczna teoria powstała na tle hitlerowskiego fenomenu i dążeń Stalina do porozumienia z *każdymi* Niemcami. Przedtem, od czasów Fryderyka II, króla pruskiego i cara Pawła III czyli od końca XVIII w. aż do tragedii omyłek, jaką była wojna 1914 roku, nic poważniejszego nie zakłócało współdziałania Prus i Rosji w sprawach europejskich.

Mieroszewski jest w dobrym towarzystwie. Ten sam błąd w ocenie polityki moskiewskiej popełniają i George Kennan i Arnold Toynbee. Nie mogę tu rozszerzać tego tematu. Mogę tylko skierować tych co chcieliby przestudiować mistyczne źródła rosyjskiego imperializmu do pism Aleksandra Brücknera, Mariana Zdziechowskiego, Jana Kucharzewskiego, Karsawina, Mereżkowskiego, Bierdiajewa, a przede wszystkim Lwa Tołstoja i Teodora Dostojewskiego.

Czytając o tym strachu nuklearnej potęgi sowieckiej przed podzielonymi Niemcami, stawiałem sobie pytanie: dlaczego nie odwrotnie? Dlaczego państwo 220 milionowe, uzbrojone po zęby, druga po Ameryce potęga nuklearna w świecie, ma drżeć ze strachu przed państwem 54-milionowym, przedzielonym od Rosji dwoma jej satelitami i zależnym w zakresie obrony od Amerykanów? Przy tym członka NATO i EWG, wbrew którym jakkolwiek z jego strony awantura nie jest do pomyślenia. A jednak ta teoria jest podejmowana i powtarzana przez poważnych publicystów, mimo że jawnym jej celem jest upozorowanie polityki sowieckiej w stosunku do Berlina, Niemiec w ogóle, a także Polski i Czechosłowacji.

Spośród satelitów strach przed Niemcami istnieje rzeczywiście w Polsce i — w mniejszym stopniu — w Czechosłowacji. Jest to strach przed jakąś nieokreśloną przyszłością, systematycznie podsycany przez rządzącą grupę. Rozszerzając to uczucie własnego strachu na inne państwa satelickie, stwarzamy sobie jeszcze jedną iluzję. Na Węgrzech, w Rumunii i Bułgarii nie ma żadnych oznak strachu przed Niemcami. Te narody mają dość innych realnych kłopotów, aby miały się zajmować tak mało aktualnymi problemami jak agresja niemiecka. W tym więc punkcie nie powinniśmy sobie stwarzać złudzeń co do „kompleksu lęku wszystkich narodów wschodniej Europy przed Niemcami”, bo w krytycznej chwili mogą one przynieść bardzo wielkie rozczarowania.

Dekolonizacja Rosji

Los państw satelickich zależy nie od fikcyjnych obaw Moskwy przed Niemcami, lecz od stopnia *imperialistycznego obciążenia* ich przez sowiecką metropolię. Państwa satelickie, może z jedynym wyjątkiem Bułgarii, mają niewątpliwą obawę przed imperialistycznymi, odśrodkowymi tendencjami Moskwy. Istnieniu ich nikt nie przeczy, a historia Komekonu daje przekonujący przykład. Tendencje te występują silniej lub słabiej, zależnie od sytuacji międzynarodowej. Sprzyja takim zapędom na przykład: ewentualny układ globalny amerykańsko-sowiecki, lub niepowodzenie procesu integracji zachodniej Europy; hamuje je: postęp tej integracji, zaostrenie się konfliktu z Pekinem itp.

Usunąć zupełnie to obciążenie może tylko *dekolonizacja Rosji*, która musiałaby poprzedzić europeizację Rosji, jeżeli przez europeizację rozumieć wejście jej do grona państw europejskich w celach pokojowego współżycia.

Mieroszewski ma rację gdy pisze że „bliżej jest Polsce czy Węgrom do statusu republiki radzieckiej, niż Ukrainie do statusu państwa satelickiego”. („Kultura”, nr 5/199 z roku 1964). Ale państwa satelickie, mimo wszystko, trudno przyrównać do kolonii. Zależność ich od metropolii nie jest instytucjonalna, lecz polityczna. Instytucjonalnie łączy państwa satelickie z Moskwą tylko sojusz polityczny i wojskowy. W Warszawie lub Pradze nie ma gubernatora czy namiestnika z ramienia Moskwy, mianującego rząd i rozwiązującego tzw. sejm.

Nawet zmiana ustroju komunistycznego na demokratyczny nie zdołałaby uczynić tych państw samodzielnymi. „Istotą okupacji czy semi-okupacji nie są garnizony... lecz możliwość bezpośredniej interwencji” słusznie nadmieniał Mieroszewski w 7/8 (117/118) numerze „Kultury”. Rzeczywistą wolność może przywrócić państwom satelickim tylko zaniechanie przez Związek Sowiecki polityki imperialistycznej, czyli dekolonizacja Rosji.

Ale co oznacza dekolonizacja Rosji?

Polityka imperialistyczna polega na dążeniu do panowania nad innymi narodami wbrew ich woli, niezależnie od ideologicznej nadbudówki, którą się temu dążeniu nadaje. A więc dekolonizacja Rosji Sow. może nastąpić w drodze zrealizowania przez nie-rosyjskie republiki związkowe Związku Sowieckiego prawa samostanowienia — w taki sam sposób jak to się stało po I wojnie światowej z podległymi narodami Europy, a po II wojnie światowej — z kolonialnymi narodami Afryki i Azji, z których niejeden znajdował się na znacznie niższym stopniu rozwoju narodowego i cywilizacyjnego, niż narody nie-rosyjskie ZSSR. Kolarz w cytowanej już książce pisze:

„Jest to stan rzeczy zupełnie nienaturalny, że takie kraje jak Irak, Libia lub Kongo korzystają z niepodległości i są reprezentowane w Organizacji Narodów Zjednoczonych, podczas, gdy ten sam status niezawisłego czynnika w życiu międzynarodowym nie przysługuje Litwie, Azerbejdżanowi i Uzbekistanowi”.

Trudno sobie wyobrazić, aby ta rażąca dyskryminacja narodów Związku Sowieckiego mogła długo się utrzymać, mimo fikcyjnej teorii o istnieniu „narodu sowieckiego”, który pozostanie zapewne nieosiągalnym celem polityki komunistycznych wodzów imperium moskiewskiego.

Gdyby pewnego dnia wpadli oni na pomysł uczciwego zastosowania paragrafu 13 obowiązującej w Związku Sowieckim konstytucji, znaczna liczba narodów ZSSR, szczególnie stanowiących enklawy w masie rosyjskiej zdecydowałyby się być może pozostać w jakimś związku prawnopolitycznym z Rosją, budzącą ich zaufanie. Dobrowolna dekolonizacja państw demokratycznych na zachodzie — Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji Belgii i in. dotyczyła ich posiadłości zamorskich i wyraziła się w nadaniu im pełnej niepodległości, przy faktycznym zachowaniu nieraz związków gospodarczych i kulturalnych — raczej czasowych. Ale kolonie rosyjskie są terytorialnie związane z metropolią i w pojęciu Rosjan stanowią organiczną część „socjalistycznej Wielkiej Rosji”. Wielu z nich chciałoby zapewne ją gruntownie przebudować, ale bez pozbywania się części składowych, choćby miały one klasyczne cechy kolonii. Dlatego też dobrowolna dekolonizacja imperium moskiewskiego jest mało prawdopodobna. Trzeba pamiętać, że jednym z najkrwawszych i najokrutniejszych w historii wojny domowej w Rosji w latach 1918-1921 było stłumienie powstania muzułmańskich narodów tureckich (Basmaczi) przez chłopów i robotników rosyjskich, czyli element kolonizatorski.

Rzeczywiste rozwiązanie kolonialnego problemu Rosji można sobie wyobrazić dopiero *in extremis*, czyli w wypadku przewagi sił dążących do radykalnych zmian nad siłami oporu. Tak czy inaczej, dekolonizacja Rosji oznacza nie tylko uwolnienie się państw satelickich spod władzy Moskwy, lecz również emancypację polityczną narodów Związku Sowieckiego. Państwa zachodnie uprawiają względem nich politykę strusią z obawy by nie

zaszkodzić koegzystencji. Ale to nie odwróci biegu zegara dziejowego w przeciwnym kierunku.

„Europeizacja” Rosji

Większość opinii polskiej i wielu publicystów odmawia Rosji miejsca w Europie. Dopatrują się w niej czegoś szczególnie heterogenicznego, na poły azjatyckiego, jakiejś mieszanek plemion ugrofińskich z odpryskami wschodnich Słowian, resztkami Pieczeniegów, Połowców i Chazarów, a później Tatarów i Tiurków. Ale wszystkie narody europejskie — i my wraz z nimi — jesteśmy jakąś mieszaną. Na poły przez nieznaną Rosji, na poły przez odruchową niechęć, manifestujemy na każdym kroku lekceważenie i traktujemy z góry jej cywilizację i dzieło historyczne.

Jest to o tyle uczuciowo zrozumiałe, że sami padliśmy ofiarą tego dzieła i nasza wyższość cywilizacyjna nas od klęsk nie uchroniła. Mając jednak od wieków do czynienia z tym odrębnym — ale europejskim — fenomenem, jakim jest od XVII wieku Rosja, powinniśmy byli wypracować solidną, obiektywną znajomość tego historycznego rywala i groźnego sąsiada. Powinniśmy byli tę naszą gruntowną wiedzę uczynić powszechną i zaufania godną w Europie. W rzeczywistości jesteśmy tam uważani za stronniczych i mało wiarogodnych rusycystów.

Istnieje głęboka różnica pomiędzy stosunkiem Polaka do swej ojczyzny — Polski, a stosunkiem Rosjanina do jego „wielkiej rodiny”, Rosji. Polak widzi — i rozumie — Polskę jako państwo narodowe, polskie. Każdy Rosjanin, monarchista czy komunista pojmując, rzekłbym — *czuje*, Rosję jako imperium, bynajmniej nie ograniczając jej do granic etnicznie rosyjskich. Ogrom przestrzenny Rosji był zawsze istotnym elementem psychiki rosyjskiej i politycznego myślenia zarówno dumnego arystokraty księcia Andrzeja Bółkońskiego, jak też biedaka, starego żołnierza Płaton Karatajewa z „Wojny i pokoju” Tołstoja. Od końca XVIII wieku *patos wielkości* jest stałą nutą wspaniałej literatury i poezji rosyjskiej.

Dla rosyjskiego monarchisty Polska była drugim klejnotem w koronie carów, dla rosyjskiego demokraty — członkiem wolnych narodów wschodniej Europy, przewodzonej przez „wielką i demokratyczną Rosję”, dla Lenina czy Stalina — 2-gą hierarchicznie republiką związkową ZSSR. Wszędzie i zawsze — sny o potęgę. „Drugi rozbiór Polski w roku 1793, który oddawał Niemcom miliony Słowian i najlepsze porty polskie — ubolewa historyk rosyjski (Constantin de Grunwald: „Trois siècles de diplomatie russe”, Paris, Calmann-Lévy) — zniszczył stuletnie dzieło rozciągania hegemonii rosyjskiej na całe, żywotne państwo polskie”. Ten plan powzięty przez Piotra Wielkiego po traktacie w Nysztadt (1721) zrealizowany został przez Stalina w 224 lata później.

Wskutek klęsk doznanych w ostatniej fazie historycznej rywalizacji z Rosją komunistyczną jesteśmy skorzy do uczuciowej oceny wszystkiego co rosyjskie. Ocena ta jest odruchowo ujemna — nie tylko ocena polityki, ale i cywilizacji, literatury i sztuki, wyraźnie odgradzane od europejskich.

Tego rodzaju poglądy na Rosję prezentują m.in. prof. Oskar Halecki lub Szwaјcar, Gonzague de Reynold. Ale najnowsi badacze na zachodzie, jak np. prof. Marc Szeftel z uniwersytetu w Waszyngtonie jest zdania, że pod względem kulturalnym Rosja na równi z innymi krajami kontynentu, jest od połowy XVIII wieku „prowincją francuskiego Oświecenia”. W długoletniej walce o drogowskaz w rozwoju Rosji w XIX wieku pomiędzy „Słowianofilami” a „Zapadnikami” skrzyżowały się ze sobą dwie doktryny, z których żadna nie odniosła pełnego zwycięstwa ale i nie poniosła całkowitej klęski. Nagła przerwa w tym równoległym z Europą rozwoju Rosji nastąpiła w roku 1917 wskutek rewolucji bolszewickiej. Ale ktokolwiek z Polaków, znających język rosyjski, w latach poprzedzających rewolucję, zetknął się z warstwą wyższej inteligencji rosyjskiej, uzna niezawodnie ten typ duchowy i obyczajowy za bardzo bliski sobie. I w tym tkwi jego *niebezpieczeństwo kulturalne* jeżeli staje się politycznym hegemonem.

W wyniku rewolucji Piotra Wielkiego i przeniesienia stolicy do Petersburga rozpoczął się proces zbliżenia Rosji z resztą Europy i udziału w polityce europejskiej. Rewolucja bolszewicka, wytraciwszy zeuropeizowaną inteligencję, zawróciła do Moskwy, wstrzymała bieg zegara dziejowego i zamknęła ten naród we własnej skorupie. Od 1955 roku wpływy cywilizacji zachodniej przedostają się do Rosji znowu różnymi drogami.

Z biegiem czasu dokładne wieści o dekolonizacji całych kontynentów dotrą do najdalszych zakątków sowieckiego imperium, gdzie pod płaszczykiem komunistycznej jedności i solidarności kryje się faktyczne władztwo narodu rosyjskiego nad innymi narodami. Nastanie czas wielkiej dobrowolnej reformy, albo nowe „smutnoje wremia”.

W swojej kilkakrotnie już cytowanej książce Walther Kolarz przypomina oficjalną doktrynę sowiecką, obowiązującą od XVI kongresu partii z roku 1930. Według tej doktryny, „rozkwit kultur narodowych w swej formie i socjalistycznych w treści prowadzi do dalszego etapu ich rozwoju, w którym grupy narodowe, jako odrębne jednostki kulturalne i językowe, zanikną i zleją się w jedną wspólną socjalistyczną kulturę z jednym wspólnym językiem”.

Inny wybitny sowietolog, Borys Lewickij, zwracał uwagę w nr. 12 „Kultury” z roku 1963, że XX zjazd partii zarządził zahamowanie stalinowskich metod rusyfikacji, ale w roku 1958 nastąpił znowu zwrot wstecz a wśród młodych pisarzy w republikach związkowych podniosły się głosy o „unowocześnienie ich kultur narodowych”. Proces emancypacji narodów nierosyjskich,

wbrew wszelkim próbom jego zahamowania, postępuje naprzód. Są i inne po temu oznaki, że najbardziej intensywna w historii Rosji akcja rusyfikacyjna w latach obejmujących 33-letni okres pomiędzy dwoma powszechnymi spisami ludności ZSSR (1926-1959) dała ujemne rezultaty. (M.in. wymienia je amerykański sowietolog prof. Pipes w „Problems of Communism tom XIII, nr 1 z roku 1964).

Warunki pokoju

Rozwój i krzepnięcie w ramach własnej kultury i tradycji trzech republik związkowych ZSSR graniczących z Polską — Litewskiej, Białoruskiej i Ukrainskiej — jest elementarnym wymogiem polskiego interesu politycznego. Ich poczucie narodowej i politycznej odrębności — to *wał ochronny Polski od wschodu*. Polska nie może ukrywać swego najwyższego zainteresowania w rozstrzygnięciu zagadnień tego terytorium, którego znaczna część wchodziła w skład I i II Rzeczypospolitej.

Gdy wygasną dawne rekryminacje i zagoją się rany — przyszłe pokolenia będą miały oczyszczone z chwastów pole do dalszej rozbudowy wzajemnych stosunków. Należałoby to zadanie im pozostawić. Pierwsze wolne pokolenie spełni to co do niego należy, jeżeli stworzy klimat dla zastąpienia uczuć niechęci i nieufności wzajemną przyjaźnią i zaufaniem.

Jeżeli proces emancypacji narodów nierosyjskich imperium sowieckiego odbędzie się pokojowo, bez wstrząsów towarzyszących zazwyczaj takim przemianom, Polska mogłaby odegrać w tym procesie rolę uczciwego pośrednika i zapobiec przez to ostrym starciom.

Ale czy naród rosyjski i jego dzisiejsi władcy mogą przestać myśleć kategoriami komunistycznej Mekki lub trzeciego Rzymu, czy mogą wyzbyć się, za przykładem innych dawnych mocarstw kolonialnych, swoich ambicji, wyrażonych w formule Stalina „jeden świat socjalistyczny — jedna kultura — jeden język?”. Od odpowiedzi, jaką niedaleka przyszłość będzie musiała dać na to pytanie, mające dziś wydźwięk pobożnego życzenia lub ironii, zależy powrót do Europy wschodniej połowy naszego kontynentu, a wraz z nią powrót Polski do normalnego wolnego życia i jej stosunki z naturalną, zdekolonizowaną, być może, naprawdę federacyjną Rosją.

Państwa europejskie są obecnie na bardzo wyboistej drodze, wiodącej do jakiegoś, bliżej jeszcze nieokreślonego związku nie tylko gospodarczego ale i prawnopolitycznego, dla współpracy i wspólnej obrony przed zagrożeniem ze strony świata egzotycznego, pełnego niespodzianek. Tak przynajmniej może rozumować i taką nadzieję żywić — optymista.

Jaka alternatywa stanie przed Rosją, jeżeli przyszłość przyniesie rację optymiście? Kontynuować niepewny, obosieczny pod-

bój, utrzymując siłą swój „sztuczny, poniżający i nietrwały” związek, jak go trafnie określa prof. Hugh Seton-Watson i mając z tyłu rozgrzewający się kocioł chiński? Czy szukać porozumienia z Europą, do której geograficznie, a od lat 250 również historycznie należy, na podstawie przyjęcia zasad już tam zrealizowanych? Rzecz jasna, że do związku państw europejskich może wejść tylko Rosja wyzbyta z ukrytych intencji rozbicia go lub narzucenia własnego ustroju, oraz nie wlokąca za sobą ubezwłasnowolnionych, wbrew pozorom, narodów.

Wiele ze swoich „snów o potędze” potrafilo Polacy, pod wpływem klęsk i rozczarowań, złożyć do narodowego sanctuarium minionej wielkości. Rosji, której potęga wyrosła na podbojach i dosięgła apogeum w roku 1945, trudniej być może wyzbyć się swoich ambicji, swojej mistycznej „misji dziejowej”, o której tyle jest w jej literaturze politycznej. Ale nasza epoka dowiodła, że dążenie do wolności człowieka i narodu nie daje się zneutralizować, stłumić, niczym, nawet przez dostatek. Prezydent biednej Gwinei, niedawnej kolonii francuskiej, zamknął to w słowach: *I prefer poverty in freedom to abundance in slavery.*

„Jedyną i niedielimą” Rosja komunistyczna czy inna nie oprze się w epoce wyzwania się narodów, nawet cywilizacyjnych niedojrzałych, dążeniom mas ludów pierścieniem otaczających jej terytorium właściwe. Im prędzej świadomość konieczności tej wielkiej reformy przeniknie do następców dzisiejszych władców Rosji, tym łatwiejszy stanie się jej pokojowy powrót do Europy i pogrzebanie wielowiekowej waśni polsko-rosyjskiej.

Kazimierz OKULICZ

Post-scriptum. — Już po napisaniu powyższych uwag przeczytałem w nrze 9/203 „Kultury” artykuł Juliusza Mieroszewskiego „Refleksje ćwierćwiecza”, stawiający bez ogródek tezę „porozumienia z Rosją na rozsądnych warunkach”. Redaktor „Kultury” zgodził się na zamieszczenie w następnym numerze pisma mojego listu otwartego w tej sprawie.

Najnowsza historia Polski

1944 - 1964

Książka H. v. Krannhalsa „Der Warschauer Aufstand 1944” spowodowała napisanie niniejszych uwag, których większość jednak od dłuższego już czasu prowadziła niezależny, aczkolwiek abstrakcyjny żywot. Dlatego uwagi te nie mogą być uważane za recenzję z książki Krannhalsa.

Idąc za Krannhalsem, w epopei powstania warszawskiego wyróżnić można cztery wątki: polski, sowiecki, niemiecki i zachodnio-aliancki. Warto poświęcić im kolejno nieco uwagi, zaczynając od wątku polskiego.

W swej książce „Niemcewicz od przodu i tyłu”, która uzyskała niemały rozgłos w przedwojennej Polsce, Karol Zbyszewski postawił odkrywczą tezę, że upadkowi Polski w 18-ym wieku winni byli Polacy, mianowicie ci, którzy dysponowali losem kraju: szlachta, kler, magnateria, król. Autor nie dostał tytułu doktorskiego za tę historyczną pracę, która wywołała burzę sprzeciwów ze strony reprezentantów panującej szkoły myślenia polskiego. Według tej szkoły teza Zbyszewskiego, jak przysłowiowy koń, kuleje na wszystkie cztery kopyta, tzn. na szlachtę, kler, magnaterię i króla; prawdziwe źródło upadku Polski to Rosja, Prusy, Maria Teresa, a w dalszej kolejności Francja, Anglia, nawet papież...

W stosunku do powstania warszawskiego Jerzy Kirchmayer jest wskrzesicielem szkoły Zbyszewskiego. Pisze on: „Faktem... najbardziej bezspornym jest, że powstanie zakończyło się całkowitą klęską... Nie trzeba przysłańca tego faktu zwalaniem winy na innych — na Armię Radziecką, na rządy i dowództwa anglosaskie, na PKWN i I Armię Polską. Trzeba stanąć na stanowisku, że kto poniósł klęskę, ten jest winien...”.

Przytoczone powyżej tezy trudno uznać za prawa historycz-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ne, mające powszechne zastosowanie. „Upadek” Irlandii w 17-m wieku nie był zawiniony przez Irlandczyków: podbicie kraju przez Anglię musiało się dokonać bez względu na takie czy inne zachowanie się ludności miejscowej. Tak samo nie można obciążać Kościuszki winą za to, że poniósł klęskę. Kościuszko podjął walkę w ostatnich pięciu minutach niepodległości, gdy alternatywa przedstawiała się z niezwykłą krańcowością: zachować Polskę przez zwycięstwo zbrojne, albo stracić ją w każdej innej ewentualności, łącznie z ewentualnością pozostawania nieaktywnym. Przenosząc sytuację na warunki nowoczesne równało się to alternatywie: albo walczyć albo iść do pieców Oświęcimia. Ważnym czynnikiem w 18-to wiecznej sytuacji był jeszcze fakt, że obiektywnie istniały pewne perspektywy powodzenia akcji zbrojnej w związku z czym akcja ta rozważana *a priori*, nie była daremną.

Z kolei trzeba przyznać, że tezy Zbyszewskiego i Kirchmayera są szczególnie trafne w odniesieniu do poszczególnych sytuacji omawianych przez tych autorów. W swoim czasie Polska miała warunki do zlikwidowania — kolejno — niebezpieczeństwa zarówno pruskiego jak rosyjskiego. Niebezpieczeństwo to w ogóle powstało dopiero na skutek wewnętrznego niedowładu, a potem zupełnego rozkładu Polski. Polska okresu przedrozbiorowego była takim samym „chorym człowiekiem Europy” jak Turcja przed pierwszą wojną światową. Rozbiory musiały dla wielu ludzi wyglądać jak nieodzowna akcja sanitarna za pomocą chirurgii. Historiografia polska pomija tę stronę zagadnienia, natomiast obficie szafuje obrazem trzech sępów, rzucających się na powaloną Polskę. Ale sępy nie pożerają żywego lwa i jeśli historia ma służyć celom praktyczno-dydaktycznym, to w pierwszym rzędzie zastanowić się trzeba, jak się to stało, że Polska znalazła się w pozycji leżącej. Tu znajduje się wielka racja Zbyszewskiego.

Racją Kirchmayera jest, że Bór-Komorowski to nie Kościuszko. Akcja, którą kierował, zakończyła się klęską przede wszystkim dlatego, że była akcją chybioną. Koncepcją powstania skierowanego „wojskowo przeciw Niemcom, a politycznie przeciw Sowie-” opierała się na założeniu, że któraś ze stron walczących poświęci swoje interesy i poprze powstańców. Po doświadczeniach za Buguem, a zwłaszcza w Wilnie, jasne było, że koncepcja taka mogłaby być ewentualnie do przyjęcia dla Niemców, nigdy zaś dla Rosjan. Ponieważ Niemcy były stroną przegrywającą wojnę, kierownictwo polskiego podziemia takiego rozwiązania nie chciało, natomiast wyobrażało sobie taki rozwój wypadków:

1. Niemcy walczą z Polakami, jeśli przegrywają — zobacz 3 poniżej — w przeciwnym razie
2. Rosjanie przejmują walkę z Niemcami, pozwalając w międzyczasie Polakom zająć miasto

3. Polacy proklamują *urbi et orbi* swą władzę nad Warszawą (a więc symbolicznie nad Polską), deklarując się jednocześnie jako przeciwnicy Rosji i jej przybudówki — PKWN.
4. W wypadku ingerencji PKWN popartego przez Rosję — Polacy protestują, a „Świat” reaguje odpowiednio (przypuszczalnie powtarza się sytuacja z 2. powyżej: „Świat” przejmując walkę z PKWN i Rosją, Polacy przejmują miasto i kraj itd.).

Przykładem tego myślenia są dwie depesze wysłane przez Komendę Główną AK z Warszawy. Pierwsza, datowana 2 sierpnia, brzmi: „żądamy, ażeby Sowiety przyszyły nam z pomocą w formie natychmiastowego natarcia z zewnątrz”¹; druga, z 14 sierpnia, ma tekst następujący: „Oddajemy część ppłk. Kotwiczowi i jego poległym towarzyszom”. Niepoinformowanym należy wyjaśnić, że śmierć ppłk. Kotwicza była ostatnim epizodem epopei wileńskiej, w ciągu której oddziały AK zostały najpierw zastawione swojemu losowi w walce z Niemcami o Wilno, potem zaś albo aresztowane i wywiezione na Syberię, albo (ppłk Kotwicz) rozbite i wybite. Data drugiej depeszy nie znaczy, że losy AK na wypadek zetknięcia z Rosjanami były nieznane w Warszawie przed powstaniem. Już od początku lipca zaczęły do Warszawy napływać niedobitki z okręgu wileńskiego, przedstawiając sytuację w barwach o wiele czarniejszych niż to jest zrobione np. w oficjalnej historii AK². Tak np. w drugiej połowie lipca odbyło się zebranie informacyjne dla Pułku Legii Akademickiej. Na zebraniu tym dwóch uciekinierów z okręgu wileńskiego wstrząsnęło umysłami zebranych opisem zdradzieckiego i okrutnego postępowania Rosjan, którzy w momencie wybuchu powstania cofnęli się, dając Niemcom wolną rękę, a gdy powstańcy mimo to miastem zawładnęli, wkroczyli aby więzić i mordować oddziały polskie. Padło pytanie: „Czy w opinii panów wywoływanie dalszych akcji powstańczych ma jakikolwiek cel?”. Pytanie to zostało uchylone przez prowadzącego zebranie oficera, ale nie było wątpliwości jak brzmiałaby odpowiedź zapytanych. Co ważniejsze, taka sama odpowiedź narzucała się wszystkim obecnym na zebraniu.

Gdyby doświadczenia za Buguem były niewystarczające lub niemiarodajne, nie brakło ich również z terenu bliższego. Natychmiast po pojawieniu się Czerwonej Armii nad środkową Wi-

1. Cytowane za Kirchmayerem (*Powstanie Warszawskie*, W-wa, 1960). Krannhals przytacza tekst tej depeszy również za Kirchmayerem, natomiast nie jest ona wspomniana ani przez Borkiewicza (*Powstanie Warszawskie*, W-wa 1957) ani w londyńskich „Polskich Siłach Zbrojnych w drugiej Wojnie Światowej”, t. III.

2. PSZ III, str. 606-616.

słą i utworzeniu przyczółka pod Warką oddział „Kraski”, będący najbardziej na wschód wysuniętą kompanią Pułku Dzieci Radomia, wyprawił łączników na drugą stronę rzeki. Z trzech łączników dwóch zostało natychmiast przez Rosjan powieszonych, a trzeci, po pełnej niezwyklej przygód ucieczce, przeprawił się z powrotem i dołączył do macierzystego oddziału. Wiadomość o tym rozeszła się w błyskawicznym czasie wśród oddziałów między górami Świętokrzyskimi a lasami Chojnowskimi. Była też ona do dyspozycji każdego, kto chciałby się nią interesować w Warszawie.

Przypuszczalnie dowództwo polskie przykładało znacznie mniejsze znaczenie do intencji Sowietów, a większe do stanowiska „świata”. To odwrócenie elementów ważnych i nieważnych wynika z odosobnienia umysłowego czynników krajowych i malejącego zaangażowania uczuciowego polskich władz na emigracji. Na skutek izolacji okupacyjnej Polacy w Polsce zatracili rozeznanie sytuacji zewnętrznej i ulegli kompleksowi „państwa środka”. Kompleks ten powodował, że widzieli cały świat w układzie polocentrycznym. Wydawało im się przez to, że każde drgnienie w polskim środku wywoła reperkusje, które potęgować się będą w miarę oddalania od środka.

Z drugiej strony Polacy emigracyjni, wiele lepiej predysponowani do właściwej oceny sytuacji, nie żyli już życiem kraju. W depeszach przesyłanych do kraju nie widać troski o zachowanie masy biologicznej narodu, wprost przeciwnie często zawierają się w nich mniej lub bardziej zawołowane żądania akcji zbrojnej, a więc akcji skierowanej przeciw interesom narodu. Ci ludzie, jeśli umieli myśleć, nie mogli ulegać złudzeniom, musieli rozumieć, że Polska na razie przestała się liczyć, że została odrzucona na śmietnik przez byłych sprzymierzeńców zachodnich i że jedynym rozsądnym kursem dla Polaków pozostał kurs na Czechosłowację. Kurs ten nakazywał schować rogi, oszczędzać siły, czekać przez okres całych pokoleń. Ale kto będzie myślał kategoriami narodu, gdy mu płacą sto funtów miesięcznie za popieranie „sprawy sprzymierzonych”? Gdyby Polacy chcieli zaoszczędzić kilka tysięcy swoich żołnierzy, Monte Cassino broniłoby się może tydzień dłużej i kosztowałoby paręset ton bomb więcej. Mimo to nikt nie zaprotestował, nikt nie ustąpił z Rady Jedności Narodowej, gdy zdecydowano mimo wszystko poświęcić życia ludzkie.

To samo, tyle że na większą skalę, powtórzyło się w Warszawie. Nie znalazł się nikt odważny i ofiarny, kto by w sposób zdecydowany przemówił przeciwko niepotrzebnemu rozlewowi krwi. Zamiast tego złożono prawo do decydowania w tej *par excellence* politycznej sprawie Komendzie Głównej AK, a więc ciału, które ani nie było polityczne, ani nie miało najbardziej

elementarnych informacji na tematy ogólnie polityczne. Od lat toczy się debata na temat odpowiedzialności za ten fakt. Wyciągając pewne wydarzenia i daty można wykazać, że to Mikołajczyk parł do powstania, aby mieć atut w rozmowie ze Stalinem, można też wykazać sabotaż na pewnych szczeblach, który implikowałby bądź to gen. Tatara, bądź agentów rosyjskich, bądź angielskich. Tymczasem w tym okresie Anglicy zdjęli już rękawiczki i cały polski rząd w Londynie unikał wszystkiego co mogłoby narazić mu gospodarzy. Faktem jest, że nikt nie zażądał i nie dopilnował wysłania ostrzeżenia do kraju. Gen. Sosnkowski, który ostrzeżenie napisał, ale wyjechał do Włoch przed jego wysłaniem, jest doskonałym przykładem unikania odpowiedzialności.

Na przykładzie działań podziemnych w ogóle, a powstania warszawskiego w szczególności widać, że system „państwa na obczyźnie” kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwa, gdyż władze emigracyjne stopniowo zatracają poczucie jedności z narodem i zaczynają myśleć o swoim własnym interesie jako o interesie narodu. Nie jest to oczywiście sytuacja wyjątkowa, bo każdy rząd, a nawet każdy mały biurokrata myśli kategoriami „państwo to ja”, różnica jest jednak w tym, że gdy rząd jest na miejscu to po pierwsze bardzo często występuje jedność interesów w sensie „co dobre dla rządu, jest dobre i dla społeczeństwa”, a po drugie społeczeństwo może w ostateczności pozbyć się rządu. Natomiast przy geograficznym rozdziale rządzących od rządzonych każdy rozdział interesów sprawia, że rządzący stają się w końcu w najlepszym razie emigrantami a w najgorszym agentami.

Jak powiedziano uprzednio, w sytuacji Kościuszki walka mogła przynieść wszystko, bezczynność oznaczała utratę wszystkiego. W ówczesnej sytuacji „wszystko” równało się pewnemu stanowi prawnemu mającemu — zwłaszcza na krótką metę — stosunkowo niewielki wpływ na życie poszczególnych jednostek. W wojnie totalnej „wszystko” nie jest już bynajmniej abstraktem, a rzeczą jak najbardziej konkretną, zawierającą w sobie mienie i życie każdego obywatela. Odpowiedzialność przywódców w wojnie totalnej jest ogromna. Dlatego „oficjalna” historia powstania (PSZ III, „The Secret Army” Bora-Komorowskiego itd.) poświęca dużo miejsca wykazaniu, że powstanie było konieczne, bo

1. przez szybkie opanowanie miasta zaoszczędziłoby mu się losów obiektu frontowego;
2. ludność paliła się do walki i trudno było ją powstrzymać;
3. groziła dywersja sowiecka;
4. Niemcy chcieli zniszczyć ludność przez zaciąg 100.000 ludzi do kopania rowów.

Argument pierwszy wygląda w świetle późniejszych wydarzeń na pomyłkę w ocenie sytuacji. W rzeczywistości było znacznie go-

rzej. O ile w dniach 20-27 lipca można było zaobserwować zbliżanie się frontu i raptowne, a nawet paniczne wycofywanie się Niemców, to każdy przytomny mieszkaniec Warszawy, zwłaszcza taki który nie bał się przejść przez most na Pragę, musiał zauważyć zmianę po 27-mym. „Huk dział”, do którego takie znaczenie przywiązują wymienione publikacje można było usłyszeć już tylko w wyobraźni, wytworem wyobraźni musiał też niewątpliwie być ten czołg sowiecki na Pradze z relacji gen. Chruściela, który stał się ostatecznie wydarzeniem pieczętującym datę wybuchu powstania. Ruch powrotny dużych stosunkowo mas wojsk niemieckich był ogólnie widoczny. Książka Krannhalsa daje pełne wyjaśnienie tego zjawiska, oparte na dzienniku 9 Armii niemieckiej: bitwa pancerna, tocząca się od szeregu dni koło Wołomina, zakończyła się zwycięstwem Niemców, którzy rzucili dwie jednostki (m.in. dywizję pancerną „Hermann Goering”) na ten odcinek. Jeśli więc chodzi o ten punkt to powstanie wybuchło albo o tydzień za późno, albo dużo za wcześniej.

Argument drugi należy do kategorii argumentów niesprawdzalnych, opartych na subiektywnej ocenie subiektywnych elementów. Można z powodzeniem utrzymywać, że argument ten postawiony został *ex post* i że nie ma on uzasadnienia w istniejącej wtedy sytuacji, czego dowodem jest brak nakazów czy apeli o spokój skierowanych przez władze podziemne do ludności.

Argument trzeci jest bez znaczenia i stoi w sprzeczności z innymi wypowiedziami autorów używających go; autorzy ci słusznie podkreślają znikomą rolę wojskowego ruchu podziemnego komunistów w Warszawie.

Pozostaje argument czwarty o prowokacyjnej roli Niemców. Opiera się on na fakcie, mianowicie na zarządzeniu Niemców, aby 100.000 mieszkańców Warszawy stawiało się do kopania rowów. Ludność zarządzenie zignorowała i Niemcy zapowiedzieli represje. Według Krannhalsa Niemcy za wszelką cenę chcieli uniknąć prowokacji, natomiast twierdzi, że przypuszczalnie nastąpiłaby ewakuacja ludności, co uważa za zrozumiałe pociągnięcie w ówczesnym stanie rzeczy. Można zgodzić się, że odpowiedzią Niemców na zignorowanie mobilizacji kopaczy byłaby ewakuacja. Nie ulega wątpliwości, że bez względu na intencje Niemców ewakuacja działałaby prowokacyjnie. Chodzi tylko o to, jaką postawę powinno wtedy zająć kierownictwo podziemia. Trzeba zacząć od stwierdzenia, że ewakuacja nie oznaczała wcale zagrożenia krańcowego, które wymagałoby maksymalnej interwencji. Był już przykład Wilna, gdzie połączenie ewakuacji z powstaniem poważnie przeszkodziło powstaniu i naraziło na straty ludność. Jeśli rzeczywiście naczelnym motywem władz polskich była chęć uniknięcia strat wśród ludności cywilnej, to oczywiście najlepiej było

pozwolić na odpływ ludności cywilnej, a dopiero potem robić powstanie. Jeśli zaś chodziło o niedopuszczenie do wyniszczenia ewakuowanej ludności przez Niemców, to można było zorganizować ewakuację przez Pragę w kierunku południowo-wschodnim i dać ludności osłonę z oddziałów AK celem szybkiego przerwania się na stronę sowiecką.

Wydaje się, że władzom podziemnym mniej chodziło o bezpieczeństwo ludności, a bardziej o zatrzymanie jej w Warszawie w charakterze rezerwuaru sił na wypadek powstania i w charakterze świadków mających świadczyć przed Bogiem, historią i zwłaszcza przed „światem” o tym, kto ma prawo do Polski i jej stolicy. Wydaje się również, że Stalin przeląkł się tego świadectwa i zdecydował się pogrzebać świadków i całą sprawę w ruinach zburzonej przez Niemców Warszawy.

Tak jak *raison d'être* pism Kirchmayera („1939 i 1944”, „Powstanie Warszawskie”) jest wykazanie, że Rosjanie absolutnie nie mogli kiwnąć palcem w bucie, aby pomóc Warszawie, tak dla Krannhalsa jednym z podstawowych tematów jest teza o perfidii Rosjan, którzy „sprowokowawszy powstanie, nie pomogli mu jednak potem, a pomoc z zewnątrz albo utrudnili albo nawet zabronili”. Na tym też tle opiera się motto całej książki autora niemieckiego: „Tu — a nie gdzie indziej — rozpoczęła się „zimna wojna” między Wschodem a Zachodem” (Teske, Srebrne Zwierciadła). Teza Kirchmayera nie da się utrzymać. Trzeba to stwierdzić z prawdziwym żalem, bo książki jego zawierają wiele uwag słusznych i cennych, i uwolnienie ich od balastu beznadziejnej obrony polityki Stalina znacznie podwyższyłoby ich wartość. To, że Sowiety chwilowo przegrały bitwę pod Wołominem i że środek ich frontu był znacznie wysunięty przed skrzydła jest faktem bezspornym. Ale zajęcie Warszawy w okresie powstania nie wymagało przegrupowań i nowych sił, nie przedłużało frontu. Zresztą ważniejsze od dość jałowych argumentów pseudo-strategicznych są intencje rosyjskie jasno wyrażone w zakazie lądowania samolotów alianckich. Nie działały tu już żadne momenty poza złą wolą. Odbite światło pada na tę sprawę również ze współczesnych rosyjskich historii drugiej wojny światowej. W książkach tych zawarte są tezy, że w chwili wybuchu powstania warszawskiego Armia Czerwona udzieliła mu pomocy, podczas gdy alianci zachodni czekali z uwolnieniem Pragi czeskiej i Paryża, pragnąc, aby Niemcy wytępiłi ludność tych miast. Znajomość wypadków w Pradze i Paryżu upoważnia do odwrócenia całości tego argumentu, co w rezultacie doprowadzi do stwierdzenia, że Armia Czerwona czekała z uwolnieniem Warszawy, pragnąc wytępienia ludności tego miasta przez Niemców.

Z powyższego nie wynika, aby wszystko, co na ten temat

pisze Krannhals, było słuszne. Przesadą jest twierdzenie, że tu zaczęła się zimna wojna. Powstanie było tylko jednym z serii incydentów między Sowietami a Zachodem i to wcale nie incydem największym. Były incydenty związane z dostawami materiałów wojennych dla Rosji, były przemowy amerykańskich mężów stanu do niepodłączonego mikrofonu, była Persja, Grecja Berlin... Na miano prawdziwego początku zimnej wojny lepiej zasługuje Persja, gdzie w 1945 r. państwa zachodnie zagroziły wyrzuceniem siłą wojsk sowieckich, ociągających się z opuszczeniem kraju. Stalin wtedy skapitulował, co dodało animuszu wielu nieperskim politykom. Po swej ucieczce z Polski Mikołajczyk wyraził się, że gdyby Polska miała naftę tak jak Persja, to demokraci nie musieliby z niej uciekać³. Można by zaryzykować twierdzenie, że w takim wypadku znalazłaby się przypuszczalnie i pomoc dla powstania warszawskiego. W tym momencie całe zagadnienie jest dygresją i łączy się jedynie z poprzednio omawianym tematem oceny wartości przywódców polskich, jako że fakt posiadania względnie nieposiadania przez Polskę ropy powinien być im znany i uwzględniony w ich kalkulacjach. Wracając do Krannhalsa, to nie można zgodzić się z nim, że sowiecka propaganda radiowa miała większy wpływ na wywołanie powstania, jak również że zajęcie Pragi przez Sowiety we wrześniu zrobione było tylko po to, aby nie dopuścić do podpisania kapitulacji. Nie jest pewne, czy Sowiety w ogóle wiedziały o rozmowach kapitulacyjnych. W każdym razie decyzja posunięcia się na odcinku Warszawy była zbyt ważna pod względem politycznym, aby mógł ją pobierać lokalny generał. Sprawa musiała być zadecydowana w Moskwie znacznie wcześniej, zanim przyszła ewentualna wiadomość o rokowaniach. Z drugiej strony w tym okresie powstania polityka władz powstańczych nie była funkcją posunięć rosyjskich, a niemieckich. Główną przyczyną zerwania przez powstańców rokowań kapitulacyjnych była obawa, czy Niemcy dotrzymają postanowień układu, czy nie wystrzelają wszystkich powstańców. Obawa ta była zupełnie uzasadniona, czego Krannhals zdaje się nie dostrzegać, a o czym będzie jeszcze mowa poniżej.

Stosunek Sowietów do powstania jest sprawą kluczową całego zagadnienia. Stalin dał przed powstaniem wielokrotnie i zdecydowanie wyraz swej nieugiętej wrogości do (wolnej) Polski. Decydując się na powstanie warszawskie, Komenda Główna wyzwała go na arenę międzynarodową. Ryzyko było wielkie. Gdyby Armia Czerwona zdecydowała się wkroczyć natychmiast, mogłaby wygarnąć zniechęconego przeciwnika jak lisa w jamie. Marny byłby wtedy los AK. Wbrew pobożnym życzeniom „świat wcale

3. Źródło prywatne.

nie patrzył na nas”, świadków nie było. Kto by mógł stwierdzić, że paru znakomitych generałów nie zginęło wcale w bohaterskiej walce z faszystowskim okupantem, ale od kul z bratnich pepesz? Tak jak to odbyło się i przedtem i potem, masa powstańcza powędrowałaby na Syberię. Ludność i miasto ocalałyby. Ale Stalin zaważał się, nie był widocznie pewny czy *tête-à-tête* będzie aż tak intymne. Ostatecznie zdecydował zostawić wykonanie zadania Hitlerowi, co nieco zmieniło końcowy bilans: miasto zginęło, ludność poniosła ogromne straty, ale połowa powstańców wraz z dowództwem ocalała w niemieckich obozach jeńców, a sześćdziesiąt dwa dni walk powstańczych dały podstawę trwałej legendzie.

Z punktu widzenia czytelnika niemieckiego — a może i autora — głównym tematem książki Krannhalsa są okrucieństwa niemieckie i odpowiedzialność za nie. Książka ma zadanie apologetyczne, przy czym apologia prowadzona jest rozsądnie i przekonująco. Wątek apologetyczny przewija się przez całość pracy, niekiedy nawet wychodzi poza jej ramy, jeżeli tylko nadarza się okazja do wprowadzenia elementów mogących poprzeć sprawę niemiecką. Tak np. na stronie 30 autor wyraźnie odstępkuje od tematu, aby przypomnieć, że w 1939 Polacy dokonywali egzekucji na Niemcach, w wyniku czego ok. 14.000 ludności niemieckiej w Polsce straciło życie. Jest to właśnie pierwsza linia obrony: podkreślenie wzajemności stosunków i działania łańcuchowego prawa odwetu, przy czym zawsze można rozpocząć opis łańcucha od polskiego ognia. Już sam układ książki zawiera tę zasadę, gdyż najpierw opisany jest „Polski opór po 1939”, a dopiero potem „Niemiecka Polityka Okupacyjna w Polsce”. Przypadkowo lub celowo w umyśle czytelnika tworzy się przekonanie, że „polityka” była skutkiem „oporu”, a nie na odwrót. Wrażenie to osłabiają, ale go nie usuwają, pojedyncze zdania w rodzaju: „Fakt, że polskie organizacje podziemne mogły rozwinąć się w ciągu 5 lat z małej, zamaskowanej grupy oficerów do rozmiarów co najmniej 350.000 ludzi wszystkich stanów, że w dodatku mogły one od 1942 r. być coraz pewniejsze poparcia ze strony ludności, jest smutnym wynikiem niemieckiej polityki okupacyjnej na terenie byłego państwa polskiego”. Trzeba przyznać, że autor opisuje niektóre bardziej smutne wyniki niemieckiej okupacji w Polsce, o czym będzie mowa za chwilę. W sprawie metody opisywania zjawisk w Polsce jako odwetów podkreślić należy niewspółmierność ważonych obiektów. I tak sprawa polskich mordów na ludności niemieckiej w 1939 (autor nie wspomina, że w totalnej wojnie, planowanej przez Niemcy, ludność ta miała pewne zadania bojowe) przedstawiona jest jako zapalnik rozpalający przez szereg lat ogień nienawiści w pewnej przynajmniej części społeczeństwa niemieckiego i powodujący „wielką falę egzekucji masowych w

Polsce, która miała trwać aż do r. 1944". Takie przedstawienie sprawy zupełnie fałszywie ocenia psychologię ludzką. Ujawnienie mordów i choćby największe propagandowe rozdmuchanie tego faktu może zapalić umysły do jednorazowej, spontanicznej akcji. Można by więc tłumaczyć w ten sposób rzeź Polaków w Bydgoszczy, względnie jakikolwiek sporadyczny akt terrorku popełniony w czasie kampanii wrześniowej czy też po niej, ale nie długofalowy program masowych mordów obliczony na lata.

To samo odnosi się do wydarzeń w ciągu okupacji łącznie z powstaniem. Po każdym wyliczeniu okrucieństw niemieckich Krannhals z reguły znajduje przykłady okrucieństw polskich. W sumie powstaje pasztet z okrucieństw, robiony metodą jeden koń plus jeden zajac. Jest symptomatyczne, i to już chyba nie tylko dla książki, ale dla całej atmosfery dzisiejszych Niemiec, że autor w ogóle potrafi przedstawić czytelnikowi taką parę równoważników: z jednej strony wojska niemieckie po zdobyciu dzielnicy liczącej około ćwierć miliona ludności mordują masowo (ocenę liczby zabitych w wysokości 38.000 autor kwestionuje) ludność cywilną bez względu na płeć i wiek; z drugiej strony powstańcy mordują pewną ilość (najwyżej kilkuset, bo Krannhals sam zauważa, że nie można mówić o tysiącach) żołnierzy, których mają dobre podstawy posądzać o współdziałanie w powyższej zbrodni.

Druga linia obrony to podział na Niemców złych i dobrych. Jest to teren dobrze znany ze współczesnego piśmiennictwa niemieckiego. Niemcy źli to Hitler i Himmler oraz ich bezpośredni wykonawcy na terenie Polski. Działalność Niemców złych ujęta jest w ogólnikach — np. opis sytuacji w Generalnej Gubernii daje autor słowami memoriału Franka (strona 40):

- „1. zupełnie niewystarczające wyżywienie...;
2. konfiskata dużej części polskich majątków ziemskich... wysiedlanie polskich chłopów...;
3. pozabawienie własności w sektorze przemysłowym...;
4. masowe aresztowania i rozstrzeliwania przez zastosowanie systemu zbiorowej odpowiedzialności;
5. ostre metody rekrutowania do pracy;
6. daleko idący paraliż życia kulturalnego;
7. zamknięcie szkół średnich i wyższych;
8. usunięcie polskiego wpływu we wszystkich dziedzinach administracji;
9. obcięcie wpływu kościoła katolickiego...”

Poza tym negatywna działalność Niemiec w Polsce postawiona jest jak gdyby poza ramami książki dzięki użyciu następującej formuły: „Niemieckie przedstawienie narodowo-socjalistycznej polityki polskiej w 2 wojnie światowej dokonane zostało przez M. Broszta i zakłada się tutaj, że jest ono znane”. Za to poświęca

autor dużo miejsca wykazaniu odrębności Niemców dobrych („stosunek między wojskiem z jednej strony a SS i policją z drugiej pełen jest wstrętu i nienawiści”) i wyliczaniu całego szeregu wypowiedzi, w których pojedyncze osoby nie solidaryzują się z ogólną linią polityki Niemiec. W związku z tym autor daje również swój przyczynek do tej krytyki, w którym niewątpliwie zawiera się jego ciche niespełnione życzenie (Krannhals pochodzi z Łotwy): „Wpływ polityki ludnościowej Himmlera poważnie przekraczał ramy polskiego ruchu oporu. Miał on i ma aż do dzisiaj głębokie znaczenie światowo-polityczne, gdyż... pogrzebał on w 1945 nadzieje na uwolnienie od stalinizmu wielu setek tysięcy Rosjan”. Snując dalej podobne dygresje można by dodać, że gdyby Hitler ukuł swoją teorię rasową na gruncie mistycznego braterstwa krwi niemieckiej i żydowskiej i walczył o prymat dla wielkiego narodu niemiecko-żydowskiego, to może byłby dziś Führerem kuli ziemskiej... Dygresje takie są równie jałowe dziś, co teoretyczne krytyki pisane do szuflady przez poszczególne osoby dwadzieścia lat temu. Niekiedy zresztą zawierają one materiał skądinąd interesujący. Tak np. dla byłych mieszkańców Generalnej Gubernii rewelacją będzie informacja, że Frank był w zasadzie zwolennikiem łagodnego kursu wobec Polaków, że o taki kurs toczył podjazdową walkę z Himmlerem i że w walce tej osobiście ucierpiał. Z kolei dużo pikanterii, zwłaszcza dla byłych Akowców, zawiera informacja, że mianowanie w listopadzie 1943 r. Koppego szefem policji GG było lokalnym zwycięstwem Franka nad Himmlerem. Należy jednak wrócić do tematu, którym jest podział na dobrych i złych Niemców. Streszczając tło przedpowstaniowe Krannhals idzie dość utartym szlakiem, stawiając wojsko po prawicy, a policję (zwłaszcza Gestapo) po lewicy. Implikacje tego podziału są proste: wojsko było pobożne, ergo reprezentowało gros narodu, ergo gros narodu było niezaangażowane i niewinne. Rozumowanie to załamuje się na przeszkodzie typu „im lepiej, tym gorzej”. Jeśli ogromna większość była przeciwko, to kto dawał siłę hitleryzmowi? Im więcej dobrych Niemców tym trudniej wytłumaczyć to dziwne zjawisko. Dochodząc do opisu samego powstania Krannhals posuwa się jeszcze dalej. Niemcy w zasadzie należeli do kategorii niewinnych. W swej masie „żołnierze i członkowie Waffen-SS nie orientowali się w praktykach niemieckiej 'polskiej polityki'”. Część policji była wprawdzie odpowiedzialna za te praktyki, ale policja niemiecka w owym czasie zawierała — jak twierdzi Krannhals — wiele elementów obcych, głównie ukraińskich. Tak więc, poza stosunkowo nielicznymi członkami policji, jedyni Niemcy winni czynów nieludzkich to brygada Dirlewangera, która jednak nie jest typowa, bo wszyscy wiedzieli, że składa się z kryminalistów.

Poza tym większość morderstw popełnili nie-Niemcy: Polak Kamiński i dowodzona przez niego „Rosyjska Armia Wyzwoleńcza”, Azerbejdżanicy, Ukraińcy, Kozacy, Volksdeutsche.

W tej części przewodu popełnia Krannhals szereg błędów: nazywa Borkiewicza źródłem „sowiecko-polskim”; mylnie tłumaczy Borkiewicza (zdanie Borkiewicza „były to zapewne jednostki z dywizji pancernej Hermann Göring” tłumaczy „były to na pewno jednostki...”, co ma służyć do podważenia wiarygodności źródła); odrzuca jako „niesprawdzone” prawie wszystkie wypadki pędzenia ludności cywilnej przed czołgami (z natury rzeczy czołgi miały obsługę wojskową raczej niż policyjną), podczas gdy do dzisiejszego dnia można na wszystkich kontynentach świata znaleźć ludzi, którzy albo sami byli pędzeni, albo widzieli pędzonych — na Piusa, na Woli, a przede wszystkim w okolicy Muzeum Narodowego; robi nie do przyjęcia założenie, że mordowanie ludności męskiej nie jest mordowaniem ludności cywilnej; kategorycznie odrzuca zarzut aby wojsko mordowało ludność cywilną, z czym można by się ewentualnie zgodzić tylko wtedy, gdyby się przyjęło jego powyższą definicję ludności cywilnej. W rzeczywistości żołnierze broniący mostu Kierbedzia mordowali wszystkich mężczyzn w zajętej przez siebie części Powiśla północnego, tak samo postępowała załoga mostu Poniatowskiego na Powiślu południowym, podobne wypadki zdarzały się chyba każdej wojskowej jednostce niemieckiej w Warszawie.

Trzecią linią obrony jest pomniejszanie rozmiarów zbrodni niemieckich w Polsce zarówno w okresie przedpowstaniowym jak i w czasie powstania. Oczywiście autor nie ma obowiązku wchodzić w szczegóły okresu wcześniejszego, zwłaszcza przy założeniu znajomości innej książki na ten temat. Ale lepiej byłoby nie mówić nic niż mówić część faktów. Za przykład metody Krannhalsa niech posłuży opis akcji A-B z maja-czerwca 1940 r. Zaareztowano wtedy, według niego — „około 2.000 członków polskiego ruchu oporu (albo osób uważanych za takowych), i zaznaczono do aresztowania dalszych 1500” (strona 38). Nikt by się z tego nie dowiedział, że w pierwszym rzucie akcji A-B wzięto z ulic metodą „kto popadnie” około 40.000 ludzi, którzy stali się załącznikiem słynnego później obozu oświęcimskiego.

W ocenie rozmiarów egzekucji ludności cywilnej w okresie powstania Krannhals stosuje następującą metodę: ogranicza zasięg tych egzekucji w przestrzeni do dzielnic Wola-Ochota, a w czasie do jednego dnia, 5 sierpnia; odrzuca cyfrę wymordowanych podaną przez Borkiewicza (38.000) i podstawia niższą (15.000), która w ostatecznym bilansie stanowić ma 10% strat ludności Warszawy. Ocena wysokości strat ludności Warszawy według różnych kategorii jest zadaniem niemożliwym, nawet dla ludzi,

którzy spędzili w Warszawie całe powstanie. Człowiek nie ma poczucia wielkich liczb, nie wie co to jest 10 lub 20 tysięcy ludzi. Łatwiej byłoby właśnie robić szacunki metodą odwrotną: wiemy jak wyglądała walka w tym tragicznym okresie; wiemy że wysoki procent — powiedzmy 30% — strat pochodził z rozstrzelani; skoro więc ogólna ilość strat jest znana i wynosi w przybliżeniu 150.000 ludzi, to w egzekucjach zginęło około 50.000 osób. Jak słusznie zauważa Krannhals nie chodzi o dokładną liczbę ofiar, ważny jest fakt „jako taki”. Byłoby z wielką korzyścią dla książki, gdyby tę samą zasadę zastosował do całości zagadnienia niemiecko-polskiego w latach 1939-45. Wypominanie wszystkich wypadków zabicia z za węgła niemieckiego policjanta przez Polaków nie jest częścią „faktu jako takiego”, tak samo jak nie jest nią mozolne wyliczanie wypowiedzi anty-hitlerowskich. Faktem zasadniczym jest, że hitlerowska „Polenpolitik” stawiała zupełnie jasno cel likwidacji narodu polskiego i że naród niemiecki cel ten przyjął. Brzmi to jak straszliwe oskarżenie, a w rzeczywistości jest to, primo, fakt stwierdzalny niemal empirycznie — czy ktoś pamiętający Niemcy z 1940 r. mógłby z czystym sumieniem twierdzić, że Hitler nie wygrałby wtedy pięcioprzymiotnikowych, demokratycznych wyborów? Przecież jeszcze długo po wojnie zastraszająco wysoki procent opinii niemieckiej wypowiadał się rok po roku, że „główną winą Hitlera było przegranie wojny”.

Secundo, za faktem tym stoi ważna zasada antropologiczna, która ma powszechne zastosowanie, i o której nigdy nie należy zapominać. Zgodnie z zasadą tą okoliczności kształtują człowieka, który „jako taki” jest masą bez kształtu i wyrazu — może być dobry albo zły, a przeważnie jest nijaki. Działanie okoliczności związanych z wieloletnią inflacją i depresją umożliwiło rozwój hitleryzmu. Działanie hitleryzmu pogłębiło tendencje anty-humanitarne. Dołączyła do tego seria zwycięstw, która wytworzyła atmosferę absolutnej władzy i nieodpowiedzialności. „Absolutna władza deprawuje absolutnie”. Mamy tego inne liczne przykłady. Cała historia Rosji Sowieckiej to historia młodzieńczych idealistów przeistaczających się pod wpływem narkotyku nieograniczonej władzy w tyranów. Dlaczego nie spojrzeć na historię Niemiec hitlerowskich w sposób obiektywny i zamiast zaprzeczać temu, co było, nie wyciągnąć pouczających wniosków na przyszłość? Zasadniczą lekcją płynącą z epizodu hitlerowskiego jest uznanie niebezpieczeństwa płynącego z jednoci celów narodowych. Pojęcie jednoci celów było jedną z głównych broni Hitlera. Niemcy przegrały pierwszą wojnę, bo nie były *zielbewusst*, Niemcy wygrają następną wojnę jeśli będą *zielbewusst*. Cel narodowy był nadrzędnym nad moralnością, szczęściem i życiem jednostek, nad każdym

innym celem. Naród niemiecki chciał dać Hitlerowi *fair chance*, chciał być dla próby — *zielbewusst*. Próba wypadła negatywnie. Nie dlatego, że wojna została przegrana, ale że konsekwencje jednoci celów okazały się nie do przyjęcia. Doktrynę nadrzędności celów narodowych trzeba ujawniać i zwalczać. Istnieje w Niemczech niebezpieczeństwo, że przemilczanie, pomniejszanie i przeinaczanie faktów odnoszących się do niemieckiej akcji na wschodzie w czasie ostatniej wojny jest dziś dyktowane względami na jakieś nadrzędne cele narodowe — ewentualne prawa uchodźców, ewentualne wytyczenie granic. Wyciągając właściwe nauki z okresu poprzedniego trzeba jasno stwierdzić: nie ma nadrzędności celów, prawda jest ważniejsza od rzekomego interesu narodowego.

We wstępie swej książki Krannhals stawia sobie za zadanie przeanalizowanie „czterech win”: 1. Winy Polaków (w wywołaniu i kontynuowaniu niepotrzebnego powstania); 2. winy Niemców, 3. winy Rosjan, 4. winy aliantów zachodnich w nieprzyjściu powstaniu z pomocą. Pierwsze trzy tematy rozważa on zgodnie z planem, czwarty natomiast wymyka mu się, staje się przybudówką tematu trzeciego i w końcu zatracza zamierzony charakter. Autor zmienia bowiem ton i przestaje mówić o winie, tak jakby słowo to nie miało już w tym kontekście zastosowania. Tymczasem tak nie jest, bo można mówić o winie sprzymierzonych i to w sensie podwójnym. Po pierwsze w sensie moralnym. Winą sprzymierzonych było naleganie, względnie zachęcanie Polaków do wyczynów (wyskoków) zbrojnych, gdy jasne było, że wartość militarna tych akcji była znikoma, a straty z niej wynikłe — przerażające. Odnosi się to do całości działań podziemnych, Warszawa zaś jest szczytową manifestacją absurdu, pełnym ujawnieniem rachunku strat i zysków. Przykładem zupełnego lekceważenia życia ludzkiego innych narodów jest propozycja niewielkiego powstania ogólnego — „najwyżej dwa miesiące” — na ziemiach polskich uczyniona gen. Sosnkowskiemu przez Anglików w 1944. Propozycja ta ujawnia typ myślenia z minionego okresu w historii mocarstw zachodnich, kiedy to wartość Murzynów i innych podludzi była nieskończenia niższa od własnych supermanów. W toku doświadczeń związanych z rozkładem imperiów typ ten zanika zarówno w Anglii jak i we Francji, choć niewątpliwie utrzymuje się w USA.

Winą państw zachodnich było utrzymywanie fikcji „Karty Atlantyckiej”, co wprowadzało niektóre narody w orbitę nie z tej ziemi i groziło im zniszczeniem. Jest wysoce prawdopodobne, że ten czy inny angielski mąż stanu w rozmowie z tym czy innym polskim politykiem dał jasno do zrozumienia, że Karta Atlantycka już zrobiła swoje i może odejść. W warunkach wojennej łączności było to jednak niewystarczające. Trzeba było pozytywnego ostrze-

żenia skierowanego bezpośrednio do zaangażowanych narodów, aby myślały bardziej o własnej skórze.

Była też wina w sensie kirchmayerowskim, tzn. w sensie osiągnięć praktycznych. Zwalczenie powstania warszawskiego metodą Stalina oznaczało zatrzymanie frontu wschodniego na blisko pół roku. W ostatecznym rachunku powstanie, a więc i cała działalność podziemna w Polsce, nie tylko nie skróciła wojny, ale ją przypuszczalnie przedłużyła. Tak więc liczenie na zyski z działań powstańczych okazało się błędem, który zaszkodził również samemu liczącemu. Na dalszą metę straty poniesione przez małoważnych, *expendable*, cudzoziemców w Europie Środkowej odbiły się rykoszetem i na krajach zachodnich. Tak się złożyło, że Europa środkowa stała się pierwszym etapem ekspansji sowieckiej, ofiarą rzuconą przez zachód dla zyskania na czasie. Im większe siły własne tej ofiary, im większy opór stawi ona absorbującej sile Rosji, tym zysk na czasie większy. Wyniszczenie sił żywotnych Polski jeszcze przed rozpoczęciem tego procesu na pewno przybliżyło datę następnego uderzenia Rosji. I wreszcie należy rozważyć ujemne reperkusje tej klęski na bardzo długą metę. Po odrzuceniu wszystkich listków figowych konflikt Zachód-Wschód jest zwyczajnie konfliktem cywilizacji z barbarzyństwem. Oczywiście zarówno „cywilizacja”, jak i „barbarzyństwo” są pojęciami względny. Mówi filozof angielski, że wszyscy jesteśmy zaledwie trzy kroki od barbarzyństwa. Racja, ale nie przeszkadza to nam bać się tych, którzy są tylko dwa i pół kroku od barbarzyństwa. Boimy się nie upaństwowionych kolei i upaństwowionego przemysłu, a ludzi, którzy nie wykazują minimum sensu prawa i praworządności, minimum szacunku dla jednostki ludzkiej; ludzi, których jednym wrzaśnięciem „zdrada” lub „szpieg” można pobudzić do reakcji motłochowych; ludzi dla których fizyczna inność lub umysłowy nonkonformizm jest zbrodnią; ludzi wśród których niepokojąco łatwo jest rekrutować kandydatów do zabijania „przeciwników”, „cudzoziemców”, „innowierców” wraz z ich żonami i dziećmi.

Zagadnienie to dyskutuje się obecnie w nieco innych terminach. Toczy się mianowicie spór o to, czy „tłusty komunista jest lepszy od chudego komunisty”. W tej formie pytanie to jest trywialne i nie można na nie odpowiedzieć. Ale łatwo można by odpowiedzieć na pytanie, jak dobry jest cywilizowany komunista. Odpowiedź brzmi: cywilizowany komunista jest dokładnie tak samo dobry jak cywilizowany kapitalista. Wydaje się, że w sporze między zwolennikami tłustych a chudych komunistów, pierwsi wychodzą z założenia, że postęp materialny („tłuszcz”) jest *conditio sine qua non* cywilizacji. Jest to założenie słuszne, bogactwo jest jednym z czynników cywilizacyjnych. W obozie sowie-

kim nowe nabytki środkowo-europejskie reprezentują wyższą cywilizację. Nie dlatego, że są bogatsze, ale że żyły w kręgu cywilizowanych pojęć prawnych i częściowo pojęcia te sobie przyswoiły. Kraje te wykonują misję cywilizacyjną wewnątrz obozu. Obecne zmiany na lepsze zachodzące w Rosji sowieckiej są wynikiem trzech czynników: 1. Autonomicznego rozwoju społeczeństwa sowieckiego. 2. Dopływu dóbr z krajów satelickich, co zwiększa dobrobyt Rosji. 3. „Ideowego” wpływu cywilizacyjnego krajów satelickich. Trudno jest określić, który z tych czynników gra rolę najważniejszą, jasne jest jednak, że długofalowe zmiany zachodzące w Rosji są z pożytkiem dla całej ludzkości oraz że obniżenie poziomu cywilizacyjnego krajów takich jak Polska przez wyniszczenie elity ludzkiej i zasobów materialnych poprzez walki partyzanckie miało i ma skutek ujemny nie tylko dla odnośnych krajów, ale i dla całego świata.

Bohdan BRODZIŃSKI

Powstanie Warszawskie, homo quidam i von Krannhals

Pewne doświadczenia osobiste tej zimy pchnęły mnie do napisania tych stron, gdzie, *homo quidam*, poruszam sprawy drażliwe w nadziei, że wywołają może reakcję ludzi powołanych do omawiania tych spraw — myślę o polskich historykach, o uczestnikach Powstania Warszawskiego.

Pewne niemieckie wydawnictwo zaproponowało mi wydanie „Nieludzkiej Ziemi” w tłumaczeniu, prosząc mnie jednocześnie o napisanie posłowa. Propozycję przyjąłem. Chciałem obrysować w największym skrócie późniejsze losy Polaków, o których w mojej książce pisałem, biorąc jako tło naszych przeżyć w Iraku czy we Włoszech wiadomości napływające do nas z Polski. Bo te wiadomości właśnie stwarzały przede wszystkim zwartość i prężność tej „małej Polski” od Bagdadu po Ankonę. Liczyłem, że potrafię dotknąć poprzez opis okupacji niemieckiej, poprzez Powstanie Warszawskie tematu do dziś jeszcze tak trudnego jak stosunek Polaka do Niemców i Niemca do Polaków. Zdawało mi się, że to praca na parę tygodni, że elementy dla kilkunastu, najdalej kilkudziesięciu stron mam w głowie. Ale dopiero gdy się do pracy zabrałem, skonstatowałem, że zadanie przerasta moje siły i po czterech miesiącach pracy namiętej, przedzierania się przez stopy lektury przerastającej moją chłonność, odłożyłem wszystko napisane do szuflady z poczuciem porażki.

Nie wspomnienia irackie, czy włoskie, nawet nie sprawy polsko-niemieckie ujęte generalnie, ale samo Powstanie Warszawskie stanęło przede mną, wagą swoją, wymiarem i grozą, rozbijając wszelką kompozycję i zasłaniając wszystko.

Podkreślam, jestem wobec Powstania typowym *homo quidam*. W Powstaniu nie byłem, żadnego udziału w nim nie brałem, ale jest on dla mnie, jak dla każdego Polaka, jakąś datą graniczną i datą szczytową naszego polskiego losu, datą której waga dziś, po dwudziestu latach nie kurczy się w świadomości, ale jakby wciąż rośnie.

Jak niemieckiemu czytelnikowi „Nieludzkiej Ziemi”, dać odczuć w krótkim posłowie czym było, czym jest dla nas obok doświadczenia rosyjskiego nasze doświadczenie niemieckie: lata okupacji 39-45, a ponad wszystko Powstanie Warszawskie, ta walka 63-ch dni o każdy załom muru, ta zagłada zastępów ponad miarę bohaterskich bojowników, w większości wyrwanej ze szkół najofiarniejszej młodzieży, wymordowanie i wygnanie setek tysięcy mieszkańców Warszawy, ruina stolicy. Jak Niemcom dać odczuć czym dla nas były te wypadki, ta klęska wobec której do dziś nie spotykam Polaka zdolnego do beznamiętnej oceny, na którą i ja zdobyć się nie mogę.

„Na wojnie wielka klęska wskazuje zawsze na wielkiego winowajcę” — mówił Napoleon. Gdzie jest ten winowajca? Czy Wódz Naczelny polskiej armii, gen. Sosnkowski, którego stosunek do Powstania Warszawskiego w tamtych warunkach był konsekwentnie negatywny i który swego stanowiska narzucić nie mógł czy nie potrafił? Premier Mikołajczyk, który brutalnie przez Churchilla naciskany, by żądaniom Stalina uległ, chciał wierzyć ruszając do Moskwy, że właśnie Powstanie zaważyć może na tych pertraktacjach, jako argument decydujący w obronie praw Polski? Gen. Bór-Komorowski i jego sztab, który decyduje Powstania powziął, bo liczył się z możliwością załamania Niemiec, w każdej chwili, a także z zajęciem z dnia na dzień, jeżeli nie z godziny na godzinę, Warszawy przez wojska sowieckie i wierzył jeszcze, że „świat cały ma oczy skierowane na Warszawę”? Właśnie ten świat aliantów, obsypujących komplementami walczącego polskiego żołnierza, ten świat, który nas od dawna, bo już w Teheranie, poświęcił. „Świat” aliantów miał wówczas oczy zwrócone przede wszystkim na krwawe walki we Francji po desancie, na ofensywę Czerwonej Armii na całym froncie, na armady lotnictwa bombardujące Niemcy. Warszawa? — fragment, fragment poboczny, do tego niewygodny (przecież drażnił czczonego *uncle Joe*, o którego względy dbać trzeba było przede wszystkim).

A Niemcy? Dach się palił nad ich głowami, sama ofensywa Armii Czerwonej na froncie białoruskim miała zadać Niemcom straty ponad 300 tysięcy ludzi, na Zachodzie walki decydujące dla Niemiec, w Niemczech zamach na Hitlera, egzekucje i terror na sprawców, na ich rodziny, na wszystkich podejrzanych. Cóż na

tym tle znaczyła nasza walka o Warszawę? Kto w Niemczech mógł się nią naprawdę przejmować?

Rok temu ukazała się książka Ursuli von Karsdorff pt. „Berliner Auszeichnungen” — notatki z dnia na dzień, później dopełnione, dziennikarki powiązanej z kołami antyhitlerowskimi. Książkę tę zaraz przetłumaczono na francuski. Jest ona pięknym świadectwem nastrojów i przeżyć kobiety, prawdziwie ludzkiej, która oczami otwartymi patrzy na groźny, otaczający ją świat. Gotujący się zamach przeciw Hitlerowi, wywożenie Żydów, wśród których Ursula ma bliskich przyjaciół, wszystko tam jest opisane i widziane oczami wrażliwego człowieka. W całej książce nie ma Polaków, Polska nie istnieje. Powstanie Warszawy? — nie ma o nim w książce Ursuli von Karsdorff nawet wzmianki, jakby autorka nawet o nim nie wiedziała.

Jaki może być dialog między Polakiem i Niemcem jeżeli ten sam fakt historyczny jest „po jednej stronie rzeki” centralnym wypadkiem najnowszej historii, który najobojętniejszemu z Polaków łyż wyciska czy każe na cały świat pluć żółcią, a „po drugiej stronie rzeki” jest wydarzeniem w pamięci zatartym, czy wprost nieznanym?

Moje stosunki z Niemcami są zbyt nikłe, bym mógł z moich własnych doświadczeń wyciągać jakieś wnioski. Przypuszczam jednak — choć słyszę, że Tadeusz Nowakowski i Hłasko, Mrozek, a ostatnio Gombrowicz, są tam czytani, a dzisiaj w Niemczech Polacy są modni — że aspekt *polski* ostatniej wojny jest jeszcze przez Niemców uświadomiony niezmiernie powierzchownie i że Ursula von Karsdorff wcale nie jest wyjątkiem.

Otóż, w tychże Niemczech ukazała się już w 1962 roku książka „Der Warschauer Aufstand 1944” (1). Autorem jest Hanns von Krannhals. Książka ta jest wkładem do literatury wojennej, dotyczącej Polski, tak ważkim i tak pozytywnym, że zrozumieć mi trudno dlaczego prasa polska książkę tę, o ile mi wiadomo, pominięła prawie całkowicie milczeniem. Dlaczego nie spotkałem żadnej poważnej o niej pracy — chociażby recenzji. Czy do niej nie dotarłem? Bo za taką nie mogę uważać artykułu Bora-Komorowskiego w „Tygodniku Polskim” w Londynie z 16 lutego 1963 roku. Generał sam zresztą zaznacza, że nie jest to recenzja o książce Krannhalsa, a jedynie zwięzła polemika dotycząca paru punktów, które — według generała — Krannhals nieścisłe sformułował czy naświetlił. Pomimo, że dowódca Powstania znalazł w tej beznamietnej książce, w jednym drugorzędym fragmencie, „złośliwe” przekręcenie faktu, (czytając tę książkę nigdy nie potrafiłem wyczuć złośliwości, a jedynie wolę dotarcia do prawdy, niezależnie czy i komu ta prawda jest przyjemna czy nieprzyjemna) generał przyznaje, że książka ujawnia brutalne metody postępowania administracji niemieckiej i SS, potwierdza fakt, że Hitler osobiście wydał rozkaz, już po kapitulacji, doszczętnego zburzenia stolicy, uznaje, że dane te stanowią *wartościowy mate-*

(1) Bernard & Graefe Verlag, Frankfurt am Main.

riał dla badań tego okresu. Książka ta zasługuje nie tylko na omówienie, ale na przetłumaczenie na polski. Jeżeli nawet historyk polski wykryć by tam mógł (może) nieścisłości czy błędy oceny, otworzyć by to mogło dialog rzetelny między Polakami i Niemcami, którego każdy z nas powinienby pragnąć. Dla mnie, *homo quidam*, który naturalnie żadnej polemiki podjąć by się nie mógł, książka ta robi wrażenie wyjątkowe, szlachetnej woli prawdy o Powstaniu i nie umiem o jej autorze myśleć inaczej, jak ze wzruszeniem i szacunkiem.

Trafiła ona do moich rąk po przeczytaniu i przewertowaniu masy książek, dotykających Powstania. Od Armii Krajowej Bora, od wspomnień Churchilla i Mikołajczyka do najnowszej historii współczesnej Poboga-Malinowskiego, po Kirchmayera, broniącego strategicznego planu Armii Czerwonej, po napełnioną faktami i bezpośrednimi świadectwami walk warszawskich książkę Borkiewicza. Trzy książki utkwily mi najbardziej w pamięci: „Armia Podziemna” Bora-Komorowskiego, III tom „Historii Współczesnej” Poboga-Malinowskiego i książka Krannhalsa. Ta ostatnia dała mi najwięcej, zbudowana najjaśniej, przeprowadzona z największą wolą, beznamietnego obiektywizmu.

Trzy książki, trzy style.

„Armia Podziemna” Bora-Komorowskiego. Trudno znaleźć książkę napisaną szlachetniej i skromniej. Czytelnik nie wątpi ani chwili, że napisał ją człowiek, dla którego walczyć i umrzeć za ojczyznę jest sprawą całkiem naturalną. Tu nie ma, tu nie może być problemu. Autor jest w tradycji pokoleń, które także o Polskę walczyły, najczystszej wody patriotą, jest przy tym człowiekiem głęboko religijnym, katolikiem, nie tylko od niedzieli i od zwyczaju. Styl książki jest równy i gładki, opisy niezliczonych bohaterskich czynów szarych bojowców, przesiane wręczaniem krzyżów i orderów na polu walki przekazane z tak skromną ścisłością, że powinnyby trafić, i zapewne w przyszłości trafią, do antologii, do czytanek ilustrowanych przez jakiegoś współczesnego Grottera. Ale książka ta robi wrażenie jakby nie było, nie mogło być, problemów miażdżących, które były i być musiały nie tylko w masie walczących, ale bardziej jeszcze wśród samego dowództwa, które decyzję Powstania powzięło. Czytając tę książkę miałem wrażenie, że dano nam część prawdy, że przemilczeń jest zbyt wiele, dzięki czemu zamykamy ją z poczuciem, że mamy tu wersję, pisaną ku zbudowaniu młodzieży w wydaniu polskiej „Bibliothèque Rose”. Czytelnik, który się po tej książce przerzuci do „Najnowszej Historii Politycznej Polski” Poboga-Malinowskiego wpada do beczki z rozpaloną smołą, w kąpiel ognistą. Dla wielu uczestników Powstania, to książka świętokradcza, to skazanie najczystszej polskiej zryw. *Tak nie jest*. Ta „Najnowsza Historia” to dzieło nie tylko historyka, ale i dziennikarza, to historia co się coraz przeradza w okrutny pamflet. Pobóg-Malinowski pisząc te strony jest już ciężko chory. Dni jego są policzone, chce podać wszystko co zebrał, powiedzieć wszystko co wie, co go boli aż do krzyku. Czytając te strony namietnego

przeciwnika decyzji Powstania, który o ludziach, którzy decyzję tę powzięli, mówi że trzeba było ich „przynajmniej rozstrzelać”, który o Mikołajczyku pisze nie inaczej jak o zdrajcy, zachowujemy przecież przekonanie, że czytamy książkę przede wszystkim rzetelnego historyka. Nigdzie nie podejrzewamy go o drobne nawet ale świadome zafałszowanie faktów, o cięć nierzetelności historycznej. Ta gruba książka jest zasypana wprost cytowaną dosłownie dokumentacją, która na wielu stronach zajmuje więcej miejsca niż sama opowieść Poboga — daje taką obfitość surowego materiału, że czytelnik może w niej utonąć, ale może również wyrobić sobie własne zdanie, nieraz zupełnie niezgodne ze zdaniem autora książki. Przykładem Mikołajczyk, na którym Pobóg-Malinowski nie zostawia suchej nitki, a który, po przeczytaniu odnośników, telegramów, listów do Roosevelta, wypowiedzi, wychodzi lepiej, tragiczniej i szlachetniej niż Pobóg go ocenia. Obie książki są pisane pod kątem polskiej racji stanu, podporządkowane diametralnie przeciwnemu ustosunkowaniu do samej decyzji Powstania Warszawskiego. Dopiero po tych dwóch książkach i po wielu innych jeszcze, po Kirchmayerze, Borkiewiczu, trafitem na książkę Krannhalsa. Nauczyłem się z niej najwięcej. Powstanie zdało mi się tu przepracowane najszerzej, najwszechstronniej i najobiektywniej. Krannhals bardzo rzadko wyraża oceny moralne i to jakże ważąc słowa, operuje faktami, wnioski pozostawia czytelnikowi.

„Ta opowieść — pisze autor we wstępie — wyda się z natury rzeczy przede wszystkim żyjącym jeszcze głównym uczestnikom, niewygodna i brutalna (*hart*), bo dotyczy z całą świadomością całego szeregu tabu — *wszystkich uczestników*” (moje podkreślenie).

Dla mnie, Polaka, z natury rzeczy uprzedzonego do niemieckiego opracowania, dała ta książka, bardziej niż jakakolwiek inna, obraz *całości* ówczesnej sytuacji lokalnej, światowej, jak również obraz całokształtu wyrachowanego, konsekwentnego wobec Polaków, okrucieństwa niemieckiego, które niełatwo musiało być Niemcowi opisać nie przemilczając. Krannhals przypomina również krwawą niedzielę Bydgoszczy i polskie w chwili wybuchu wojny samosady nad Niemcami. Nie przesłania ich również, *ale i nie tłumaczy nimi* zbrodni niemieckich „za którymi kryła się potworna (*grauenvoll*) planowość”. Przejrzysta kompozycja książki pozwala nam wyczuć wielowarstwowość wydarzeń, którą również znajdujemy u Poboga-Malinowskiego, ale nieskończenie mniej systematycznie podaną. Sceny walk ulicznych, plany ataków oddziałów Dierlewangera, Reinefartha, Kamińskiego, zbrodniarzy i sadystów rzuconych przez Himmlera na Warszawę, niemieckie komunikaty sztabowe, nawet telefoniczne sprawozdania z walk, aż po niedrukowane dotychczas wypowiedzi Himmlera i listowną i telegraficzną korespondencję między Churchilllem, Rooseveltem a Stalinem, sprzeciwiającym się kategorycznie lądowaniu samolotów alianckich na terenach zajętych przez Rosję.

Krannhals, nie ukrywając nic z polityki niemieckiej w Polsce, podkreśla, że wyższe i średnie dowództwo Wehrmachtu, sprzeciwiało się jak mogło i gdzie mogło polityce zagłady Polaków, wspomina również generałów niemieckich, którzy sami się narażając próbowali uratować Warszawę popowstaniową od całkowitego zburzenia.

Dlaczego książkę tę specjaliści od Powstania Warszawskiego pominęli jakby milczeniem? „Kultura” rozpięła konkurs na esej krytyczny o książce Krannhalsa. Termin nadsyłania prac minął i żaden esej nie nadszedł. Może tylko termin był zbyt krótki? Zdaje mi się jednak, że grać tu muszą inne powody. Książka ta zbyt wyraźnie obciąża Sowietów, ujawnia dokumentarnie ówczesną ich rolę, by można ją było w Polsce omówić obiektywnie. Sam Krannhals, który przyjechał do Polski w 1963 r. dla badań archiwalnych, został po paru tygodniach pracy, z dnia na dzień, z Polski przez milicję usunięty.

Młodsze pokolenie na emigracji tak samo zresztą jak i w kraju, przeważnie nie zna niemieckiego, bardzo mało kto książkę Krannhalsa czytał. Odpowiedzieć na nią, poważną recenzją mógłby tylko historyk głęboko znający przebieg Powstania, lub może jego uczestnik. Ale recenzja taka jest trudna, bo Krannhals jest historykiem wielkiej klasy i żaden polemiczny artykuł po powierzchnym przewertowaniu książki nie mógłby się ostać.

Jest tu może jeszcze inny powód — zasadniczy. Cała propaganda reżymu w Polsce stoi między innymi na wygrywaniu antyniemieckich uczuć Polaków. Nasze antyniemieckie uczucia są silne, bo wspomnienia lat okupacji jeszcze się nie zatarły. Demagogia antyniemieckiej propagandy i przeliczowywanie się wzajemne w antyniemieckości, „zobowiązuje” nawet pisarzy reżymowi niechętnych. Czy nie dotyczy to również wielu z nas, na emigracji? Mówić o Niemcach spokojnie, z wolą dialogu i zrozumienia się wzajemnego, nie jest łatwo. Nawet na emigracji boimy się być mniej antyniemieccy niż propaganda reżymowa w Polsce. Kiedy zamierzałem napisać postowie do „Nieludzkiej Ziemi”, opowiedziałem o tym przyjacielowi z Polski. „Na miłość Boską, nie pisz Pan nic o Niemcach ani dla Niemców. *Co byś nie napisał*, będziesz okrzykany za neofaszystę”. Nagonka na Gombrowicza, zdrajcę i sprzedawczyka na podstawie faktu, że pojechał do Berlina, na podstawie *sfałszowanego* wywiadu, jakże jest charakterystyczna. Czy nie czas próbować wyjść z tego traumatyzmu, w który nas, Polaków, wrzuciło Powstanie Warszawskie, próbować polsko-niemieckie stosunki ustawić na nowo, nie na zmaćonej polityczną demagogią platformie ani na rutynie wzajemnej wiekowej wzgardy czy nienawiści?

Książka Krannhalsa, jej *ton*, omówienie jej, czy przetłumaczenie, może mogłoby przybliżyć chwilę, w której Polacy i Niemcy potrafiliby wspólnie myśleć o naszej polskiej i niemieckiej nie tylko przeszłości ale i *przyszłości*.

Józef CZAPSKI

Książki

„Stefan Bohater” James Joyce’a

Joyce oznajmił w r. 1904, przed opuszczeniem Irlandii, że w ciągu dziesięciolecia stworzy wielkie dzieło. Przechwałka ta doczekała się wspaniałej realizacji w „Portrecie artysty z czasów młodości”. W r. 1944, w trzy lata po śmierci Joyce’a, Theodore Spencer wydał ze znakomitą przedmową znaczną część wczesnej redakcji tego dzieła o tytule „Stefan Bohater”. Powstało ono najwidoczniej pomiędzy rokiem 1901 a 1906 w końcowym okresie studiów w University College w Dublinie i pierwszych latach pobytu Joyce’a na Kontynencie.

I

„Stefan Bohater” jest dokumentem pasjonującym, rzetelnym i bezpośrednim, wyróżniającym się oświadczeniami autora dopowiedzianymi do końca, od czego, z różnych względów, powstrzymał się Joyce w „Portrecie”.

Fakt, że znane nam fragmenty pokrywają okres dwu lat studiów uniwersyteckich sprawia, że odpowiadają one bardziej tytułowi „Portret artysty z czasów młodości”, niż czyni to nieśluszenie tak nazwany utwór, omawiający przeżycia Stefana od najwcześniejszych wspomnień aż po młodzieńczy wiek męski. 383 strony rękopisu, jak podkreśla wydawca, pokrywają się z końcowymi 93-ma stronami „Portretu”. W obu wersjach Stefan jest tym samym ubogim aroganckim i samotnym młodzieńcem. Gdy bohater utworu (— zaproszony do współpracy w piśmie akademickim —) pyta: — „Ale powiedz mi, czy otrzymam honorarium?” — poznajemy w nim młodego człowieka, który na propo-

zycję podpisania petycji w sprawie pokoju powszechnego zagaduje: „A ile zapłacicie, jeśli podpiszę?”. Bohater oczekujący „nagrody od publiczności za swe wiersze, ponieważ wierzy że zaliczone będą do duchowych aktywów Państwa” da się rozpoznać w młodym człowieku, który kroczy naprzód, by „wykuć w kuźni swej duszy nierozbudzone sumienie swej rasy”. I wreszcie bohater „głoszący pogardę motłochu i potępiający władzę”, odznaczający się „panowaniem nad sobą”, „samotny” i pędzący „dziwny żywot bez żdźbła czyjejkolwiek życzliwości czy pomocy” da się rozpoznać w młodym człowieku, który żywo uświadamiał sobie, że „różni się od innych”, że „był szczęśliwy wtedy tylko, gdy przebywał w samotności albo w gronie wyimaginowanych towarzyszy”, którego „przeznaczeniem było zdobywanie mądrości na własną rękę albo uczenie się jej w toku samotnych wędrówek wśród pułapek świata”.

Jest rzeczą znaną, że młodzieńcze skłonności upamiętnione w „Stefanie Bohaterze” są może nawet bardziej wymowne od wspomnianych w „Portrecie”. Joyce pominął w nim rewelacyjne świadectwa uwielbienia Stefana w stosunku do dwu pisarzy. Mówiąc o pierwszym z nich zaczyna od słów: „Należy powiedzieć już teraz i po prostu, że w owym czasie Stefan uległ wpływowi, który okazał się najtrwalszy w jego życiu”. Ibsen gra główną rolę w przeżyciach Stefana, i w jego właśnie obronie w związku ze szkicem o „Sztuce i życiu” czytany na zebraniu akademickiego stowarzyszenia historyczno-literackiego, Stefan ściera się z autorytetem, którym jako artysta gardzi. Co więcej: w marcu 1901 r. dziewiętnastoletni Joyce napisał do Ibsena, chwalać „jego najwyższą doskonałość, jego podniosłą a bezosobową władzę a także to, że przy zachowaniu doskonałej obojętności wobec kanonów sztuki, przyjać i uznawanych powszechnie przesądów, (Ibsen) kroczy naprzód za światłem kierującego nim od wewnątrz *bohaterstwa*”. W październiku tegoż roku pisał Joyce w szkicu pt. „Dzień motłochu”: „Nikt, powiedział Nolan, nie może być miłośnikiem prawdy albo dobra jeśli nie zdobędzie się na pogardę pospółstwa; a twórca, jeśli nawet posługuje się tłumem, dbać winien czujnie o trzymanie się od niego z daleka”; zauważył także, że „każdy odruch (protestu przeciw bezpłodności i fałszom współczesnej sceny) wyrosły z *heroizmu* osiąga coś nie coś”; — mówi wreszcie z poszanowaniem o „starym mistrzu umiaramym w Chrystianii”. Podkreśliłem słowa *bohaterstwo* i *heroizm* dlatego, że skreślone w okresie krystalizowania się pomysłu „Stefana Bohatera” wyznaczają kierunek ówczesnych poglądów autora: Joyce uważał Ibsena za bohatera a przeciwstawienie się bezpłodności i fałszom jest dla prototypu Stefana-bohatera aktem godnym herojów. O drugim podziwianym przez Stefana autorze pisze Joyce naprzód:

„(Stefan) znalazł na jednym z wózków z książkami w pobliżu rzeki wydaną na prawach rękopisu książeczkę zawierającą dwa opowiadania W.B. Yeats’a. Jedno z nich nosiło tytuł „Dziesięcioro przyka-

Z książki Joseph’a Prescott’a „Exploring James Joyce” („Z badań nad Joyce’em”), Carbondale, Illinois, USA, Southern Illinois University Press, 1964.

zań" — ...i pewnego wieczoru podczas rozmowy z jakimś Kapucynem, musiał powstrzymać się parokrotnie, by nie ulec odruchowi, który popychał go, by ująć kapłana pod rękę, wodzić go tam i z powrotem po podwórzu kaplicy i wyłożyć mu zuchwale całą treść „Dziesięciorga przykazań”, tak jak ją zapamiętał — dosłownie... Zaspokoił to pragnienie wodząc Lynch'a wzdłuż ogrodzenia Stephen's Green i wprowadzając młodzieńca w zakłopotanie, recytując mu opowieść Yeats'a z dobrze dawkowym ożywieniem... Wracając często do treści „Dziesięciorga przykazań” i „Adoracji Trzech Króli” ”.

Cytaty z obu tych utworów włożył później Joyce w usta Stefana. Dalszym świadectwem stosunku do nich jest anonimowa aluzja w słowie wstępnym Yeats'a do pierwszego oficjalnego wydania. Pisał on: „Dwie te opowieści ogłoszone były przed laty na prawach rękopisu. Może nie przedrukowałbym ich nigdy, gdybym nie spotkał w Irlandii młodego człowieka, który lubił je bardzo — i nic więcej z tego, co kiedykolwiek napisałem”. Owym młodym człowiekiem był zdaniem biografa Yeats'a, Josepha Hone'a, właśnie Joyce.

Główne postacie obu utworów wyłamują się z ustalonych ram bytowania. Dwaj artyści bliscy Stefanowi i jego twórcy są dumnymi głosicielami niezależności od społecznych tabu. Joyce-Dedał potwierdza późniejsze wyznanie Dedala w „Ulissesie”: „Stąpamy wewnątrz samych siebie, spotykając złoczyńców, upiory, olbrzymów, starców, młodzież, żony, wdowy, „braci” w miłości. Są to jednak zawsze nasze spotkania z samymi sobą”.

Charakter Stefana, jak powiedziałem już wyżej, powtarza się zasadniczo w obu wersjach. Różni je wzajemny stosunek autora do stworzonej przez niego postaci. Jest to zapewne najważniejsza różnica jakościowa obu redakcji.

Uczciwą ilustracją stosunku autora do stworzonej przez niego postaci w „Stefanie Bohaterze” jest zdanie wstępne, już cytowane, o Ibsenie (— którego, pamiętajmy, podziwiał Joyce za jego bezosobowość —): „Należy powiedzieć już teraz i po prostu, że w owym czasie Stefan uległ wpływowi, który okazał się najtrwalszy w jego życiu”. Autor nie tylko podaje tu fakt dotyczący postaci fikcyjnej, ale dzięki impetowi oświadczenia, deklaruje własne stanowisko. Inne zwięzłe wtręty wydawcy: „wypada stwierdzić” — „bez wątplenia” — nie pozostawiają czytelnikowi prawa wyboru — musi przyjąć bez zastrzeżeń punkt widzenia autora. Fraza wstępna przedłużona jest ciągiem sentencjonalnych i abstrakcyjnych uogólnień:

„Stan umysłu, który ujawnia się w ten sposób nazywany jest (w nieuleczalnej jego formie) dekadencją, ale jeżeli spojrzymy na świat ze stanowiska bardziej zasadniczego okaże się, że proces życia oglądać można jedynie poprzez korupcję... Gdy wołanie o rozumne współzucie pozostaje bez odpowiedzi... tylko surowy zwolennik dyscypliny będzie oskarżał sam siebie o to, że zwracał się do ciemniaka, dając mu sposobność uczestniczenia w cieplejszych odruchach życia na wyższym stopniu organizacji... Nie podobna wyobrazić sobie mło-

dzieńca, który rozmyślałby o zjawisku śmierci z najwyższą satysfakcją, czy też — obdarzony trafem losu większą dawką wrażliwości i intelektu, mógł oglądać splot fałszów i trywialności składający się na pogrzeb przeciętnego mieszczaucha bez najwyższego obrzydzenia”.

Tendencja do redaktorskiego uogólniania wypowiedzi osiąga szczyt, jak można było oczekiwać, przy najwyższym nasileniu uczuć a całość frazy i poszczególne jej zdania ujęte są w kształt długiego i nabrzmiałego uczuciem eseju. Joyce zdaje sprawę z sądów Stefana o katolicyzmie:

„Wydawało mu się, że ta odmiana chrześcijaństwa, którą nazywamy katolicyzmem stawiała w poprzek jego drogi — a więc usunął ją. Wychowano go w wierze w supremację Rzymu. To że przestawał być katolikiem było dla niego równoznaczne z zerwaniem z chrześcijaństwem”.

Po czym, niemal niepostrzeżenie przekracza Joyce bliżej niesprecyzowaną linię pomiędzy tworem autobiograficznym a jego autorem:

„Pogląd, że potęgę cesarstwa słabnie na kresach jego obszaru wymaga pewnych korektur dla każdego, kto wie, że Papiież nie włada w tym stopniu Włochami, co Irlandią a car straszniejszy jest dla stepowego chłopca niż dla petersburskiego kupca. Rząd imperium bywa w rzeczywistości najsilniejszy wzdłuż granic, w szczególności w wypadku, gdy znaczenie jego w ośrodku władzy skłania się ku zanikowi. Cykle wzrostu i upadku imperiów nie przebiegają z szybkością fal świetlnych i zapewne wypadnie nam czekać czas dłuższy, zanim Irlandia dojrzeje do zrozumienia, że Papiestwo nie przechodzi już dłużej okresu zmian konstruktywnych. Stada pielgrzymów przeganiane bezpiecznie przez Kontynent pod wodzą ich irlandzkich pasterzy muszą zawstydząć zblazowanych reakcjonistów z Wiecznego Miasta ogłupieniem i intensywnością uwielbienia w tym samym stopniu w jakim gapiący się prowincjusz świeżo przybyły z Hiszpanii czy Afryki może drażnić poczucie lojalności uśmiechniętego Rzymianina, dla którego przyszłość jego rasy stała się równie niepewna, jak oczywista jest jej przeszłość. Aczkolwiek z jednej strony jest rzeczą oczywistą, że uporczywe trwanie Irlandii we władzy katolicyzmu zwiększa stopień odosobnienia katolików irlandzkich, którzy wyłączają się niejako dobrowolnie, tak z drugiej strony siła, którą musieliby wytworzyć, by wyrwać się z ram tak potężnej i tak zawiłej tyranii może być dostatecznie potężna by postawić ich poza możliwością powrotu”.

I znów, niemal niepostrzeżenie Joyce porzuca samego siebie i wraca do stworzonej przez siebie postaci autobiograficznej:

„Ferwor dawnego życia religijnego Stefana sprawiał w gruncie rzeczy, że ostrzej i boleśniej odczuwał stan izolacji w jakim się znalazł a równocześnie twardniał w mniej giętką i trudniejszą do złagodzenia wrogość pałającą wściekłości i płonących uniesień, na które początkowo świadomo bezradności, osamotnienia i rozpacz miała wpływ ostudzający”.

Wystarczy zmienić czas, by przekształcić esej odautorski w organiczną część przeżyć Stefana. Ale młody Joyce nie oderwał się jeszcze na tyle od własnych przemyśleń i uczuć, by przekazać je stwarzanej przez siebie niewiele młodszej kreacji. Nie udało mu się, innymi słowy, zająć beznamietnej „postawy estetycznej”, którą Stefan uważa za podstawowy składnik sukcesu dzieła sztuki. „Artysta na podobieństwo Stwórcy” — mówi Stefan w „Portrecie” — „trwa wewnątrz, w tyle, poza lub ponad dziełem swych rąk, niewidoczny, pozbawiony własnej egzystencji, niezaangażowany, obojętnie obcinający paznokcie”. W „Stefanie Bohaterze” nuta po młodzieńczemu burzliwej urazy, stale słyszalna, skłania czytelnika do przeklinania „paraliżu irlandzkiego” — daje to efekt „kinetyczny” — a to, zgodnie z wytycznymi estetyki Stefana, nie przystoi dziełu sztuki. Możemy, w gruncie rzeczy, powiedzieć o autorze tej wczesnej wersji to samo, co mówi on o bohaterze z tytułu dzieła: „Z trudem przychodziło mu zmusić umysł do utrzymania się w ścisłych rygorach klasycyzmu”.

W „Portrecie” z drugiej strony, od początku do końca, nie podobna doszukać się komentarzy czy uogólnień: każda myśl, każde uczucie jest własnym doznaniem Stefana. Tu i ówdzie Joyce oczywiście zdaje sprawę z czegoś jako autor — nigdy jednak nie posługuje się formą bezpośredniego komentarza. „Było to w czystym duchu Ibsena” — pisał Joyce w „Stefanie Bohaterze”, by „dostrzegać wzruszenie poza bezosobowym stylem artysty” — i podobnie, możemy być tego równie pewni, było w duchu samego Joyce’a, by wyczuwać wzruszenie poza bezosobowym stylem artysty z „Portretu”. Ale taka zdolność spostrzegania nie kłóci się z koncepcją niewidzialności Stwórcy choć widzimy dzieło Jego rąk.

W tym punkcie ewolucja powieści Joyce’a zaczyna nabierać rumieńców, gdyż historia tego właśnie utworu odzwierciadla historię gatunku. Przejście od „Stefana Bohatera” do „Portretu” odsłania wznoszenie się od powieści bezpośrednio i tendencyjnie kierowanej do prowadzonej ręką niewidzialnego i bezosobowego przewodnika.

II

Czytelnik będzie jednak pytał nie tylko o to w jakim stopniu „Stefan Bohater” przypomina „Portret” lub różni się od tej powieści, ale także i o to, co ujawnia na temat całokształtu dzieła Joyce’a. Wspominałem już o bezpośredniości wersji wcześniejszej; zwięzłość „Portretu” jest zjawiskiem powszechnie znanym. Jak słusznie zauważył Spencer „Stefan Bohater” rozjaśnia zawikości innych utworów Joyce’a i ukazuje stopnie opanowania rzemiosła.

Do przykładów takich rozjaśnień cytowanych przez Spen-

cera chciałbym dorzucić kilka dalszych, uwypuklających przesadną niekiedy powściągliwość słowną Joyce’a.

Stefan Dedal po odmowie złożenia podpisu pod petycją w sprawie pokoju światowego drwi z przyjaciela (w „Portrecie”):

— „A teraz, skoro już podpisałeś petycję o pokój powszechny — powiedział Stefan — pozwolę sobie przypuścić, że chyba spalisz ten mały zeszytek, który widziałem w twoim pokoju.

Nie doczekawszy się odpowiedzi Davina Stefan zaczął recytować:

— Biegiem, fianna! W prawo zwrot, fianna! Fianna, odlicz, prezentuj broń, raz, dwa! (2).

— To inna sprawa — powiedział Davin. — Naprzód i nade wszystkim jestem nacjonalistą irlandzkim. Wyłazi z ciebie twój charakter. Jesteś szydercą z urodzenia Stefku.

— Gdy zorganizujecie następne powstanie zbrojni w kije hokejowe — powiedział Stefan — i potrzebny wam będzie nieodzowny szpieg, daj mi znać. Znajdę kilku kandydatów w naszej budzie”.

O dwadzieścia pięć stron wcześniej czytelnik dowiadywał się o bytności Davina na meczu hokejowym. O sześćdziesiąt stron dalej Stefan zapisywał w swym dzienniczku, po spotkaniu z Davinem w sklepie tytoniowym: „Był w czarnym swetrze i miał ze sobą kij hokejowy... Wtedy właśnie zjawił się mój ojciec... Zaproponował Davinowi coś do przegryzienia. Davin odmówił, gdyż szedł na zebranie”. W „Portrecie” nie ma już ani słowa o kijach hokejowych. Czytelnik mógłby przeto rozumieć przymówkę Stefana jako szorstkie i pogardliwe drwiny wywołane niejasnym powiązaniem Davina z hokejem. Ale rzućmy okiem na fragment „Stefana Bohatera”, zastępujący w pełni na dłuższą cytata:

„Zebrania (nacjonalistów) odbywały się publicznie w wieczory piątkowe — patronowali im księża. Organizatorzy składali sprawozdania z różnych dzielnic... gdy zbliżał się koniec zebrania wstawali i śpiewali własne pieśni. Jego (jednego z obywateli) kółko było ośrodkiem skupiającym separatystów; panował w nim nastrój gniewnego nieprzejednania. Miało ono swą siedzibę w sklepie tytoniowym Cooney’a... Madden, który był kapitanem drużyny hokejowej, składał temu kółku raporty o fizycznej kondycji podległych mu młodych nieprzejednanych. Świetlanego przykładu (w oczach „tych entuzjastów”) dostarczały Irlandczykom Węgry, wzór — jak patrioci owi wyobrażali sobie — długo cierpiącej mniejszości, o pełnych prawach do wolności z tytułu pochodzenia i prawa, osiągnącej wreszcie wyzwolenie. W dążeniu do tego celu ciała młodych Celtów ścierały się morderczo w parku Feniksa, grzmocąc się kijami hokejowymi, potrójnie uzbrojeni w słuszny sporze, skoro bunt ich pobłogosławiony był przez samego Pomazańca...

Stefan powiedział pewnego dnia do Maddena:

— Wydaje mi się, że te mecze hokejowe i wędrówki piesze są przygotowaniem do wielkiego wydarzenia.

(2) Aluzje do udziału w tajnych ćwiczeniach Sinnfeinu, irlandzkiej organizacji wolnościowej (przyp. tłum.).

— W Irlandii dzieje się obecnie więcej, niż to czego jesteś świadom.

— Ale po kiego diabła te *camans* (kije hokejowe)?

— Jakby to powiedzieć — widzisz — my chcemy podnieść sprawność fizyczną kraju”.

Z tak jasnym i pełnym obrazem sytuacji, który musiał tkwić w umyśle Joyce'a, gdy pisał „Portret” cel pozornie jałowych uwag Stefana był wyraźnie zaostrożony i kolczasty.

A teraz dwie krótkie cytaty z „Ulissesa”. W epizodzie bibliotecznym Stefan rozmyśla: „Gdzie jest twój brat. W Sali Aptekarzy. Mój kamień szlifierski. On, potem Cranly, Mulligan — a teraz ci”. W epizodzie w domu publicznym Stefan nazywa czapkę Lynch'a „osełką”. Czytelnik może wertować zarówno „Ulissesa” jak i „Portret” w poszukiwaniu wyjaśnienia — na próżno, gdyż odpowiedź podsunie dopiero „Stefan Bohater”, w którym Stefan uważał Maurycyego (swego brata) za bardzo użytecznego, gdy chodziło o wysuwanie ostrych zarzutów”.

W drugim przykładzie z „Ulissesa” fragment zrozumiały zasadniczo bez wspierania go dodatkowymi wyjaśnieniami, wzbogaca się o nowe i bardzo istotne asocjacje przez zestawienie ze „Stefanem Bohaterem”. W scenie w domu publicznym sposób w jaki Lynch używa słowa „pandybat” (3) przypomina Angliście Ojca Dolana ze szkoły Clongowes Wood, do której Stefan uczęszczał jako dziecko: „Trzask-prask raz i drugi, trumienne wieko pianoli otwiera się szeroko i okrągła tusa główka ojca Dolana wyskakuje jak na sprężynie”. Obraz głowy księdza wyskakującej z pianoli wystarcza, jak już wspominałem, do przekazania obrazu figurki wyskakującej z pudełka za naciśnięciem sprężyny. Ale i tu także majaczenia ze sceny w domu publicznym, opierają się, jak wiemy, na rzeczywistości. Wizja głowy księdza jest własnością Stefana a „Ulisses” nie przynosi klucza do jej pochodzenia. Pełne wyjaśnienie procesu, który przebiegać musiał w umyśle Joyce'a gdy pisał ten ustęp znajdujemy w „Stefanie Bohaterze”:

„Matka (Stefana) powiedziała mu pewnego dnia, że rozmawiała o nim ze swoim spowiednikiem i prosiła go o radę. Stefan odwrócił się do niej i gorąco wyrzucił jej ten postępek:

— Jakaż to przyjemność — że idziesz i omawiasz moje sprawy poza moimi plecami. Czy brak ci własnego rozeznania i wyczucia, co jest słuszne bez chodzenia do jakiegoś Ojczulka-Figurki wyskakującej jak czorczik z pudełeczka, by wypytywać się, jak mną kierować?”.

Wspomnienia przeniesione zostały z „Portretu” do „Ulissesa” bez najmniejszego objaśnienia — a pełne ich znaczenie dla Stefana

(3) Słowo nie znajdujące się w słownikach jęz. angielskiego i dialektów irlandzkich. Oba jego człony: „pandy” i „bat” wiążą się z chłostą i mogą oznaczać np. różgę albo pałkę (przyp. tłum.).

nie da się uświadomić bez odwołania do wcześniejszego dzieła. Chwyt ten usprawiedliwić można tym tylko, że Stefan — jeśli idzie o jego charakter — występuje w następstwie dwu powiązanych ze sobą powieści — i że oczekuje się od czytelnika, iż zapozna się z pierwszym członem ciągu nim przejdzie do drugiego — usprawiedliwienie to sprowadza się do stwierdzenia, iż jeśli idzie o postać Stefana „Ulisses” nie stanowi zamkniętej w sobie całości ale pełniejsze uzasadnienie jej charakteru. Jakież jest przeto uzasadnienie powściągliwości wymykającej się zrozumieniu w stosunku do podstawy dzieła, którą autor, uznając je za twór młodzieńczy, najwidoczniej uznał za niegodne ogłoszenia drukiem? Można, być może, dowodzić, że jest rzeczą naturalną, iż w próbach rozszyfrowania umysłu innego człowieka napotykamy na ślepe punkty. Skoro jednak są możliwości napotkania tych ślepych punktów, ślepotą jest schorzeniem nieuzasadnionym.

Jak już napomknąłem wyżej „Stefan Bohater” nie tylko wyjaśnia pewne ustępy innych utworów Joyce'a ale niejako zapowiada późniejszą jego działalność jako pisarza — a w szczególności rozwój jego techniki pisarskiej.

Zwięzły opis osoby wuja Stefana, Jana, kryć w sobie może zaród noweli pt. „Pensjonat” z cyklu „Dublińczycy”: „Jeden z wujów chłopca był stale rozczochranym astmatycznym jegomościem, który w młodości popełnił jakąś nieostrożność w stosunku do córki swej gospodyni; rodzina przyjęła z dużą rezerwą do brze spóźniony mariaż”.

Uwaga Stefana: „Można powracać do czegoś myślą w ciągu siedmiu lat i wreszcie napisać nieśmiertelną strofę od niechcenia — pozornie bez wysiłku” i przelotna wzmianka o „płomiennych wierszach, które otrzymały tytuł „Wilanela kusicielki” zdają się kryć w sobie zaród przedziwnie żywego opisu powstawania wilaneli w „Portrecie”.

Technika całego epizodu z „Ulissesa” kryje się wreszcie w ogólnym zarysie w następującym ustępie:

„(Stefan) wymyślił takie oto pytanie i odpowiedź do pseudo-klasycznego katechizmu:

Pytanie: Jakiej prawdy uczą nas „Biesiadnicy” Aischylosa?

Odpowiedź: Z „Biesiadników” Aischylosa dowiadujemy się, że w starożytnej Grecji bracia i siostry nosili obuwie tego samego rozmiaru”.

Widzimy tu w stadium zaczątkowym technikę przedostatniego epizodu „Ulissesa” — „bezosobowego” katechizmu, wymyślnego żartu Joyce'a.

„Stefan Bohater” wyprzedza ponadto wewnętrzne monologi „Ulissesa” w stopniu dosadniejszym, niż dowolne części „Portretu”. Słyszymy, że „Cranly przywykł do zdawania sprawy (Stefanowi) i analizowania swych uczuć i doznań w toku ich prze-

żywania". Nawyk introspekcji demonstrowany wielokrotnie w „Portrecie” jest należyty punktem wyjścia do tego, co Joyce uzna później za bliskie wewnętrznemu monologowi w Dujardin’a „Les Lauriers sont coupés” i wynikiem badań nowoczesnej psychologii.

I już w „Stefanie Bohaterze” znajdujemy zapowiedzi późniejszych eksperymentów językowych Joyce’a. Stefan „kreślił linijki (wiersza) nie słowo po słowie ale litera po literze. Znał uwagi Blake’a i Rimbaud’a o wartości liter i nawet przestawiał i łączył na różne sposoby pięć samogłosek konstruując okrzyki wyrażające prymitywne emocje”. Dowolny ustęp z „Ulissesa” — jeden z niezliczonych — wystarczy, by ujawnić znaczenie takich eksperymentów dla późniejszych dzieł Joyce’a:

„Posłuchaj: czterosłowna mowa fal: siisuu, chrsz, rssiss, uus. Gwałtowny oddech wód wśród morskich węży, koni stojących dęba, skał. A w kamiennych misach chłopot: chlup, chlup, chlup: beczka w więzach obrepcy. A wyładowawszy się, milknie”.

Przyszły mistrz techniki przeciwstawień użytych w celu osiągnięcia efektu równoczesności (— krótkim przykładem spośród wielkiej liczby ustępów stosujących ten chwyt jest błyskawiczna myśl Bloom’a „Bardzo panią przepraszam (uua!) ale tam są (uua!) jakieś kudełki”) zapowiada się w potężnej scenie, w której chęć posiadania Emmy Clery i, natychmiast po jej realizacji, śmierć siostry narzuca artyście kontrast piękna i śmiertelności.

III

Młodzieńczy i niedoprowadzony do końca „Stefan Bohater” winien mimo to przyczynić się wydatnie do wzrostu reputacji Joyce’a. Jeśli, jak pisałem o tym kiedy indziej, „Finnegans Wake” odstraszał niektórych czytelników Joyce’a, „Stefan Bohater” może uświadomić im dwie sprawy. Po pierwsze, że wczesne utwory Joyce’a, włącznie z większością tekstu „Ulissesa” są zdecydowanie łatwo czytelne dla publiczności wychowanej na literaturze powstałej pod ich wpływem. Po drugie, że Joyce, uosabiający artystę tworzącego na wygnaniu, był w sposób paradoksalny predestynowany, jak wynika z młodzieńczych jego prób, by stać się z czasem jednym z najznamienniejszych rzeczników swojej epoki.

Osadzony na przełomie stuleci, zahaczający o sprawy takie jak Odrodzenie Irlandzkie, zagadnienia formy powieściowej, kształtowanie się dramatu nowoczesnego i takie nieśmiertelne problemy jak psychologia artysty i dzieła sztuki, stosunek jednostki do instytucji rodziny, szkoły, kościoła i państwa — „Stefan Boha-

ter” domaga się baczniejszej uwagi nie tylko wielbicieli Joyce’a, ale i wszystkich zainteresowanych kształtowaniem się umysłowości nowoczesnego człowieka.

Joseph PRESCOTT

(Przekład Marii Danilewiczowej)

PRZYPISY

1. Wydanie „Stefana Bohatera” z r. 1955 zawiera tekst dwudziestu pięciu dodatkowych kartek rękopisu opublikowanych z przedmową John’a J. Slocum’a i Herberta Cahoon’a. Tekst pięciu dalszych stron udostępniony został przez tychże w „A James Joyce Miscellany” (2-a seria) wyd. przez Marvin’a Magalaner’a w Carbondale, Illinois w r. 1959 a następnie w wydaniu „Stefana Bohatera” z r. 1963. Pierwszej edycji oryginalnej wersji „Portretu”, krótkiego eseju wyprzedzającego „Stefana Bohatera” szukać należy w „The First Version of Joyce’s Portrait”, wyd. R.M. Kain i R.E. Scholes w „Yale Review”, xlix (1960), 355-69.

2. Ogłaszany obecnie szkic pt. „Stefan Bohater” czytany był w nieco skróconej formie na dorocznym zebraniu Modern Language Association w Bostonie 29 grudnia 1952 r. Tekst udokumentowany przypisami ukazał się jako „James Joyce’s Stephen Hero” w „Journal of English and Germanic Philology”, liii, (kwiecień 1945), 214-23 i w „Letterature Moderne” (Bologna), vi, (list.-grudzień 1956), 679-88; toż, bez przypisów w „The Bell” (Dublin), xix (listopad 1954), 27-35 i w „Diliman Review” (Quezon City), vii, (paźdz. 1959), 373-85; tekst udokumentowany wybranymi przypisami w wydanej pod red. T.E. Connolly’ego książce zbiorowej pt. „Joyce’s Portrait: Criticisms and Critiques” (New York, Appleton-Century-Crofts, 1962). Przekład na jęz. hiszpański pióra Jaime Rest’a ukazał się w „Sur” (Buenos Aires) w nrze 250 za styczeń-luty 1958 na str. 39-50 oraz „Armas y Letras” (Monterrey, N.L. Mexico), 2 ser. I, październ.-grudz. 1958), 64-76; anonimowy przekład francuski ogłoszony został w red. przez Joseph’a Prescott’a „Configuration critique de James Joyce” (Paris: M.J. Minard, 1959-60 i, 48-66) nadto w „La Revue des Lettres Modernes”, Paris, vi, (jesień 1959), 288-306; przekł. na jęz. hebrajski pióra Abrahama Yavin’a w „Moznaim” (Tel-Aviv), xiv, (styczeń 1962), 137-43. W r. 1960 taśma z nagraniem autora włączona została do biblioteki „World Tapes for Education”.

Saga wielkopolskiego rodu

Historia Rogalina i jego mieszkańców na przestrzeni prawie dwóch wieków, napisana przez ostatniego męskiego potomka, starego wielkopolskiego rodu i wydana w pięknej szacie graficznej, przynoszącej zaszczyt wybitnemu artyście-typografowi Stanisławowi Gliwie, jest książką, którą się „pije” jak kielich starego wé-

grzyna. Oparta na spuściźnie rękopiśmiennej ocalałej części archiwów rodzinnych, na odnośnej literaturze przedmiotu i osobistych wspomnieniach oraz ustnej tradycji, książka ta jest spojrzeniem wstecz, w przeszłość i styl życia, które zniknęły bezpowrotnie, ale spojrzeniem, w którym przeważa nie żal, lecz pogoda, jaką zdobywa się w późnym wieku a która jest dowodem i mądrością życiowej i wielkiej kultury osobistej, wyniesionej przez autora z rodzinnego gniazda, jednego z najpoważniejszych ognisk kultury polskiej na ziemiach Rzeczypospolitej. Styl autora jest prosty, jest to gawęda, nieraz skrzęca dowcipem — nie ma w niej afektacji choć skłonności autora do lirycznego traktowania tematu, ilekroć przypomina on sobie jakiś zakątek rodzinnego domu są widoczne, a jego bardzo żywe poczucie więzi rodzinnej, powiedziałbym nawet współodpowiedzialności za te czy inne czyny przodków, pozostawiają silne wrażenie u czytelnika.

Jednocześnie jednak uderza jego zamiłowanie do ścisłości i i głęboka rzetelność w przedstawianiu wydarzeń, choćby one były drażliwe. Mogę zresztą powiedzieć na podstawie mojej długoletniej przyjaźni i współpracy z Edwardem Raczyńskim w Genewie i Londynie, że te cechy charakteru wyróżniały go zawsze w jego pracy dyplomatycznej. Nic tam nie było pozostawione improvizacji, każde posunięcie było rezultatem pracownego wysiłku. Mało mieliśmy w przedwojennym MSZ przedstawicieli tak zwanych rodów historycznych, którzy by się tak przejmowali swymi obowiązkami i pracowali z takim oddaniem, jak Edward Raczyński. Był on niewątpliwie wzorowym *civil servant* odrodzonej Rzplitej. Wymownym tego dowodem jest to, że zdołał przekazać Instytutowi Historycznemu im. gen. Sikorskiego, swe papiery dyplomatyczne, utrzymane w idealnym porządku, obejmujące nieomal całokształt jego działalności, a dziś stanowiące niezmiernie wartościowy materiał dla historyka. To że mógł wydać swój Dziennik (1) zawdzięcza wyłącznie skrzętnie prowadzonym codziennym zapiskom. Pod tym względem dorównywuje mu jeden Szembek. Również w sprawach osobistych był zawsze wzorem porządku i dokładności mimo pozorów roztrzępania i żartobliwego usposobienia. Niewątpliwie odziedziczył te cechy po swych dalszych przodkach. Píše bowiem o nich, że

„Raczyńscy, jak wnoszę z dokumentów, które miałem w ręku, wyróżniali się przez kilka stuleci, sumiennością, praworządnością i porządkiem. Te cenne przymioty odbijać musiały od nieładu panującego w dawnej Rzeczypospolitej, a której nie brakło i w dworach szlacheckich. Raczyńscy tradycyjnie w pojedynku między policjantem i złodziejem opowiadali się za policjantem. Byli poza tym z reguły ludźmi rachunkowymi i przeznaczeni”.

Jednakże w wieku XIX, wieku porywów romantycznych i rewolucji narodowych, ta przezorność i zamiłowanie do porządku, były narażone na wiele pokus, którym się Raczyńscy dawali po-

(1) Edward Raczyński, *Rogalin i Jego Mieszkańcy*, Polski Ośrodek Naukowy w Londynie, 1964.

ciągać. Pradziad autora Edward Raczyński, niewątpliwie najwybitniejszy przedstawiciel tej rodziny na przestrzeni XIX wieku, wojował w epoce Księstwa Warszawskiego i zdobył oficerski krzyż *Virtuti Militari*, ale nie był on realistą, w przeciwstawieniu do brata Atanazego, który po bohaterskiej przeszłości, odszedł od polskości, opowiadając się za policjantem. Jak pisze jego prawnuk „wszystkie jego poczynania uskrzydlała bogata wyobraźnia i podtrzymywał żywy instynkt społeczny”. Nie on zarządzał majątkiem tylko jego żona Konstancja Potocka. Okazał jednak wielkie poczucie realizmu w ocenie szans powstania listopadowego i od niego niewątpliwie przejął autor pogląd na powstania narodowe — pogląd z którym można polemizować, bo mimo strasznych ofiar powstania pozwoliły nam utrzymać indywidualność narodową i przeszkodziły nam rozpuścić się w trójzaborowym lojalizmie — ale który warto zacytować, bo zawiera on, mimo wszystko wszystko wiele ziarn prawdy:

„Naród polski nie ma szczęścia do rewolucji. Od końca XVIII wieku, jak zubożały magnat, żył z resztek swego wspaniałego dziedzictwa, a każda z kolei rewolucja uszczuplała ten remanent. Nasz naród o idealistycznym spojrzeniu na świat, pozbawiony hamulców, które w innych społeczeństwach stanowi zamożny stan średni jest wrażliwy na demagogię... Mało mieliśmy na przestrzeni dziejów ludzi umiejących odróżnić slogan od rzeczywistości, a mniej jeszcze ludzi twardych, zdolnych w imię nadrzędnego interesu państwowego, skutecznie stawiać czoło zbiorowej emocji”.

W swej pracy społecznej Edward Raczyński, fundator Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, zaznał wiele goryczy i zawodów, co w końcu miało go popchnąć do samobójczego kroku.

Gdy nie można było znaleźć upustu energii w ojczyźnie, gdzie pozostawała tylko szara praca organiczna, do której nie każdy temperament się nadaje, wielu szukało możliwości wyżycia się poza granicami kraju. Dotyczy to zarówno dziada autora Rogera, jak i jego ojca Edwarda. Dziad Roger to już nader odmienny od swych przodków Raczyński. Jest to typowy przedstawiciel epoki romantycznej. Jak określa go autor był „on w miarę sentymentalny, tajemniczy, niepolityczny a przy tym smutny”, ale przedmiotem jego pasji, mimo to, była „poza literaturą i filozofią, od wczesnej młodości polityka”. Dużo czasu spędza poza granicami kraju, będąc głęboko pogrążony w pracy konspiracyjnej. Zakupuje znaczny obszar ziemi w Salon, pod Marsylią, co nie okazuje się intratnym interesem. Jego syn Edward ojciec autora to człowiek, o bujnej młodości. Już jako piętnastoletni chłopiec próbuje przekazać się do Królestwa w czasie powstania styczniowego, służy następnie w pułku kozackim Sadyka Paszy w Turcji, w roku 1867 bije się w szeregach żuawów papieskich przeciw garibaldczykom, a w roku 1870, na wiadomość o klęsce pod Sedanem, zaciąga się do armii Loary (co było szczególnie ryzykowne dla obywatela pruskiego) pod pseudonimem „Roger” i w kampanii tej zostaje lekko ranny. Dodajmy do tego jego liczne i dość fantastyczne przedsięwzięcia handlowe w krajach egzo-

tycznych, jak produkcję jedwabiu w Indochinach oraz poszukiwanie złota w Chile. Jak pisze o nim syn

„nie był to ani polityk ani człowiek interesu... podobnie jak inni członkowie naszej rodziny... wyróżniał się wrażliwością, instynktownym nieomal zrozumieniem sztuki we wszystkich jej odmianach... Kochał życie, zachwycał się jego pięknem”.

Pod koniec życia Prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych W Krakowie założył piękną galerię sztuki w Rogalinie, szczęśliwie w dużym stopniu ocalałą.

Pewne cechy ojca występują u autora wspomnień. Nie należy zapominać o tym, że kilka lat temu wydał on zbiorek poezji, co zresztą przytrafia się i innym dyplomatom, że wspomnimy tu Claudela i St. John Perse'a (b. sekretarza generalnego na Quai d'Orsay Alexis Léger). Wrażliwość artystyczna autora przebija zresztą z wielu kart jego wspomnień, jego opisy są plastyczne, co jest tym bardziej zastanawiające jeżeli się uświadomi jego zredukowane pole widzenia spowodowane długoletnią chorobą oczu. Ma się tu do czynienia z doskonałą pamięcią lokalną godną niepośledniego powieściopisarza.

Jest powszechnie wiadome, że w Polsce wielką rolę zawsze odgrywały kobiety. Dla zrozumienia charakteru człowieka znajomość cech odziedziczonych po kolejnych generacjach kobiecych jest konieczna. Raczyński rozciąga przed nami barwną galerię postaci kobiecych, które bądź się przez Rogalin przesunęły, bądź w Rogalinie rządziły — to ostatnie słowo jest ścisłe, bo w ostatnich paru pokoleniach Raczyńskich strona praktyczna życia i nawet zarząd majątkiem były udziałem kobiet. Wśród postaci kobiecych, których barwne charakterystyki daje autor, nie brakło oczywiście kobiet płochych, sawantek i lwic salonowych. Ale przeważał typ kobiet niepospolitych, oddanych swym mężom, będących prawdziwą podporą w ich nieraz burzliwym życiu, podtrzymujących tradycje rodzinne i narodowe. Z opowiadania autora widać, że zawdzięcza on znajomość przeszłości swej rodziny nie tyle ojcu, ile matce:

„Znała ona dobrze historię swego kraju, ale zarazem, jak to dawniej bywało, znała historię wielu pałaców, dworów i dworków. Ona jedna dokładnie przewertowała archiwum. Orientowała się biegle w genealogii a pamięć miała niezawodną. Patrzyła ona na to co było bez iluzji, ale i bez uprzedzeń. Matka była filarem domu i rodziny, jej ministrem finansów i doradcą. Nieraz wybawicielem z kłopotów wszelkiego rodzaju. Wreszcie nauczycielem miłości ojczyzny i poczucia obowiązku”.

Wśród postaci kobiecych, jakie przesuwają się przez karty wspomnień Raczyńskiego, trudno nie wspomnieć o trzech wybitnych paniach Raczyńskich. Pierwsza to żona pradziadka Edwarda, Konstancja, córka Szczęsnego Potockiego, wdowa po Janie Potockim, wybitnym uczone, podróżniku i pisarzu. Okazała ona bardzo wiele charakteru w czasie swego pożycia z drugim mężem i dała piękny przykład swym patriotycznym zacho-

waniem się w czasie powstania listopadowego, kiedy zajęła stanowisko wyrazne: „Nienawidzę rewolucji” — pisała — „ale wino jest nalane — wypić je trzeba”. Píše o niej autor: „była dzieckiem epoki, w której patriotyzm ogarniał ludzkie umysły i serca z siłą żywiołu”. Po śmierci męża w tragicznych okolicznościach umiała zachować równowagę ducha i nie zawahała się chwycić za pióro, aby bronić jego pamięci.

Ale najbardziej wzruszające jest we wspomnieniach Raczyńskiego to, co pisze o swojej matce Róży z Potockich, 1^o voto Krasieńskiej:

„Matka moja” — pisze — „była osobą wybitną, niemal doskonałą, dzięki wyteżonej, nigdy nie przerwanej pracy nad sobą. Wyróżniała się inteligencją, wytrawnym sądem rzeczy i ludzi, znajomością spraw krajowych i międzynarodowych... Kochała swoich najbliższych. Służyła im, pielegnowała, chroniła przed śmiercią i ruiną. Z taką samą pasją kochała ojczyznę. Składanie ofiar na jej rzecz uważała za obowiązek święty i nie podlegający dyskusji. Dla siebie była twarda i na niewygodę osobistą zupełnie niewrażliwa”.

O zmarłej żonie swej Cecylii z Jaroszyńskich, która tak była popularna w polskim Londynie, że każdy mówił o niej pieszczotliwie „Cesia”, pisze Edward Raczyński, że

„była zdołana w cnoty ewangeliczne, wesoła, wyrozumiała, łagodna, skromna aż do samozaparcia, wierna do ostniego tchu. Istota drobna i delikatna tylko z pozoru, w istocie niezłomna”.

Któż z tych, kto mieli szczęście stykać się z Cesią nie podpisze się pod tą trafną charakterystyką w której nie ma cienia przesady. W tragicznym 1945 roku okazała ona wyjątkową siłę charakteru, tę właśnie niezłomność, której zabrakło niektórym naszym politykom.

Zamykamy tom wspomnień z uczuciem dużej melancholii, myśląc nie tylko o gnieździe Raczyńskich, zamienionym na muzeum. Nasza myśl kieruje się do tylu innych dworów i rezydencji, które przez wieki były ośrodkami polskiej cywilizacji. Utrzymanie ich byłoby możliwe nawet przy najbardziej radykalnej reformie rolnej. To nie żał za „feodalizmem” przemawia przez nas, to żał za przerwana ciągłością tradycji, z której powinien być czerpać cały naród, a której odtworzyć nie podobna. Pług historii zorał plony stuleci i cywilizacja polska została wyjąłkowiona z wielu niezmiernie cennych elementów, z których powinny być czerpać następne pokolenia, z jakichkolwiek warstw społecznych by pochodziły. Gdy tradycje, którymi żyje nasza generacja jeżdżą z nami do grobu, pozostanie tylko to, co przekaże piśmiennictwo. Zasługą Edwarda Raczyńskiego jest to, że jak pisze „chciał na chwilę przywołać do życia cienie przeszłości” i podjął się utrwalenia w naszej pamięci obrazu świata, który „niebawem przestanie być zrozumiałym, dla przeciętnego Polaka”.

"Anioł lewy" Pietrkiewicza

Jerzy Pietrkiewicz dodał ostatnio do sporej kolekcji swych angielskich książek uroczą powieść „That Angel Burning at my Left Side”. Opisując, w zawrotnym tempie, przygody swego bohatera, który wędruje przez Wschód, Północ, Zachód i Południe (są to tytuły rozdziałów) autor potwierdza niejako słowa Tennysona: „Lecz dla niespokojnego serca i umysłu z poetyckiej miary najlepszy użytek”. Powieść, pisana czarującym lekkim stylem, bawi czytelnika chochlikowatym humorem, aby w końcu zanurzyć go z głową w „poetyckość”. Styl Pietrkiewicza ma znamię indywidualności autora i to już jest wielkim osiągnięciem.

Bohater powieści Wiktor Zagon, urodzony w czasach kiedy cała Europa pogrążona była w zamęcie, wnosi do ogólnego chaosu jaki go otacza swe własne niespokojne serce i umysł. Miotany wypadkami drugiej wojny światowej, ma za swych towarzyszy dwa anioły, a może tylko jednego, „anioła ognistego, anioła lewego”. Ucieka z seminarium, i z Polski, podróżuje przez Rumunię, Francję, aż w końcu dociera do Anglii. Przez cały czas szuka ojca, którego nigdy nie znał, narodowości, a ponad wszystko poczucia przynależności. Odnalezienie ojca, które nastąpiło w tym momencie życia bohatera, kiedy żadne wielkie uczucie nie mogło się zrodzić, czy rozwinąć, nie stłumiło jego wewnętrznego niepokoju. „Osiągnąłem punkt węzłowy mojej tożsamości. Z tego punktu mogłem iść we wszystkich kierunkach i zawsze powrócić. Nareszcie wiek rozważa i samostanowienia nabrał dla mnie znaczenia, ale znaczenia tak płaskiego jak „anti-climax”, stwierdza bohater.

Problem przynależności, absorbujący ludzi, którzy osiedlili się poza granicami własnego kraju, jest istotnym elementem tej powieści. Pomimo nieco żartobliwego tonu książka zawiera poważną myśl. Poszukiwanie przynależności staje się z czasem bez znaczenia; w zamian za to osiągnięty zostaje rodzaj wolności podobny do stanu nieważkości, w jakim znajdzie się człowiek uwolniony od siły ciężenia. W taki też sposób — chcąc nie chcąc — tworzy się typ nowego Europejczyka i odpowiedzialność społeczna czy narodowa zamienia się w odpowiedzialność przed samym sobą. Całe to zagadnienie jakoś uszło uwagi większości angielskich krytyków omawiających książkę Pietrkiewicza.

Może najtrafniej podszedł do zagadnienia krytyk „Observera”: „Istotną funkcją tej powieści jest pokazanie człowieka bez Boga, bez kraju i bez ojca, usiłującego znaleźć ukryty sens świata”. Krytyk „Sunday Telegraphu” potraktował sprawę bardziej lekko, jako „wiele mądrych słów o jarzmie wdzięczności i odpowiedzialności”. Natomiast recenzent „Times’a” uważa, że: „w epizodycznej narracji w pierwszej osobie dostrzec możemy niejasny morał dotyczący wolności i odpowiedzialności, ale wymaga on ustawienia”. Dla innych Pietrkiewicz jest aż nadto skomplikowany, za co dostaje się nie tylko jemu, ale przy okazji narodowi polskiemu. „Dla Polaków” pisze „Times Literary Supplement”, „nie $2 + 2 = 4$, lecz $2 + 1 + 1 + 1 = 4$ ”. Natomiast Pietrkiewicz: „zwyczajko przyswaja angielszczyźnie tę fascynującą „po-krętność” (obliquity), z jaką tak wielu jego rodaków patrzy na życie”. Pietrkiewicz, twierdzi „Times Literary Supplement”, za mało poważnie podchodzi do własnych przeżyć: „Poprzez stały i uroczysty sequester i trzepot nie dociera do nas żadne silne uczucie, a ta w pewnym sensie religijna opowieść o ludzkim przeznaczeniu wymaga również i tego”. Podobnie sądzi krytyk

„Spectatora”. Według niego książka posiada „błyskotliwe tempo, jak gdyby autor zdawał sobie sprawę z tego, że komiczna równowaga załamaby się w chwili gdy zatrzymałby się, aby kontemlować ponure przeżycia, jakie opisuje”. „Sunday Times” wręcz potępił postawę autora: „Witalność i przystosowalność bohatera wydała mi się dziwnie przynębiająca. Łączy on swą zdolność przetrwania z gruboskórnym figlowaniem, które ma na celu wywołanie wesołego podziwu, ale udaje mu się tylko wywołać zdziwienie — jak to się stało, iż ktoś, kto tyle przecierpiał, pozostał niedojrzałym i to w sposób tak pozbawiony uroku”.

Wynika więc z tego, że zdaniem Anglików cudzoziemcy mają swoje poważne problemy i są to problemy realne, o których nie należy mówić w niepoważny sposób. Jednak żartobliwy ton Pietrkiewicza ma pewne uzasadnienie. Podtrzymywanie kruchych i niełatwych związków pomiędzy oszołomionymi gospodarzami i opornymi przybyszami wymaga obustronnego wyrobienia poczucia humoru.

M. CZAJKOWSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

California Slavic Studies. Volume III Str. 172. Zawiera prace: A.P. Polard: The Russian Intelligentsia: The Mind of Russia; T.H. von Laue: Russian Labor between Field and Factory, 1892-1903; H. Rogger: The Formation of Russian Rights, 1900-1906; E. Chmielewski: Stolypin's Last Crisis; B. Ward: Wild Socialism in Russia: The Origins; J.F. Karcz: Soviet Inspectorates for Agricultural Procurements in 1961. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, Apr. 6, 1964; cena dol. 5.-).

URBANSKI (Edmund Stephen. Ph. D.). Studies in Spanish American Literature and Civilisation. Str. 68. (Western Illinois University, nr 1 Series in the Humanities, Macomb, Ill., 1964).

KOZŁOWSKI (Tadeusz). Dysproporcje polityki polskiej. Str. 324 (z Bibliografią, indeksem nazwisk i indeksem rzeczowym). (Wyd. Biblioteka Polska, im. Ignacego Dmęki, Buenos Aires, 1964).

BAUM (Gregory). O.S.A. W stronę jedności. Tłum. Anna Morawska. Str. 233 i 3 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy, Kraków, 1964, cena zł. 48).

TOMCZYK (Roman). Uczynki nie-miłosierne. Str. 240 i 4 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy, Kraków, 1964, cena 45 zł.).

JENNE (Józef). Czarne poematy z dyliżansu. Str. 116. Okładkę, rysunki i przerywniki wykonała artystka malarka Zula Machnowska z Caracas'u. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1963).

DANKOWICZ (Henryk). Siódmy wilk. Str. 256. (Wyd. Biblioteka Współczesna, Tel-Aviv, 1964).

HLASKO (Marek). Słedeći za raj. Tłum. z polskiego Petar Vujicić. Str. 218 i 2 nlb. (Wyd. „Progres”, Novi Sad, 1963).

AGÓRRIZ-MELGAR (José). Compte-rendu d'un voyage en rond. Str. 23 i 5 nlb. Ilustracje Simon Gough i autor. (Wyd. Atelier typograficzne St. Gliwy, W. Brytania, 1964).

- PAULS (John P.). *Pushkin's „Poltava”*. Preface by Roman Smal-Stocki. Vol. I (12) Ukrainian Studies, English Section. Str. 108. (Wyd. Shevchenko Scientific Society, inc. USA, New York-Winnipeg-Paris, 1962).
- SMAL-STOCKI (Roman). *Shevchenko meets America*. Nr 18 „Papers”. Str. 71 i 3 nlb. (Wyd. Marquette University, Slavic Institute, Milwaukee, Wis., 1964).
- SPEKKE (Arnolds). *Some Problems of Baltic-Slavic Relations in Pre-historic and early Historical Times*. Nr 15 „Papers”. Str. 16. (Wyd. Marquette University Slavic Institute, Milwaukee, Wis., 1962).
- ZAHORSKA (Stefania). *Warszawa-Lwów 1939*. Powieść. Str. 301 i 1 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- GRABOWSKI (Zbigniew). *Śpiew dziewcząt. Opowieść o dzieciństwie*. Str. 158 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- ZBYSZEWSKI (Karol). *Wczoraj na wyrwyki*. Str. 159 i 1 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- MALCZEWSKI (Rafał). *Późna jesień*. Szkice i opowiadania. Str. 158 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- PIASECKI (Sergiusz). *Dla honoru organizacji*. Powieść z cyklu „Wieża Babel”. Str. 316 i 4 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1964).
- PRZYŁUSKI (Bronisław). *Listy z pustego domu*. Wiersze. Str. 68 i 4 nlb. (Wydawnictwo Oficyny Stanisława Gliwy, Great Britain, 1964).
- SMIEJA (Florian). *Powikłane ścieżki*. Wiersze. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).
- JANTA (Aleksander). *Flet i apokalipsa*. Str. 343 i 2 nlb. Okładkę projektował Anatol Girs. Książka zawiera wykaz przedpłacicieli. (Nakładem czytelników Nowy Jork — Londyn — Paryż, 1964).
- BRZEKOWSKI (Jan). *Science Fiction*. Str. 71 i 7 nlb. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).
- Piękne wczoraj*. *Sierpień 1914 — Listopad 1918*. Str. 224. (Nakładem Komitetu 50-lecia Czynu Zbrojnego Józefa Piłsudskiego — 6 sierpnia 1914 r., Londyn, 1964).
- Katalog wystawy filatelistycznej pod hasłem 50 Rocznic Wymarszu ku Wolności 6-10 sierpnia*. Str. 32. (Londyn, 1964).
- 1 Dywizja Pancerna. Polegli na polu chwały w drodze do Polski*. Lista poległych. Wykaz pomników i pamiątek na szlaku walk Dywizji. Mapa: 1 Dywizja Pancerna w walce 1944-1945. (Wyd. Koło Pułkowe Drugiego Pułku Pancernego, Londyn, 1964).
- Wspólnymi Siłami*. Komunikat Informacyjny Nr 2 z sierpnia 1964. Str. 20. (Wyd. Komitet Organizacyjny Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie).
- KWIATKOWSKA-SIEMIENSKA (Irena). Stefan Żeromski. La nature dans son expérience et sa pensée. Préface de J. Fabre, Professeur à la Sorbonne. Str. 256. (Ed. A.G. Nizet, Paris, 1964. Ouvrage publié avec le concours du Centre National de la Recherche Scientifique).
- Polska YMCA — 40 lat*. Jednodniówka. Str. 28. (Wyd. Komitet Redakcyjny, Londyn 8 grudnia 1963 r.).
- ZADROŻNY (S.). *Tu — Warszawa! Dzieje radiostacji powstańczej „Błyskawica”*. Str. 112 i 2 nlb. (Nakł. Księgarni ORBIS, Londyn, 1964).
- Katalog Wystawy Historycznej w Stulecie Powstania Styczniowego*. Zbiory Ks. Józefa Jarzębowskiego. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Two Przyjaciół Fawley Court, Londyn, 1964).
- COLEMAN (Marion Moore). *Klonowicz and Ukraine*. An Introduction to the Poem Roxolania. Nr 17 „Papers”. Str. 18 i 2 nlb. (Wyd. Marquette University, Slavic Institute, Milwaukee, Wis., 1963).

- SMAL-STOCKI (Roman, Ph. D.) and SOKOLNICKI (Alfred J., L. H.D.). *The Slavic Institute of Marquette University 1949-1961*. Nr 11 „Papers”. Str. 37 i 3 nlb. (Wyd. Marquette University, Slavic Institute, Milwaukee, Wis.).
- WĘDKIEWICZ (Stanisław). *Uwagi o losach polskich nazw osobowych we Francji*. Str. 272-311. (Nadbitka z „Onomastica” IX 1-2, Kraków).
- LITWIŃSKI (Léon). *Vérité et Erreur*. Str. 224-228. Odbitka z „Actes du XII Congrès des Sociétés de Philosophie de Langue Française, Bruxelles-Louvain, 22-24 août 1964. Thème Principal: La Vérité.
- RHODE (Gotthold). *Edouard von Hartmanns Bedeutung für die Entwicklung des deutsch-polnischen Verhältnisses*. Str. 106-159. (Nadbitka z „Zeitschrift für Ostforschung Länder und Völker im östlichen Mitteleuropa, Heft 1/2, 13 Jahrgang 1964).
- NEUBACH (Helmut). *Polen im Spiegel seiner Briefmarken*. 4 strony. (Nadbitka z „Europäische Begegnung, Juni 1964, Heft 6, Seiten 393-396).
- BACZYNA-BATCHYNSKY (de Ewgen, mgr.; Archevêque, D.D.). *Exposé sur l'Eglise Orthodoxe Autocéphale Ukrainienne, Conciliare à la Conférence de l'Alliance Universelle pour la Fraternité Internationale par les Eglises à Genève (Suisse), le 14 septembre 1921*. Str. 12. (Genève), 1964).
- LEWYTZYKJ (Borys). *Ideologie und Wissenschaft in der Sowjetunion*. Str. 187-192. (Nadbitka z mies. „atomzeitalter”, Bad Godesberg, Nr 7/8, 1964).
- LEWITZYKJ (Borys). *Wiederaufleben der Diskussion über die asiatische Gesellschaftsentwicklung und die Versuche zur Anerkennung der afrikanischen Realitäten*. Str. 109-116. (Nadbitka z kwartal. Friedrich-Ebert-Stiftung „Der Ostblock und die Entwicklungsländer”, sierpień 1964, Bonn).
- SUBOTIN (Stojan, dr.). *Poczeci interesowania T.T. Jeza za Jugoslawienie i prva diela o nima*. Str. 63-101. (Nadbitka z „Anali Filozofskog Fakulteta, Beograd, 1963).
- CZAPSKI (Edward). *Pamiętniki Sybiraka*. Z przedmową St. Vincenza. Rękopis opracowała, zaopatrzyła w przypisy i indeksy Maria Czapska. Str. 371 i 1 nlb. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1964, cena 35 sh.).
- Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej*. Pod redakcją Szymona Konarskiego. T. I. Str. (Zawiera opracowania: Kazimierza Kościłkowskiego, Lucjana Krawca, Konstantego Przewłockiego i Stefana Woyczyńskiego. (Wyd. staraniem Komitetu Redakcyjnego, Buenos Aires 1963).

Komunikaty

NAGRODA LITERACKA ANNY GODLEWSKIEJ NA ROK 1964

Jury nagrody literackiej Anny Godlewskiej — dla tłumacza literatury polskiej na obce języki, złożone z K.A. Jeleńskiego, Tadeusza Nowakowskiego, Jana Rostworowskiego, Jerzego Stempowskiego (przewodniczący), Kazimierza F. Vincenza (sekretarz) i Wiesława Wohnouta, przyznało dwie równorzędne nagrody po 250 dolarów amerykańskich które otrzymali:

Josef Hahn i Georges Sedir.

Jury wzięło pod uwagę całokształt pracy wymienionych tłumaczy ze szczególnym uwzględnieniem przekładu „Sklepów cynamonowych” Bruna Schulza na język niemiecki (Hahn) i „Rodzinnej Europy” Czesława Miłosza na język francuski (Sedir).

Wyróżniając powyższe przekłady, jury rozważyło zasługi niemieckich i francuskich tłumaczy i wydawców, którzy w ostatnich latach skutecznie przyczynili się do upowszechnienia literatury polskiej za granicą.

W czasie trzydniowych obrad odbytych w Solurze w siedzibie Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii, rozpatrywano ponadto kandydatury następujących tłumaczy: Hermann Buddensieg, Karl Dedecius, Armin Dross, Alan Kosko, W.A. Maijer, Anna Posner, Lew Sapieha, Walter Tiel, Leo Verdiani i Ludwig Zimmerer.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE SAMODZIELNEJ BRYGADY STRZELCÓW KARPACKICH

W r. 1965 przypada 25-ta rocznica powstania Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, która w latach 1940-1942 walczyła na Środkowym Wschodzie w Tobruku i w Pustyni Libijskiej. Na tegorocznym Walnym Zebraniu Związku b. żołnierzy SBSK w Londynie postanowiono uczcić tę rocznicę obchodem, który odbędzie się w Londynie w dniu 8 maja 1965. Postanowiono również wydać specjalny jubileuszowy numer pisma Tobrukczyków „Ku Wolnej Polsce”, oraz opracowany przez red. dr. M.R. Młotkę imienny spis żołnierzy Brygady. Oba wydawnictwa ukażą się w przedpłacie (w cenie 10 wzgl. 15 szylingów), którą można wpłacać do dnia 31 grudnia br. pod adresem Zarządu Głównego Związku b. żołnierzy SBSK. 14, Collingham Gardens, London, S.W.5.

96-ciostronicowy numer „Ku Wolnej Polsce”, który właśnie się ukazał, przynosi obok wartościowej części literackiej (Jan Bielatowicz, Bolesław Kobrzyński, M.R. Młotek, Tadeusz Sowicki, Hubert Wojewoda, Bogdan Znowski) — również bogatą kronikę z życia organizacji Tobrukczyków w W. Brytanii, Australii i Ameryce, informacje dotyczące obchodu jubileuszowego, oraz — na czele numeru — apel gen. Stanisława Kopańskiego b. decy SBSK. do b. żołnierzy Brygady.

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: — Co jest szczytem nietaktu w stosunkach z bratnim narodem sowieckim?

Odpowiedź: — Przeciąć Rurociągi Przyjaźni.



Pytanie: — Dlaczego w Polsce jest wołowina, a nie ma wieprzowiny?

Odpowiedź: — Bo woły nie mieszczą się do Rurociągu Przyjaźni.



Pytanie: — Co to jest Millenium?

Odpowiedź: — Okres czasu od Mieszka 1-go do mieszkania pustego.



Pytanie: — Co w Polsce Ludowej jest niezmiennie?

Odpowiedź: — Premier i przejściowe trudności.



Pytanie: — Co to jest Ministerstwo „I”?

Odpowiedź: — Dawne Ministerstwo Kultury i Sztuki.



Pytanie: — Co trzeba mieć, żeby zniszczyć Związek Sowiecki?

Odpowiedź: — Trzy bomby amerykańskie.

Pytanie: — A co żeby zniszczyć Amerykę?

Odpowiedź: — Trzech polskich ekonomistów.



Pytanie: — Jaka jest różnica pomiędzy objawieniem a cudem?

Odpowiedź: — Gdyby Chrystus zjawił się na zebraniu partyjnym w Polsce i wyjaśnił obecnym członkom przyczyny istniejących w kraju trudności ekonomicznych — to byłoby objawienie. Ale gdyby zebrani sami do tego doszli — to byłby już cud.

Pytanie: — Jaka jest najbardziej zaawansowana budowa w Warszawie?

Odpowiedź: — Metro. Już zbudowano pół metra.



Pytanie: — Co to jest 1-szy Maj?

Odpowiedź: — Prima Aprilis dla partyjnych.



Pytanie: — Czym się różni robotnik amerykański od polskiego?

Odpowiedź: — Amerykański śpi na dolarach, a polski na zebraniach.



Pytanie: — Do czego służą Związki Zawodowe w krajach demokracji ludowych?

Odpowiedź: — Do ochrony interesów rządu przed żądaniami klasy robotniczej.



Pytanie: — W jaki sposób można powiększyć w Polsce ilość członków partii komunistycznej?

Odpowiedź: — Droge oczyszczania szeregów partyjnych.



Z WARSZAWY DONOSZĄ:

Że Gomułkę pokręciło lumbago: głowę na wschód, a ręce na zachód.

Że komisja badająca jakość towarów w CEDET-cie stwierdziła, iż poza papierem toaletowym i lewatywami wszystko inne jest do d...

Że Związek Sowiecki zmienia swoje godło państwowe. Na sztandarach będzie obecnie zamiast sierpa i młota — biustonosz! Bo wiadomo Rosjanie pier(w)si na świecie!

Zebrała: Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Londyn, 11 września 1964

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 9/203 Pańskiego miesięcznika, w artykule pt.: „W Oczach Londynu”, podpisanym jedynie literkami w nawiasie (m.l.d.) na str. 18-tej, znalazł się następujący ustęp:

„Pamiętajmy, że istnieje w Londynie zaczątek zbiorów muzealnych w Instytucie Sikorskiego i złączona z nim wystawa pamiątek po Generale (świadczących między innymi, że lubił obuwie od dobrych szweców londyńskich)”.

Można lubić lub nie lubić śp. gen. Sikorskiego, Naczelnego Wodza i odtwórcy Armii Polskiej zagranicą. Można krytykować lub nie krytykować Jego ówczesnej polityki, lecz owych smutnych resztek, wydobytych z morza po katastrofie Gibraltarskiej, po Generale, Jego córce, oraz po współofiarach owej strasznej katastrofy, którą niemiecki wywiad chwali się słusznie, czy niesłusznie — nie można zbywać bezsensownym pseudożartem, zresztą bezprzedmiotowym, gdyż w gablotkach, zawierających owe pamiątki, żadnych butów czy bucików nie ma.

Raczy Pan Redaktor przyjąć wyrazy ubolewania, że z taką sprawą muszę się do Niego zwracać.

Z poważaniem.

Mieczysław LISIEWICZ

Nicea, dnia 12 września 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do artykułu p. Microszewskiego pt. „Refleksje ćwierćwiecza” pragnę dorzucić kilka uwag, celem sprostowania nieścisłej krytyki w stosunku do PPS.

Socjalizm demokratyczny ma przyszłość w Polsce, PPS jest jego piastunką. Przyszły socjalizm polski nawiąże do tradycji PPS w pierwszym rzędzie oraz do rewizjonizmu. Już dzisiaj rewizjoniści nawiązują do tych tradycji i otwarcie przyznają, że humanistyczne i reformistyczne koncepcje PPS były słuszne. Okazało się, że najważniejszym kapitałem jest człowiek, nie tylko w teorii, ale i w praktyce i że społeczeństwo należy przygotować do nowego ustroju.

PPS na emigracji starzeje się, jeśli chodzi o ludzi, ale nie starzeje się, o ile chodzi o program. Partia socjalistyczna jest dialektyczna albo nie jest socjalistyczna. Stosunki ekonomiczne zmieniają się i program musi być przystosowany do nich. W tym kierunku PPS na emigracji pracuje nieustannie, śledząc pilnie polską rzeczywistość. Byłoby błędem odrzucać podstawowe zdobycze ekonomiczne i społeczne lub lekceważyć teoretyczny dorobek rewizjonistów. Wręcz przeciwnie przyszłość socjalizmu polskiego leży w zjednoczeniu elementów historycznych i współczesnych dla walki o wolność i wysoki poziom życia. Człowiek chce być wolny i chce żyć lepiej. To jest program PPS i prawdopodobnie rewizjonistów.

Sama nazwa „rewizjoniści” nie mówi. Można rewidować wszystko. Natomiast PPS ma swoje określone oblicze. Nie potrzebuje wstydić się przeszłości ani teraźniejszości. Na emigracji reprezentuje kierunek postępu, nie tonie w negacji i nie odrzuca walki z reakcyjnymi elementami narodowymi i komunistycznymi.

Nie mam uprawnienia do przemawiania w imieniu PPS, ale przypuszczam, że potrafi ona zjednoczyć pod swoimi sztandarami młodych i starych socjalistów, którzy dążą do odnowy życia polskiego tzn. do wyeliminowania obskurantyzmu, kołtunerii, demagogii z lewej i z prawej strony. Istnieje w Polsce potężny odłam społeczeństwa, który akceptuje szczerze przeprowadzone zmiany pod warunkiem dokonania korektur, zapewniających większą niezależność państwową, większą wolność osobistą i lepsze warunki życia. To jest również program PPS.

A zatem PPS na emigracji nie jest konserwatywna, jak pisze p. Mieroszewski. Powtarzam partia konserwatywna nie jest dialektyczna, a więc nie jest socjalistyczna. PPS na emigracji jest i historyczna i współczesna. A ponadto dąży do lepszej przyszłości. Grupa emigrantów socjalistycznych, która maszerowała pod sztandarami PPS w pochodzie brukselskim z okazji stulecia międzynarodówki była jedyną przedstawicielką demokratycznego socjalizmu z krajów satelickich i była dowodem przywiązania nie tylko do starej PPS, ale również do jej nowego programu.

Łączę wyrazy szacunku.

Feliks MANTEL

Montreal, 12 lipca 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 200 „Kultury”, str. 91, red. Mieroszewski pisze, że jest naszym obowiązkiem okazanie pogardy tym pisarzom krajowym, którzy podpisali „kontrprotest”

Wydaje mi się, że w swoich interesujących rozważaniach red. Mieroszewski rozumuje w sposób typowy dla tych, którzy żyjąc na Zachodzie, nie mają bezpośredniego kontaktu z realiami ustroju komunistycznego. Jeżeli moja reakcja na „kontrprotest” różni się od reakcji red. Mieroszewskiego, jest to zapewne następstwem 15 lat spędzonych przeze mnie w Polsce komunistycznej.

Zgadzam się bez zastrzeżeń, że „kontrprotest” jest dokumentem poniżającym każdego, kto złożył pod nim swój podpis. W podobny sposób poniżające były stalinowskie pokajania. W tym ostatnim wypadku jednak nikt poin-

formowany o metodach preparowania pokajań nie potępiał ofiary. Właściwym stosunkiem do ludzi złamanych stalinowskim terrorem była nie pogarda, tylko litość. Pogardę i cały bezmiar moralnego obrzydzenia można było skierować racjonalnie tylko na inscenizatorów tych żałosnych widowisk.

Oczywiście można postawić pytanie, czy sygnatariusze „kontrprotestu” działali pod presją podobną do presji stosowanej w czasach stalinowskich. Niektóre nazwiska świadczą, moim zdaniem, że presja musiała być niezwykle silna. Łatwo zresztą sobie ją wyobrazić, gdy się wie, że subtelnym, a jakże skutecznym sposobem łamania ludzi, faworyzowanym przez Gomułkę, jest groźenie zakazem publikacji. Z czego będzie żył w kraju komunistycznym pisarz, któremu zakazano publikowania? Pójdzie pracować do P.G.R.? Przecież i tam może być przyjęty do pracy tylko za zgodą partii.

Czas, aby Zachód nareszcie przyjął do wiadomości, że w krajach komunistycznych wszystkie akty lojalności ze strony ludności, wszystkie „wybory” manifestacje, pokajania i zapewnienia „jak to nam teraz dobrze” i jak wszyscy popieramy „władzę ludową”, nie są niczym innym, tylko ponurą far-są. Jeżeli na Zachodzie są jeszcze intelektualiści, którzy mają złudzenia na ten temat, należy poważnie zakwestionować wartość tego typu intelektualizmu.

Nie mam zamiaru chwalić tych, którzy wolą hańbę niż nędzę. Chciałbym jednak zaproponować, żeby nie brać na serio wszelkich prorożymowych deklaracji ludzi, którzy nie mogą wydostać się z klatki lub nie mogą do niej nie wrócić. Chciałbym również przyznać każdemu prawo do niebycia bohaterem. A w warunkach stworzonych w Polsce przez Władysława Gomułkę, odmowa podpisania „kontrprotestu” była niewątpliwie aktem ogromnej odwagi i determinacji, nie wahał się powiedzieć, aktem bohaterskim.

Któż są ci sygnatariusze „kontrprotestu”, którymi mamy pogardzać? Większość z nich to pisarze o prawdziwym talencie, jakkolwiek różnej skali. W sercu z pewnością, tak jak my, tęsknią do Polski, w której można byłoby żyć bez poniżenia, a ponieważ nie mają usposobienia bohaterskiego, jej brak odczuwają może jeszcze bardziej tragicznie niż prawdziwie niezlomni autorzy protestu. Podpisując ten nędzny dokument zapewne wielu z nich myślało: „Chyba oni na Zachodzie nie dadzą się zmylić naszym podpisem, chyba wiedzą dosyć o komunizmie, żeby zrozumieć tragizm naszej sytuacji”. Dlatego nie sądzimy ich surowo. Oni są z nami, choć dzieli ich od nas automat gomułkowskiego ubeka. Potępienie skierujmy tam, gdzie są prawdziwi sprawcy zła: Gomułka i jego oddani służalcy.

Zamiast surowo oceniać sterroryzowanych i bezsilnych pisarzy w kraju, lepiej skierujmy ostrze naszej pogardy także przeciwko tym, którzy mimo że korzystają ze wszystkich źródeł informacji dostępnych na Zachodzie, wciąż jeszcze głoszą mit destalinizacji i zalecają współpracę z systemem doprowadzającym do takiego poniżenia.

Łączę wyrazy szacunku.

Edward PODOSKI

Londyn, 14 września 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę zwrócić uwagę, że tytuł mego opracowania, w którym omówiłem przekazywanie telegramów sztabowych jedynie podczas pobytu Nacz. Wodza we Włoszech w lipcu 1944 r., uległ zniekształceniu. I tak we wrześ-

niowej „Kulturze” na stronie 114 widnieje „...w czasie Powstania Warszawskiego”, w spisie rzeczy szóstego Zeszytu Historycznego „...w okresie Powstania Warszawskiego”, a dopiero w tekście jest poprawny tytuł „Łączność radiowa Sztabu N.W. w przedzie dnia Powstania Warszawskiego”.

Co gorsza na str. 114 szóstego „Zeszytu Historycznego” dodano w środku mego nazwiska „i” co się przeważnie zdarza Lwowiakom. Tymczasem nazywam się jak poniżej.

Pozostaje z szacunkiem.

Z.S. SIEMASZKO

ŹRÓDŁA DO NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

NAKŁADEM

POLSKIEGO OŚRODKA NAUKOWEGO W LONDYNIE

DIARIUSZ I TEKI JANA SZEMBEKA

(1935-1945)

Opracował *Tytus KOMARNICKI*

TOM I Część I : Wprowadzenie i dokumentacja do lat 1933-1934
Część II : Diariusz Jana Szembeka za rok 1935
Dokumentacja za rok 1935. Lista biograficzna

Stron XX + 592, fotografia Jana Szembeka, opr. płócienna, obwoluta

Cena sh. 72/6, przesyłka sh. 3/-, USA \$ 10,50, przes. 50 c.,

Can. \$ 11.50, przes. 55 c., F 48.50, przes. F 2.00

KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS
38, Knightsbridge, London S.W.1.

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860

Wydawca : INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., arkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Lawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczbout, Wien III, Salesianer- jesse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tél. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/ Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., To- ronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablon- zerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskörsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Clevel- and 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTÉRAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CI

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

G a w ę d a

Wspomnienie o Uniwersytecie Jagiellońskim

Str. 80

Cena 7 F (10 sh. 6 d.; dol. 1,50)



TOM CII

STANISŁAW MACKIEWICZ

POLITYKA BECKA

Str. 188

Cena egz. 12 F (18 sh.; \$ 2,50)



WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM II

Ukazał się w sierpniu rb. i został rozesłany subskrybentom.
Str. 440